WRACAJĄ ZAPOMNIANE CHOROBY. W TLE SPÓR O SZCZEPIENIA

ZBAWIENIE WEDŁUG FRANCISZKA. PAPIEŻ ZNÓW ZASZOKOWAŁ KATOLIKÓW

ZACHÓD NAWET NIE PLANOWAŁ POMÓC POLSCE WE WRZEŚNIU 1939 r.

SIECI

DANIEL OBAJTEK FELIETONISTĄ „SIECI" OSTRZEGA PRZED ZAPAŚCIĄ UNII

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
39 (617) 2024
23–29 września 2024
CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

DLACZEGO ZLEKCEWAŻYŁ POWÓDŹ

CO DOPROWADZIŁO DO KATASTROFALNYCH SŁÓW DONALDA TUSKA, IŻ „PROGNOZY NIE SĄ ALARMUJĄCE"? DLACZEGO AKCJA OBRONY JEST TAK CHAOTYCZNA, A POMOC DLA OFIAR TAKA MAŁA?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
39
9 772544 269403
Numer w sprzedaży do 30 IX 2024 r.

eprasa.pl 36fbceef5c

Niezależność banku centralnego filarem gospodarki i warunkiem utrzymania stabilności cen.

Dzięki niezależności NBP polski złoty cieszy się zaufaniem Polaków i inwestorów zagranicznych, a NBP może skutecznie zapewniać długookresową stabilność cen.

Dbanie o wartość pieniądza często wymaga podjęcia zdecydowanych działań w sposób niezależny od innych instytucji państwowych.

TRAFNE PROGNOZY NBP

Prognozy NBP w czasie megaszoków ekonomicznych po pandemii i w kryzysie energetycznym okazały się trafne! Sprzyjały one podejmowaniu właściwych i skutecznych decyzji ukierunkowanych na utrzymanie długookresowej stabilności cen. Działania NBP pod przewodnictwem prof. dr. hab. Adama Glapińskiego w tym trudnym okresie zostały docenione nie tylko w Polsce, ale i na arenie międzynarodowej przez przedstawicieli najważniejszych instytucji finansowych świata.

Pobierz lub zamów w wersji drukowanej bezpłatną publikację „Narodowy Bank Polski w czasie megaszoków ekonomicznych po pandemii i w kryzysie energetycznym – historia sukcesu".

Zeskanuj kod lub wejdź na nbp.pl

Niezależny bank centralny i własna waluta są podstawą szybkiego i stabilnego rozwoju gospodarczego Polski.

Prof. dr hab. Adam Glapiński, Prezes NBP

eprasa.pl 36fbceef5c

Cena złej władzy

Ignorancja Donalda Tuska po raz kolejny została obnażona – tym razem przez powódź. Ale nie łudźmy się – liderzy opinii nie wytworzą takiej masy krytycznej oburzenia, która by przyniosła premierowi polityczne konsekwencje. Tuskowi się upiecze – tragedie ludzi zostaną unieważnione.

A przecież tej krzykliwej niekompetencji nie da się nie zobaczyć.

1. ***Rząd był informowany przez UE o nadchodzącej klęsce żywiołowej.***

I co? I nic.

2. ***Słynne słowa Donalda Tuska, że „prognozy nie są alarmujące" i że „nie ma powodów do paniki".***

Tymczasem mieszkańcy zalanych terenów wielokrotnie podkreślają, że wprowadzano ich w błąd w sprawie zagrożenia.

3. ***Zaniedbano monitorowanie i koordynowanie zbiorników retencyjnych tuż przed i w czasie powodzi.***

I co? I nic?

4. ***Rozpoczęły się prostackie i żenujące ustawki propagandowe mające ocieplać wizerunek premiera. Kapitulacja państwa i wezwanie na pomoc Jerzego Owsiaka było już tylko wisienką na torcie ukabaretowienia państwa polskiego.***

I co? I nic?

5. ***Z terenów objętych powodzią docierają kolejne dowody na pokazówki z udziałem służb – można zobaczyć, jak urzędnicy prężą muskuły przed kamerami, by po wyłączeniu nagrywania zająć się innymi sprawami. Odnotujmy kilka szokujących scen. Oto filmowany premier wchodzi do zalanego mieszkania wprost w kadr propagandowego ujęcia. Zorganizowano bezużyteczną, ale zrealizowaną pod materiały informacyjne dwóch stacji telewizyjnych, naradę sztabu kryzysowego, a podczas niej wiele infantylnych, niepoważnych incydentów.***

Ale Tuskowi się upiecze. Zwarty kartel medialny III RP pokazuje ubłocone buty premiera, liderów opinii skanuje się, czy aby w krytyce władzy nie przekierują uznania społecznego na PiS. Oburzenie i zażenowanie nie przebije się do milionów Polaków. Władza się nie wykoleiła. Tylko trochę ludzi zginęło w odmętach powodziowej fali, a o tych, którzy stracili wszystko, uśmiechnięta Polska szybko zapomni.

Jakub Augustyn Maciejewski

Koszt ślepej zemsty

Dlaczego Donald Tusk od pierwszych godzin zaczął mówić o zabiegach o unijne środki, a tak mało mówi o polskim budżecie? Gdzie się podziały polskie pieniądze, które jeszcze rok, dwa lata temu były na wszystko, co potrzebne plus potężne inwestycje?

Czeka nas też poważna rozmowa na temat zarzutów przez lata kierowanych przez środowisko Tuska wobec Wojsk Obrony Terytorialnej, które obrzucano obelgami, a dziś okazują się zbawieniem. Podobnie wobec wydatków Funduszu Sprawiedliwości na wozy strażackie i wsparcie sprzętowe systemu ratownictwa – dziś to zbawienne. Sytuację ratują zapasy zgromadzone przez Rządową Agencję Rezerw Strategicznych kierowaną za PiS przez ściganego dziś przez władzę Michała Kuczmierowskiego. Co obecnie robi RARS? Ktoś widział jej prezesa? Zbiera jakieś zapotrzebowania? Kupuje pilnie, pewnie przepłacając, urządzenia do osuszania czy pracowicie przygotowuje przetarg, który zostanie rozstrzygnięty za rok?

Pamiętamy też, jak ówczesna opozycja wściekle atakowała budowę zbiorników retencyjnych przez rządy Prawa i Sprawiedliwości – dziś są one ratunkiem, a byłyby jeszcze większym, gdyby nie zablokowała powstania części z nich. No i co z Odrą oraz blokadą, na niemieckie życzenie, inwestycji na rzece?

Wiedzieliśmy, że władzę wzięli ludzie nieodpowiedzialni. Nie sądziliśmy jednak, że tak szybko przyjdzie płacić za to tak dużą cenę. Ale najbardziej przeraża coś innego: ich miny, postawa, mowa ciała i wrażenie ogólne, które sugeruje, iż ich to po prostu męczy, nudzi, że nie na takie rządzenie się umawiali. Oni są od „przywracania demokracji w Polsce", a nie od zajmowania się brudną wodą zalewającą jakichś zwykłych ludzi. Chciałbym się mylić, ale im więcej oglądam, tym mocniej to wyczuwam.

Premier Tusk wciąż na poważnie nie rozliczył się ze słowami, iż „prognozy nie są przesadnie alarmistyczne". Warto zapytać, że czy aby wtedy, gdy trzeba było zrozumieć, jak wielkie zagrożenie nadchodzi, w obozie władzy nie planowano najazdu dziesięciu radiowozów na samochód wiozący Jarosława Kaczyńskiego z rzekomo zbyt ciemnymi szybami z przodu.

Michał Karnowski

Reklama | 7/0924/F

eprasa.pl 36fbceef5c

SIECI

spis treści

27 Standardy „wolnych mediów”
Piotr Gursztyn

41 Na niemieckiej granicy bez zmian
Jan Rokita

50 Pieniądze albo życie
Dariusz Matuszak

NA POCZĄTEK

5 CZY TUSK JEST POCZYTALNY?
Bronisław Wildstein

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 POLSKA W ZUPIE
Krzysztof Feusette

9 PIEKIELNE GRUPY
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 KOLEJNA WERSJA DEMOKRACJI
Jan Pietrzak

12 CZESI MĄDRZY PRZED SZKODĄ
Samuel Pereira

13 CHOCHOLI TANIEC BRUKSELI TRWA
Daniel Obajtek

14 WALIZKA MARTY KIELCZYK
Michał Korsun

16 POEZJA A SPRAWA POLSKA
Lech Makowiecki

17 CZAS NA KOREKTĘ POLITYKI UE!
Marta Kaczyńska-Zielińska

TEMAT TYGODNIA

18 ZARZĄDZANIE KATASTROFĄ
Marek Pyza

24 PRZEGRANI Z WIELKĄ WODĄ
Jakub Augustyn Maciejewski

KRAJ

27 STANDARDY „WOLNYCH MEDIÓW”
Piotr Gursztyn

30 DEMON TUSKA
Stanisław Janecki

32 POLOWANIE NA MYŚLIWYCH
Maciej Walaszczyk

35 JAKA PRZYSZŁOŚĆ NARODU?
Konrad Kołodziejski

38 POWRÓT CHORÓB Z PRZESZŁOŚCI
z dr. Michałem Mularczykiem
rozmawia Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

41 NA NIEMIECKIEJ GRANICY BEZ ZMIAN
Jan Rokita

44 NADAĆ SENS ŻYCIU
z abp. Światosławem Szewczukiem
rozmawia Goran Andrijanić

47 PLAN POKOJU ZEŁENSKIEGO
Marek Budzisz

50 PIENIĄDZE ALBO ŻYCIE
Dariusz Matuszak

53 ZBAWIENIE WEDŁUG FRANCISZKA
Grzegorz Górny

NATURA DLA LUDZI

56 SUSZA I POWÓDŹ
Przemysław Barszcz

SIECI KULTURY

59 ISKRZĄCE ZAPĘTLENIE
Jolanta Gajda-Zadworna

61 O CO CHODZI Z TYM PUNK ROCKIEM?
z Ignacym Lissem
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

62 TERAPIA OBJAWIONA
Robert Tekieli

63 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

64 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY
Maciej Walaszczyk

66 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

HISTORIA

67 ZACHÓD NIE PLANOWAŁ POMÓC POLSCE WE WRZEŚNIU 1939 r.
Stanisław Płużański

PODRÓŻE

70 MOJE SZLAKI: GABRIELA MUSKAŁA
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

71 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

73 UMRZEĆ, ABY WYGRAĆ
Ryszard Czarnecki

74 CZEGO „UCZY” NAS DONALD TUSK?
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl 36fbceef5c

BRONISŁAW WILDSTEIN

Czy Tusk jest poczytalny?

Od sprzyjających premierowi mediów dowiadujemy się, i to wiele razy, że „Tusk się wściekł". Wścieklizna to poważna choroba, która radykalnie ogranicza poczytalność. Pewna sędzia wysłała Jarosława Kaczyńskiego na psychiatryczne badania bez żadnego uzasadnienia poza swoim psychologicznym wglądem tudzież propagandą przeciwników PiS. O „wściekliźnie" Tuska mówią jego zwolennicy. Czy należy wysłać go na badania psychiatryczne?

Ostatnie wystąpienia lidera PO uznać można za symptomy mentalnej niestabilności. Ogłosił on, że PiS ukradł 100 mld zł, a potem porównał tę partię do NSDAP, a jej rządy do II wojny światowej, bo tylko tak zrozumieć można groźbę nowej Norymbergi dla ugrupowania Kaczyńskiego. Ostatnio Tusk ustanowił „demokrację walczącą", a więc rodzaj stanu wojennego, który zawiesza prawo. Termin ten, sformułowany w latach 30. ub.w. przez Karla Loewensteina, miał uzasadnić szczególne środki, jakie należy podjąć przeciw nazizmowi.

Jeśli nie potraktujemy wystąpień tych i działań jako objawu umysłowej aberracji, to zmuszeni jesteśmy uznać je za wyraz skrajnego cynizmu. Czy jednak takie jego stężenie nie graniczy z psychopatią? Czy permanentna, dekadami orkiestrowana nienawiść, którą nazywa się miłością, może pozostawić nienaruszoną psychikę organizatora goebbelsowskiej propagandy i opartej na niej polityki? Czy coraz bardziej bezczelne kłamstwo, odwracanie znaczeń nie jest wyrazem psychicznej dewiacji?

W wymiarze społecznym działanie takie z pewnością służy kreacji psychopatów i szerzej prowadzi do tego, co nazywa się faszyzacją życia, czyli politykę przekształca w licytację przemocy, której celem staje się unicestwienie konkurentów.

Działania te przynoszą efekty. Ostatnio fizycznie zaatakowany został działacz młodzieżówki PiS Oskar Szafarowicz. W tym miejscu pisałem o napaści na dziennikarzy lekarza, ppłk. WP Piotra Szymańskiego.

Przy okazji warto zapytać, jakie konsekwencje wobec psychopatycznego agresora wyciągnęli jego przełożeni i koledzy. Nie widzimy ich, a czas mija. Osobnik ten stanowi publiczne zagrożenie i lepiej nie wyobrażać sobie, co może zrobić pacjentowi, jeśli zorientuje się, iż ma jego zdaniem „niewłaściwe" poglądy. Postępowanie Szymańskiego jest zaprzeczeniem etosu, który powinien kierować zachowaniem lekarzy i oficerów. Zwłaszcza że nie odnajduje on niczego niestosownego w tym, co zrobił, w oświadczeniu kłamie jak najęty, a najwięcej pisze o własnym... honorze. Czy jego koledzy nie rozumieją, że aby bronić swojego dobrego imienia powinni ze swojego grona pozbyć się takiego osobnika?

Rozumiem dziennikarzy, którzy nie podali do sądu Szymańskiego. Sprawa jest odrażająca i wracanie do niej nie jest przyjemne. Mimo to uważam, że powinni to zrobić ze względu na społeczne znaczenie sprawy.

„No, psie syny, pisowskie ch...e na kaczych nogach, na żebry poszliście" – tak zaczyna się litania najgorszych obelg i obietnic fizycznego unicestwienia, którą na TikToku sygnuje niejaki Mikołaj Tesla: „Teraz ku...y będziecie zapierdalać po śmietnikach, a i tak was tam znajdziemy i choćbyście nie wiem, gdzie próbowali się ukryć to i tak was pisie ch...e znajdziemy. Dla was ku...a nie ma życia, nie ma dla was żadnej przyszłości [...]. Najbliższe święta to ostatnie, które będziecie obchodzić na wolności, a dla niektórych z was ostatnie, które będziecie obchodzić wśród żywych. Na waszym miejscu ja bym zap...lał do pierdla bo tylko tam możecie przeżyć" itd.

W rzeczywistości autor nazywa się Mikołaj Matysiak i prezentuje się jako „Coach – Trener rozwoju osobistego i doradca". Chwali się innymi także aktorskimi osiągnięciami, ale ze względu na „korzenie pedagogiczne" najważniejsze jest dla niego „nauczanie".

Ten żałosny kabotyn – w swoim groteskowo wystylizowanym wystąpieniu wyłania się z mroku niczym król-duch – to wykwit hodowli ekipy Tuska. Tego typu psychopaci zaczynają narzucać ton w opiniotwórczych ośrodkach III RP i jej mediach.

Jedyny program Tuska i jego szeroko rozumianego otoczenia to antypisizm. Eskalacja nienawiści, która prowadzi do przemocy.

Radość, którą wywołuje dręczenie ks. Olszewskiego i aresztowanych wraz z nim urzędniczek, młodych matek; media szczujące na opozycję i wszystkich, którzy z nią współpracowali to wyraz pogłębiającej się patologizacji życia w Polsce generowanej przez Tuska i jego przestępczą grupę.

To również postępujący paraliż państwa. Dziś, w trakcie powodzi, urzędnicy boją się podjąć koniecznie kroki dla zapobiegania i zwalczania jej skutków, gdyż wiedzą, że mogą zostać za to oskarżeni tak jak funkcjonariusze broniący Polaków przed pandemią COVID-19. Tusk i jego banda demonstrują, że wszystko może być wykorzystane przeciw politycznym przeciwnikom, a więc najlepiej zachować bierność.

Miejmy nadzieję, że lider PO zostanie za to prawnie rozliczony. Chyba że obroni go przed tym orzeczenie niepoczytalności.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 36fbceef5c

Sygnalista nadaje

Profesor nauk prawnych ***Marcin Matczak*** często był określany jako jeden z głównych ideologów prawniczych „totalnej opozycji" z czasu, kiedy jeszcze rządziło PiS. Teraz jest głównym pretendentem do tej samej funkcji w obozie koalicji 13 grudnia. Udowodnił to w wywiadzie z Tomaszem Terlikowskim w RMF 24. Według profesora decyzja Tuska o uchyleniu kontrasygnaty pod prezydenckim powołaniem Krzysztofa Wesołowskiego na przewodniczącego zgromadzenia sędziów Izby Cywilnej SN, którą jako niekonstytucyjną potępiła większość ekspertów prawniczych, nawet tych bliskich obozowi rządzącemu, była potrzebna. Jak wyjaśnił, dużo ludzi w Polsce nie chce zrozumieć, że nie jest ważna „litera prawa", ale „duch prawa". Kiedy Terlikowski zapytał, jak w świetle tego Matczak komentuje sytuację, w której Kościół katolicki w sprawie konfliktu między MEN i episkopatem o lekcje religii w szkołach nie może odwołać się do Trybunału Konstytucyjnego (bo MEN nie uznaje decyzji TK), profesor odpowiedział, że Kościół był „sojusznikiem PiS w rozmontowaniu państwa i teraz płaci za to cenę". Interesujący jest ten „duch prawa" według Matczaka, nie ma co.

Trwa smutny trend wstrzymywania dużych inwestycji w Polsce, zapoczątkowany wraz z dojściem do władzy koalicji 13 grudnia. Wydaje się, że postęp ekonomiczny, który został osiągnięty za poprzedniego rządu, zniknął bez śladu. Minister cyfryzacji i wicepremier ***Krzysztof Gawkowski*** poinformował, że amerykański koncern Intel zrezygnował z budowy fabryk półprzewodników pod Wrocławiem. W ten sposób przepadła inwestycja warta 20 mld zł oraz budowa fabryki, w której miało pracować ok. 2 tys. osób. Jako powód Intel podał „pogarszającą się globalną sytuację finansową firmy". Politycy opozycji uważają, że decyzja przedsiębiorstwa jest związana ze złym zarządzaniem tym projektem inwestycyjnym przez rząd Tuska. „Ciekawe, czy taki sam los czeka równolegle planowaną, jeszcze większą inwestycję w Niemczech, która dostała potężne subsydia z UE" – napisał na portalu X (d. Twitter) Sebastian Kaleta.

„Kapitulacja państwa" – w ten sposób niektórzy ocenili konferencję prasową we Wrocławiu, podczas której Donald Tusk ogłosił, że do pomocy powodzianom włączy się Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. Obok premiera stał szef WOŚP ***Jerzy Owsiak***, który zapowiedział, że organizacja uruchomiła już środki w wysokości 40 mln zł na zakup artykułów pierwszej potrzeby. Sens tego spektaklu jest jasny i ma przede wszystkim służyć polepszeniu wizerunku rządu Tuska po błędach popełnianych przez jego ekipę w trakcie powodzi. Owsiak jak zawsze był gotowy pomóc Tuskowi. A jak to wyszło? Premier, który dysponuje setkami miliardów złotych, chwali się pomocą, która w nadchodzących miesiącach będzie kroplą w morzu potrzeb. Państwo dostaje wystarczające pieniądze z podatków, aby w takich sytuacjach efektywnie pomagać potrzebującym, a nie robić cyrk ze swoimi sojusznikami NGO. „Może od razu zlikwidujemy państwo i je wyoutsorcujemy jakieś fundacji?" – napisał na platformie X lewicowy aktywista Jan Śpiewak.

„Szanowni Państwo, 18 września rano złożyłem rezygnację z funkcji

eprasa.pl 36fbceef5c

rzecznika prasowego Ministerstwa Klimatu i Środowiska. Serdecznie dziękuję mojemu zespołowi za pracę i zaangażowanie" – napisał na platformie X rzecznik tego resortu Hubert Różyk. Było jasne, że jego dymisja jest konsekwencją wcześniejszej wypowiedzi minister Pauliny Hennig-Kloski o przeznaczeniu ok. 100 mln zł na kredyty dla powodzian. Absurdalna wypowiedź minister została później sprostowana, gdyż, jak twierdzono, miała ona na myśli pożyczki, które otrzymają samorządy na zalanych terenach. Niestety, było już za późno na takie wymówki. Znaleziono kozła ofiarnego, a minister i jej zastępca Urszula Zielińska, która jeszcze w opozycji zasłynęła z protestów przeciwko budowie zbiorników retencyjnych, które teraz uratowały całe miasta, pozostają na swoich stanowiskach. Na razie.

„Państwowa Komisja Wyborcza, odrzucając sprawozdanie wyborcze PiS, przekroczyła uprawnienia" – powiedział na łamach „Dziennika Gazety Prawnej" Sylwester Marciniak, przewodniczący PKW. Dodał on również, że Komisja po raz pierwszy podjęła decyzję diametralnie różną od analizy Krajowego Biura Wyborczego. PKW jest organem wyborczym i nie ma odpowiednich narzędzi, aby wykraczać poza analizę sprawozdania finansowego. Prawnik zaznaczył również, że przy analizie ewentualnych nadużyć PKW miała brać pod uwagę jedynie zdarzenia, które miały miejsce w okresie kampanii wyborczej. Słowem Marciniak powtórzył wszystkie główne argumenty ekspertów, którzy twierdzą, że decyzja Państwowej Komisji Wyborczej była upolitycznioną nagonką na opozycję. I co teraz? Nic, czekamy na decyzję Sądu Najwyższego w sprawie skargi złożonej przez PiS.

Dr Grzegorz Chocian, prezes Fundacji Konstruktywnej Ekologii Ecoprobono, powiedział na antenie Polsatu coś bardzo ważnego o aktywistach ekologicznych, którzy często protestują przeciwko różnym decyzjom podjętym przez rząd, m.in. budowaniu zbiorników retencyjnych, które teraz uratowały całe miasta przed powodzią. „Ci, którzy protestują, nie mają nawet kierunkowego wykształcenia w dziedzinie ekologii. Pora mówić o tym otwarcie, to gra wywiadów na terenie Polski... Mnie też próbowano zwerbować. Wywiad niemiecki próbował mnie zwerbować. Nie zgodziłem się, ale wiem, kto został zwerbowany i Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego zna wszystkie szczegóły" – oznajmił. Na temat wpływu rosyjskich służb wywiadowczych na ruchy ekologiczne napisano kilka artykułów. Teraz zaczynają do nas docierać informacje o kontaktach niektórych ekologów z Polski ze służbami niemieckimi. Gdy obserwujemy dziś zniszczenia, których można było uniknąć lub zmniejszyć ich rozmiar, budując więcej zbiorników, te informacje nabierają większego znaczenia.

Podczas gdy oczy całej Polski były zwrócone na zalane tereny, w TVN rozpoczęto lobbowanie na rzecz tworzenia „stref wolnych od dzieci". W programie „Dzień dobry TVN" poważnie zastanawiano się nad pomysłem, aby w niektórych miejscach dzieci miały zakaz wstępu, bo przeszkadzają dorosłym. Zwolenniczką tego pomysłu okazała się niejaka Agnieszka Grabowska, matka dwójki dzieci. Tłumaczyła, że uważa tak z „szacunku" dla dorosłych, którzy nie mogą mieć dzieci, gdyż „mogą być oni zasmuceni widokiem szczęśliwych rodzin z dziećmi". Nauczyciel Andrzej Tarkowski-Kiliszewski stwierdził natomiast, że nie lubi, gdy w restauracji panuje krzyk i chaos z powodu maluchów. Powoli odkrywa się przed nami prawdziwe oblicze „uśmiechniętej Polski", w której nie ma miejsca na dziecięcy śmiech.

Radosław Sikorski lubi prowokować swoimi wypowiedziami. Tym razem szefowi polskiej dyplomacji udało się obrazić Tatarów krymskich. Na konferencji Jałtańskiej Strategii Europejskiej w Kijowie powiedział, że Ukraina powinna oddać okupowany przez Rosjan Krym pod mandat ONZ, bo to jedyna opcja. „Sikorski publicznie przypuścił, że w celu zakończenia wojny Rosji przeciw Ukrainie nasze państwo powinno oddać Krym" – powiedział Refat Czubarow, przewodniczący Samorządu Tatarów Krymskich na Ukrainie. To nie pierwszy raz, kiedy Sikorski doradza Ukraińcom, co powinni zrobić ze swoją wolnością. „Musicie podpisać, inaczej wszyscy zginiecie" – powiedział jednemu z przywódców ukraińskiej opozycji podczas Majdanu w 2014 r., namawiając go do podpisania porozumienia z prezydentem Janukowyczem. Jeśli Ukraińcy o tym zapomnieli, teraz znowu postanowił im to przypomnieć.

Łukasz Żak miał pięć sądowych zakazów prowadzenia pojazdów. Pierwszy prawdopodobnie dostał z powodu jazdy pod wpływem alkoholu, a resztę za kierowanie pojazdem bez uprawnień. Już dawno powinien siedzieć w więzieniu, ale zamiast tego znowu pijany wsiadł do samochodu i na warszawskiej Trasie Łazienkowskiej wyjechał z impetem w tył auta, którym podróżowała czteroosobowa rodzina. Mąż zginął na miejscu, a żona i dwoje dzieci zostali ciężko ranni. Żak uciekł, po czym zatrzymano go w Niemczech. Jak to możliwe, że morderca przez cały czas prowadził samochód, a sądy na to nie reagowały? Jesteśmy pewni, że minister sprawiedliwości Adam Bodnar nie spróbuje znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Jest zbyt zajęty „przywracaniem praworządności". To znaczy dalszymi nieprawnymi czystkami w wymiarze sprawiedliwości.

Fot. Liudmyla Kazakova, Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl 36fbceef5c

Polska w zupie

KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Meldujcie.
Siemoniak: Jest źle.
Kosiniak: Bardzo źle.
Tusk: Aha. A prognozy?
Siemoniak: Beznadziejne.
Tusk: I to mam powiedzieć ludziom? Przecież już twierdzą, że rząd nie pomaga.
Kosiniak: To co, mamy kłamać?
Tusk: Od razu kłamać. Troszkę optymizmu wlać w serca i tyle. Jedliście coś?
Siemoniak: Tylko drożdżówki, któreśmy dla powodzian przywieźli.
Tusk: Ja też nic. Zupkę mam dobrą z domciu, Gosia gotowała.
Kosiniak: Chętnie.
Tusk: Ale tyle to nie ma. Zresztą sam nie mam kiedy zjeść, to tobie mam dawać? Do roboty.
Siemoniak: Czyli co?
Tusk: Czyli worki napełniać! Ja mam to robić? Żeby mi się słoiki potłukły?
Kosiniak: Jakie słoiki?
Tusk: No z zupą. O, tu mam jajka...
Siemoniak: Może niech pan premier nie pokazuje...
Tusk: A ty co, uczulenie masz? Normalne, na twardo.
Kosiniak: Aha. Można jedno?
Tusk: Do zupy są. Straszna tragedia.
Siemoniak: Fakt, straty będą ogromne.
Tusk: Nie o tym mówię, woda spłynie do Bałtyku i finał. O obiad mi chodzi. Już z Gosią siadamy, świece się palą, zupka paruje i nagle telefon.
Siemoniak: Ja przepraszam, nie wiedziałem.
Tusk: Teraz i tak już po ptokach. A mielone były jak pięść...
Kosiniak: Byle ten zbiornik wytrzymał...
Tusk: Na mielone?
Siemoniak: Ten w Raciborzu, co to miał być naszą inwestycją.
Tusk: I co?
Siemoniak: I trzeba było jedną czwartą wału rozbierać, bo złe kruszywo dali. Do tego ten raport NIK, że masakra, złodziejstwo i w ogóle.
Tusk: No niestety, NIK nie była wtedy nasza i takie były skutki. Kiedy to oddali do użytku?
Siemoniak: W 2020 r., za PiS.
Tusk: To się powie, że przecieka.
Kosiniak: To się ludzie wystraszą.
Tusk: To się doda, że prognozy nie są alarmujące.
Kosiniak: Jak w „Misiu"? „Nieprawda, że państwo przecieka, zwłaszcza że prawie nie padało"?
Tusk: O, właśnie. Poza tym akurat wały budowaliśmy.
Siemoniak: Bo to była odbudowa po powodziach w 1997 i 2010 r. Plan był taki, żeby do 2015 r. skończyć, to co oni potem mieli budować?
Tusk: Zbiorniki retencyjne.
Kosiniak: No to budowali. Ale w Kłodzku zablokowano.
Tusk: Kto?!
Siemoniak: Np. posłanka Wielichowska z Platformy. I te wszystkie zielone, Tracz, Zielińska i reszta. Mówiły, że ptaki trzeba ratować.
Tusk: A teraz to po ptokach i po ptakach. Głodny jestem od tych pokazówek jak czort. Łyżkę któryś ma?
Kosiniak: Zaraz żołnierze przyniosą. Tylko muszę na wał przedzwonić.
Tusk: To dzwoń! Co oni tam w ogóle robią?
Kosiniak: No umacniają.
Tusk: Wizerunek?
Siemoniak: Wały chyba?
Kosiniak: Dokładnie. Tam jest masakra. Trzeba będzie coś ludziom obiecać.
Tusk: Hennig-Kloska podobno coś daje...
Siemoniak: Tak. Pożyczki na procent.
Tusk: Słucham?
Kosiniak: Mówi prawdę, baba zwariowała.
Tusk: Trzeba to przykryć.
Siemoniak: A czym, jak kołderka jest przykrótka?
Tusk: Powiemy, że damy 10 tys. od razu.
Kosiniak: A na co to wystarczy? Na półtora pogrzebu?
Tusk: Na teraz. A tak w ogóle przytrzymamy 1 mld w rezerwie. Jakby co.
Kosiniak: Jakby co? Przecież już jest źle. W 2010 r. pan premier od razu 2 mld rezerwował, a powódź była mniejsza.
Tusk: Człowieku, gdybym miał przycisk, na którym jest napisane „Kasa dla powodzian", to bym go bez przerwy wciskał. Zwłaszcza jakby na tym się kończyło. Na razie załatwiłem, że Owsiak da 40 mln.
Kosiniak: Ze swoich?
Tusk: No coś ty. A dał kiedyś?
Siemoniak: 40 mln to nawet nie jest połowa tego, co trzeba będzie wydać w samym Kłodzku.
Tusk: Dobra, w takim razie poczekamy. Najważniejsze, żebyście się za bardzo nie wysypiali, bo podkrążone oczy lepiej wyglądają na tych naszych nasiadówkach na żywo.
Kosiniak: A teraz też się nagrywa?
Tusk: Nie wiem, chyba nie. Ale wiesz, jak jest, kelnerzy nie śpią. Jutro znowu spotykamy się na sztabie o siódmej rano.
Kosiniak: A nie lepiej wracać do Warszawy? Przecież my tylko tym służbom przeszkadzamy.
Siemoniak: Żeby ludzie gadali, że od powodzi uciekamy? Teraz już musimy tu zostać...
Tusk: To wy sobie rozstrzygnijcie, który pierwszy idzie do worków, a ja, jeśli pozwolicie, spełnię nareszcie małżeński obowiązek. Przypomniałem sobie, że Gosia dała mi łyżkę, taką z widelcem, dwa w jednym, super rzecz na wycieczki. Aha, i pamiętajcie, żebyście przed kamerami na wały nie wyszli. Albo na wałów. A ja po zupce pędzę na miejsce, bo mi wreszcie mieszkanie znaleźli. Film będziemy kręcić. Ja wchodzę do zalanego mieszkania, po podeszwy w błocie...
Kosiniak: Piękna metafora...
Tusk: ...i czegoś szukam.
Siemoniak: Pewnie słoika?
Tusk: Nie! Zresztą, sami zobaczycie...
Siemoniak: A gatunek?
Tusk: Komedia. Ale smutna.

eprasa.pl 36fbceef5c

Piekielne grupy

W środku draki o podręczniki na jednej z grup rodzicielskich, na innej zaczyna się awantura: „Hej, Kochani! To skandal! Przerwy obiadowe są za krótkie”

„Hejka, Mati jest chory. Podrzucicie, co dziś robili w szkole” – pojawia się komunikat na jednej z wielu w moim przypadku grup rodzicielskich. I telefon zaczyna wpadać w konwulsje, bo rodzice jeden przez drugiego ślą zdjęcia zeszytów swoich pociech. Zaraz rozpętuje się też piekło o prace domowe, bo rodzice mają od dzieci sprzeczne dane. „Z matmy zadanie ósme”, „a właśnie, że nie, bo drugie” i „jeszcze mają przeczytać rozdział z fizyki”, „nie ten rozdział był zadany na poniedziałek, teraz mają przeczytać ci, co nie przeczytali”. Na wszelki wypadek nie wtrącam się w tę pasjonującą dyskusję, ale zaraz rozkręca się następna. „A możecie wrzucić listę podręczników?” I znów pojawiają się rozbieżności co do podręczników i daty ich zakupu, bo w niektórych przypadkach dzieciaki kończą jeszcze materiał z poprzedniego roku. Sprawdzam w librusie, a tam pełna lista i zastanawiam się, dlaczego rodzice nie są w stanie sami tego sprawdzić. Ba, dlaczego nastolatki, bo ta grupa dotyczy szkoły średniej, nie są w stanie ogarnąć tematu podręczników, a co gorsza – nie są w stanie na własną rękę uzupełnić lekcji? Po co mieszać w to rodziców, kiedy wystarczyłoby poprosić kolegę lub koleżankę z klasy o notatki?

W środku draki o podręczniki na jednej grupie, zaczyna się awantura na drugiej. „Hej, Kochani! To skandal! Przerwy obiadowe są za krótkie, dzieci nie są w stanie zjeść obiadu w tak krótkim czasie, jest ich za dużo, a jak się spóźnią na lekcję, to dostają spóźnienie” – pisze jedna z mam. I zaraz grupę zalewa oburzenie rodziców na zbyt krótkie przerwy, dzieci skarżą się na ból brzucha, a w ogóle to pani od matematyki jest do kitu, gość od angielskiego jeszcze gorszy, a historyka to już w ogóle trzeba zmienić, bo jest niemiły. Po kilku godzinach pikania telefonu zapada decyzja, żeby zwrócić się do dyrekcji o wydłużenie przerwy obiadowej.

Równolegle czytam w kolejnej grupie, że na jutro roślinka do zielnika, a na piątek liście w różnych kolorach. Wszystko czarno na białym stoi też w Librusie. No, ale może ktoś nie zauważył. W tym czasie na pierwszej grupie jakaś mama się skarży, że Karol popchnął Antka, a mama Antka twierdzi, że Karol zaczął i jest źle wychowany. Rodzice szybko i chętnie dokonują zrzutu, co myślą o rodzicach i innych dzieciach.

Dwa dni później w grupie drugiej informacja, że dyrekcja wydłużyła dwie przerwy, żeby dzieci miały czas zjeść obiad, ale przez to dzieci będą dłużej siedziały w szkole. I tu znów rozpętuje się piekło, że nie mogą tak długo siedzieć w szkole, bo nie mają czasu na odpoczynek. Po godzinie pikania telefonu nie wytrzymuję i wtrącam uwagę, że przecież państwo postulowaliście wydłużenie przerw, a za tym siłą rzeczy poszło wydłużenie lekcji. Awanturę przerywają informacje, że zbliża się piknik i trzeba się podzielić, kto jakie ciasto upiecze, a w grupie pierwszej rozkręca się dyskusja, że plan się ciągle zmienia, bo nauczyciele się zmieniają. I już nie wiem, na której grupie rodzice pisali, że nauczycieli trzeba zmienić, bo niefajni. Zastanawiam się też, na którą grupę wrzuciłam odpowiedź, że my już mamy wszystkie potrzebne liście i czy czasem nie wyszłam na wariatkę.

Gdy już mam ochotę opuścić wszystkie grupy, myślę, że przecież czasem pojawiają się tam ważne informacje od trójki klasowej (kurczę blade, sama jestem w jednej, ale która to grupa?), dotyczące wpłat na różne wyjścia czy przypominajki dotyczące składek.

25 lat temu nie było grup rodzicielskich ani Librusa. Rodzice chodzili na zebrania dwa razy w semestrze, albo i nie. Mimo tego znaliśmy swój plan lekcji, wiedzieliśmy, co jest zadane i radziliśmy sobie z uzupełnieniem materiału w przypadku nieobecności. Mimo ścisku udawało nam się także zjeść obiad, choć czasem człowiek oberwał łyżką szpinaku czy kotletem rybnym. Sami też kupowaliśmy podręczniki, przeważnie używane, na kiermaszu pod szkołą. A wymagających nauczycieli wspominam do dziś, bo nauczyli mnie najwięcej. Jakim cudem mojemu pokoleniu udało się pokończyć szkoły bez nagminnej rodzicielskiej interwencji?

Dorota Łosiewicz

Niemcy

Znikające czipy Intela

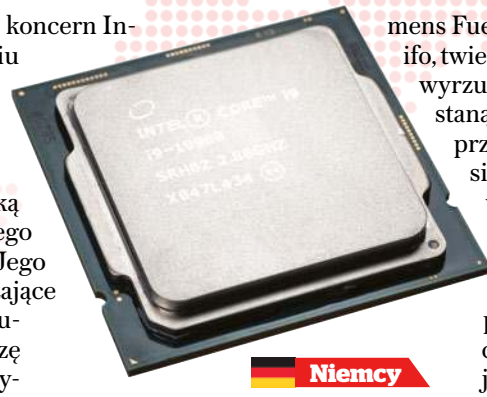

Przeżywający problemy finansowe koncern Intel poinformował o wstrzymaniu na dwa lata budowy fabryki czipów w Magdeburgu we wschodnich Niemczech. Słowa Amerykanów wywołały w Berlinie burzę.

Decyzja Intela jest prestiżową porażką kanclerza Olafa Scholza, uchodzącego za wielkiego zwolennika inwestycji. Jego partia poniosła ostatnio dwie upokarzające porażki w wyborach do landtagów w Turyngii i Saksonii, a teraz walczy o władzę w Brandenburgii. W tym ostatnim przypadku jest to o tyle istotne, że od upadku NRD socjaldemokraci zawsze wygrywali w Brandenburgii, jednak teraz sytuacja się zmieniła i w sondażach prowadzi AfD. Decyzja Intela pogorszy i tak już niedobre nastroje we wschodnich landach, których mieszkańcy obawiają się, że zapowiadane przez niemieckie koncerny redukcje zatrudnienia dotkną ich w pierwszej kolejności.

Nie wiadomo też, co się stanie z 10 mld euro dotacji, którymi rząd federalny skusił giganta technologicznego. Wstrzymanie budowy fabryki czipów stanowi potwierdzenie tych głosów niemieckich ekonomistów, którzy, jak Clemens Fuest kierujący renomowanym instytutem ifo, twierdzili, że dotowanie inwestycji Intela jest wyrzucaniem pieniędzy w błoto, a Niemcy nie staną się w ten sposób liderem nowych gałęzi przemysłu w Europie. Jego zdaniem trzeba się raczej liczyć z zamykaniem fabryk w Niemczech, które nie są w stanie tak jak kiedyś konkurować tanią energią i mają problem z rosnącymi płacami.

O zamiarze 25-proc. redukcji miejsc pracy w Niemczech poinformował koncern ZF, wcześniej podobną decyzję podjął Volkswagen.

Jeśli gospodarka niemiecka pogrąży się w stagnacji i niemieckie firmy nadal będą przenosić swoją produkcję do Chin i Stanów Zjednoczonych, to może się okazać, że decyzja Intela jest kolejnym elementem „deindustrializacji" Niemiec. Dlatego Niemcy obawiają się, że przesunięcie amerykańskiej inwestycji o dwa lata może oznaczać jej faktyczne zaniechanie. W opinii pesymistów po upływie tego czasu budowa fabryki czipów prawdopodobnie nie będzie już miała ekonomicznego uzasadnienia.

Marek Budzisz

Zimbabwe

Nowy kolonializm

Zimbabwe posiada bogate złoża litu, który jest niezbędnym składnikiem akumulatorów używanych w telefonach komórkowych i samochodach elektrycznych. Ten południowoafrykański kraj mógłby więc być jednym z najlepiej prosperujących państw w regionie. Tak jednak nie jest. Wydobycie litu przejęli bowiem Chińczycy, którzy wykorzystują go do produkcji baterii.

Chiny są obecne w Zimbabwe od wielu lat. Na początku XXI w. Pekin pomógł wyrwać się ówczesnemu dyktatorowi Zimbabwe Robertowi Mugabe z międzynarodowej izolacji. W zamian oczekiwał od niego dostępu do miejscowych surowców. A tych w Afryce nie brakuje. Zimbabwe należy bowiem do czołowych producentów złota i platyny. Co więcej, znajdują się tutaj wielkie złoża litu, których wartość po rozpoczęciu transformacji energetycznej wielokrotnie wzrosła.

Lit jest wydobywany w Zimbabwe od siedemdziesięciu lat. Pierwsza kopalnia została uruchomiona przez firmę górniczą Bikita Minerals. Od 2022 r. firma znajduje się w rękach Chińczyków, którzy wraz z nią uzyskali kontrolę nad największymi złożami litu na świecie, obliczanymi na 11 mln t tego strategicznego surowca.

Po wejściu chińskich firm eksport litu z Zimbabwe wzrósł o 855 proc.: z 70,6 mln dol. w 2022 r. do 674 mln dol. w ub.r. Celem jest osiągnięcie 20 mld dol. zysku z wydobycia litu do 2030 r.

Tak ambitny plan pociąga jednak za sobą wysokie koszty społeczne i środowiskowe. Władze Zimbabwe zakazały eksportu surowego litu, tłumacząc, że kraj uzyska większe dochody z tego minerału, jeśli firmy będą mogły eksportować wyłącznie przetworzony lit. Nietrudno się jednak domyślić, że Zimbabwe nie posiada odpowiednich zasobów kapitałowych i technologicznych, aby samodzielnie przetwarzać ten surowiec. Zajęły się więc tym firmy chińskie. W rezultacie Chińczycy zaczęli narzucać ceny dostawcom litu, co sprawiło, że miejscowi górnicy zostali praktycznie wyrugowani z rynku. Oferuje im się bowiem zaledwie 3 proc. ceny za wydobytą tonę surowca.

Jednocześnie z wielu miejsc docierają informacje o brutalnym wysiedlaniu tubylczej ludności z miejsc, gdzie znajdują się złoża poszukiwanego surowca. Chińczycy przekupują lokalnych kacyków, a jeżeli to nie pomaga, wsie są otaczane przez buldożery, a ich mieszkańcy wypędzani.

Pekin odrzuca te zarzuty, twierdząc, że szanuje miejscowe prawa oraz ludność. Jednak zdaniem cytowanego przez portal Al Jazeera miejscowego działacza społecznego „Chiny robią to samo, co robiły kiedyś europejskie mocarstwa kolonialne – rabują surowce". Nie byłoby to możliwe bez zgody miejscowych władz, które z bliskiej współpracy z Chinami czerpią duże profity.

Konrad Kołodziejski

Kara za obronę granicy

Włochy

Włoski prokurator domaga się sześciu lat więzienia dla wicepremiera Matteo Salviniego. W 2019 r. Salvini jako minister spraw wewnętrznych nie wpuścił na terytorium Włoch grupy 147 imigrantów przemyconych nielegalnie do portu w Lampedusie.

Salvini konsekwentnie prowadził politykę „zamkniętych portów", zawracając wiele z łodzi przed przybiciem do brzegu, a organizacjom trudniącym się dostarczaniem imigrantów zarzucał współpracę z przemytnikami ludzi. „To niewiarygodne, że ministrowi Republiki Włoskiej grozi sześć lat więzienia za wykonywanie swojej pracy polegającej na obronie granic kraju" – oświadczyła premier Giorgia Meloni, biorąc w obronę swojego wicepremiera. Ujęli się za nim także m.in. Marine Le Pen oraz Viktor Orbán. Natomiast Elon Musk w szyderczym wpisie na platformie X (d. Twitter) oświadczył, że to „niespełna rozumu prokurator" powinien trafić do więzienia.

Sprawa toczy się przed sądem w Palermo i jest pokłosiem szerszego konfliktu politycznego, który wybuchł wokół tej sprawy. Decyzję Salviniego o zamknięciu portów dla nielegalnych imigrantów podważał sąd administracyjny, nie chcieli jej wykonywać koalicyjni ministrowie, a ostatecznie do akcji wkroczył prokurator.

Prokuratura powołała się na międzynarodowe konwencje, oświadczając wprost, że „prawa człowieka są ważniejsze od obrony granic". Stanęła również na stanowisku, że nielegalni imigranci nie stanowili niebezpieczeństwa, a statek, którym przypłynęli, działał zgodnie z prawem. Ostateczna decyzja w tej sprawie ma zapaść w październiku, a prawomocny wyrok skazujący może skutkować zakazem pełnienia funkcji publicznych dla Salviniego. W praktyce oznacza to eliminację szefa Ligi z włoskiego życia politycznego. „Sześć lat więzienia za powstrzymanie zejścia na ląd i obronę kraju? To jakieś szaleństwo. Obrona Włoch nie jest przestępstwem" – broni się Matteo Salvini.

Działania włoskich śledczych przypominają torpedowanie działań Straży Granicznej w Polsce przed trzema laty przez ówczesną opozycję i organizacje pozarządowe. To także przejaw traktowania prawa przez liberalną oligarchię jako instrumentu w walce o władzę. W imię tworzenia społeczeństwa multikulturowego.

Maciej Walaszczyk

Gorączka złota

Podczas swojej niedawnej pielgrzymki do Papui-Nowej Gwinei Franciszek wezwał do położenia kresu przemocy plemiennej i sprawiedliwego podziału bogactwa pochodzącego z zasobów naturalnych. Tydzień po jego wyjeździe na tym właśnie tle wybuchły gwałtowne starcia międzyplemienne, w których zginęło ok. 20 osób.

Walki koncentrowały się wokół kopalni złota Porgera – jednego z 10 największych tego typu przedsiębiorstw na świecie. W 49 proc. należy ono do kanadyjsko-chińskiej firmy Barrick Niugini, a w 51 proc. do papuaskich akcjonariuszy, wśród których znajdują się także właściciele tamtejszych ziem wywodzący się z lokalnych plemion. Otrzymują oni dochód w ramach rekompensaty za szkody środowiskowe spowodowane działalnością górniczą. Na skutek zanieczyszczenia miejscowych wód grunty rolne nie nadają się bowiem do uprawy.

Złoto z Porgery zaczęło przyciągać jednak przybyszów z odległych stron. W ostatnim czasie w okolicy osiedliły się tysiące osób z innych regionów kraju, głównie członków obcych plemion. Wśród nich jest wielu nielegalnych górników, którzy bezprawnie zajmują cudze ziemie i na własną rękę wydobywają cenny kruszec. Są uzbrojeni i terroryzują okoliczną ludność. Oczywiście nie płacą miejscowym właścicielom za szkody spowodowane swoją rabunkową działalnością. Prowadzi to do ciągłych potyczek, w których giną ludzie.

Sytuację utrudnia fakt, że otoczona lasami tropikalnymi kopalnia znajduje się w trudno dostępnym rejonie na wysokości ponad 2 tys. m n.p.m. W maju na skutek osunięć ziemi zginęło tam ponad 100 osób i zasypane zostały wszystkie drogi prowadzące do złotego zagłębia. Do odciętego regionu można było dotrzeć tylko helikopterem. Dlatego władzom trudno zaprowadzić tam porządek.

Po wyjeździe Franciszka nastąpiła eskalacja konfliktu. Do akcji wkroczyła policja, która dostała rozkaz strzelania do wszystkich uzbrojonych mężczyzn w miejscach publicznych. Intruzi nie składają jednak broni. Zapowiada się więc kolejna w dziejach ludzkości walka o złoto.

Grzegorz Górny

Papua-Nowa Gwinea

eprasa.pl 36fbceef5c

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Kolejna wersja demokracji

Jan Pietrzak

Pisał wieszcz: „O czym że dumać na paryskim bruku, przynosząc z miasta uszy pełne stuku, przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów, za późnych żalów, potępieńczych swarów". Jeżeli paryski bruk zmienimy na warszawski beton, cała reszta pasuje do naszej nieszczęsnej sytuacji jak ulał. Co jest w jakimś stopniu pocieszające, ponieważ uświadamia nam, że nie jesteśmy jedynym ogłupionym pokoleniem w narodowej sztafecie.

Zarządzona przez premiera przemiana demokracji liberalnej na demokrację walczącą jest tego najlepszym dowodem. Mało kto protestuje, a przecież grozi nam tuskatura z jej niejasnymi konsekwencjami. Premierowi nie podoba się konstytucyjna struktura władz, jak Trybunał Konstytucyjny, Narodowy Bank Polski, duże firmy państwowe i mnóstwo innych rzeczy, które przez ok. 30 lat budowano na gruzach sowieckiej władzy. Początkowo zwała się demokracją ludową, a następnie socjalistyczną. Czym jedna różniła się od drugiej, jakoś mi umknęło, choć żyłem w czasie tamtych burzliwych przemian. Może suki milicjantów zmieniły kolorystykę? Może po kartkach na kiełbasę przeszliśmy na bony cukrowe?

Powstanie III RP wymuszone przez bunt Solidarności było zmianą realną, ważną, z tym zastrzeżeniem, że niedokończoną. Naprawiać Polskę powinny partie, które nasz kraj kochają, a nie te, które go nienawidzą. Paradoksem obecnej sytuacji jest fakt, że premier boleśnie obraził twórców obowiązującej konstytucji. Niektórzy jeszcze żyją. Uczynił z nich nieudaczników. Nie potrafili napisać właściwej konstytucji! Ustanowili takie zasady, że większość sejmowa nie może wprowadzać ustaw, musi rządzić uchwałami, co jest bezprawiem. Bezspornie, nieodwołalnie. Niezła heca! Ponadto oburzenia nie kryją tzw. kodziarze, którzy z demonstracji w obronie tej właśnie konstytucji przed okrutnym PiS zrobili sobie wieloletnie źródło utrzymania. Po przejęciu władzy przez ich wymarzoną opcję liczyli na ordery, gratyfikacje, stanowiska ambasadorów w Dubaju i Monte Carlo, a pozostał wstyd i popelina. Kto wie, czy nie zostaną poddani procedurze czynnego żalu. To sprawdzony za komuny zabieg psychologiczny regulujący normy współżycia społecznego. W czasach Gierka pewien towarzysz tak się pobudził, samokrytykując się na trybunie, że zaczął zrzucać garderobę z żalu i zgryzoty. Czynniki zomowskie podjęły odpowiednie czynności i dalszy ciąg żalu przebiegał w miejscu bardziej kameralnym. Wszystko już było, mówił Ben Akiba, podobno mędrzec, ale kto go tam wie?

Czesi mądrzy przed szkodą

Samuel Pereira

Kilkanaście dni temu Polska i Czechy stanęły przed podobnym potencjalnym zagrożeniem powodziowym. Premierzy naszych krajów pokazali tego samego dnia, tj. 13 września, dwa zupełnie różne podejścia do kwestii zarządzania kryzysem, czego skutki wpłyną na losy ich obywateli.

Premier Petr Fiala od samego początku rozumiał powagę sytuacji. Już w środę zwoływał komisje powodziowe, przygotowywał zbiorniki retencyjne i organizował spotkania z wojewodami. W piątek 13 września jasno mówił, że kraj musi być gotowy na „najgorsze scenariusze", bo „nic innego nie byłoby odpowiedzialne". Dokładnie tak. Czeski rząd od samego początku postawił na uczciwość wobec obywateli, dla ich dobra. Taka postawa nie tylko zabezpieczała kraj przed potencjalnym kataklizmem, lecz także dawała mieszkańcom poczucie, że są chronieni.

Z kolei premier Donald Tusk postawił na ściemę. Zabrakło i ostrzeżeń, i konkretnych działań. Szef rządu przekonywał, że „nie ma powodu do paniki", a „prognozy nie są alarmujące". Dla Polaków mogło to brzmieć kojąco, jednak rzeczywistość okazała się brutalna. Powódź to jedno z tych zagrożeń, na które trzeba reagować szybko i zdecydowanie, a nie ukrywać prawdę przed obywatelami, maksymalizując szkody.

W dniu, gdy Fiala mobilizował wszystkie zasoby do walki z żywiołem, Tusk zapewniał, że Polska jest „lepiej przygotowana niż w poprzednich latach". Zabrakło konkretów, które byłyby niezbędne do uspokojenia, a także przygotowania ludzi na nadchodzące zagrożenie. Czy chodziło o to, by ukryć sprawę przepełnionych zbiorników retencyjnych?

Polska ma długą historię zmagań z powodziami – od dramatycznych wydarzeń z 1997 r. aż po współczesne zagrożenia. W obliczu takich sytuacji nie można powielać błędów, w końcu Polak mądry po szkodzie. A jednak. Zignorowaliśmy zagrożenie i powtórzyliśmy pomyłki z przeszłości. Jak się okazuje nie tylko w kwestii gotowości na katastrofy naturalne, lecz także politycznych decyzji, które doprowadziły do tego, że dziś znów premierem jest Donald Tusk, co odbija się na bezpieczeństwie obywateli.

eprasa.pl 36fbceef5c

Chocholi taniec Brukseli trwa

Wrzesień. Brukselskie wakacje definitywnie dobiegły końca, na parlamentarne i komisyjne korytarze wróciły plotki i lobbyści, dziennikarze znów szukają sensacji i przecieków, a unijni urzędnicy wysypali piasek z butów (choć niektórym przydałoby się także z głów).

Unia Europejska żyje wyborem komisarzy kierujących jej rozwojem przez następne pięć lat oraz ogłoszeniem przez nich konkretnych planów i strategii działań. Działań, które mają bezpośredni wpływ na poziom życia i bezpieczeństwo każdego z nas, na nasze biznesy, na miejsca pracy i przyszłość naszych dzieci. Wszyscy mają świadomość, że to wybór „ostatniej szansy" i ta kadencja zdecyduje o pozycji Europy w świecie na dziesięciolecia.

Jak wygląda unijna gospodarka pod butem „klimatycznych" szaleńców każdy wie i widzi po własnej kieszeni, bez litości bitej „zielonymi" podatkami, po medialnych nagłówkach ogłaszających podwyżki rachunków za wszystko i likwidację kolejnych dużych zakładów. Po zapowiedziach coraz to nowych i coraz gorszych zakazów i nakazów – zlikwiduj (sprawny) piec, wyremontuj (drogo) dom, wymień (na kosztownego elektryka) samochód, nie jedz mięsa ani sera, nie lataj na wakacje – inaczej zapłacisz srogie kary za „zabijanie planety".

Reszta rozwiniętego świata przygląda się z rozbawieniem, jak Europejczycy sami sobie podkładają nogę i oddają walkowerem gospodarczy wyścig o dobrobyt, a te przedsiębiorstwa, które jeszcze się ostały w Europie, ostrzegają w deklaracji antwerpskiej, że albo się, Unio, ogarniesz, albo i my przeniesiemy swoje biznesy (w tym podatki i miejsca pracy) poza twoje pseudoekologiczne szaleństwo.

Unijni urzędnicy też w końcu dostrzegli, co się święci i zrozumieli, że potrzebna jest jakaś zmiana. Zabiegająca o ponowny wybór Ursula von der Leyen zapowiedziała proprzemysłowy zwrot w Europie, uproszczenie prawa i wszelkie działania przywracające konkurencyjność europejskich firm. Skutki ideologicznej, superzielonej polityki unijnej oraz strategie (i koszt) powrotu do normalności miały zostać przedstawione w specjalnym raporcie byłego premiera Włoch Maria Draghiego. Raport, początkowo zapowiadany na wiosnę, przed wyborami został schowany w unijnych szufladach. W końcu go jednak opublikowano. Czytamy w nim postulaty analogiczne do publikowanych wcześniej przez premiera Mateusza Morawieckiego – że Europa musi urealnić swoją politykę klimatyczną, ETS zabija europejski przemysł, „ekologiczny" podatek graniczny nie działa, a utrzymanie ścieżki odejścia od paliw kopalnych wymaga inwestycji w przemysł na poziomie 900 mld euro rocznie (4,5–5 proc. PKB UE). Alternatywą jest albo urealnienie celów klimatycznych (spowolnienie odejścia od paliw kopalnych i zmniejszania emisji), albo ostateczny upadek gospodarczy Europy.

Zielony Ład przygniata biznes i drenuje kieszenie mieszkańców Unii. Mario Draghi publikuje raport ostatniej szansy. Wyścig do najważniejszych gospodarczych foteli w Komisji Europejskiej na ostatniej prostej, a przewodnicząca von der Leyen skupia się na walce o parytet płci

Przyszłość gospodarcza Unii to ogromne wyzwanie, do którego konieczne jest porozumienie wszystkich państw i przekonanie większości obywateli. Potrzebne są trudne decyzje i ich konsekwentne wdrażanie. Potrzebne są gigantyczne pieniądze (których na razie Unia nie ma) i ich rozważne wydawanie. I najważniejsze – potrzebni są doświadczeni komisarze gospodarczy, fachowcy, którzy zaprojektują i przeprowadzą ten plan ratunkowy dla europejskiej gospodarki. Takich miała szukać Ursula von der Leyen, tymczasem skupiła się na zapewnieniu równowagi płci kandydatów (i kandydatek). Jako że kraje członkowskie przesłały za dużo męskich (nieważne, że fachowych i doświadczonych) nazwisk, ogłoszenie proponowanego składu Komisji się opóźniało, bo przewodnicząca KE wydzwaniała po europejskich stolicach, naciskając na wymianę kandydatów. Nie wróży to dobrze Europie, choć o ostatecznej „jakości" kandydatek oraz kandydatów i ich planów przekonamy się podczas wysłuchań w europarlamencie. O czym zapewne opowiem następnym razem.

Daniel Obajtek

eprasa.pl 36fbceef5c

Walizka Marty Kielczyk

prowadzącej Wiadomości wPolsce24

Próbuję zamykać mój świat w coraz mniejszej walizce. Na wyjazd z miejskiej dżungli do Kenii spakowałam cztery pory roku na safari. Na „jakby co". Na podróż do Los Angeles na rozdanie Oscarów udało mi się spakować tak, żeby nie umęczyć się dźwiganiem bagażu i długą podróżą. Ale już ostatnie wizyty w Londynie udawało mi się realizować tylko z podręcznym plecakiem. Tak by nie musieć czekać na lotnisku na bagaż. W tym plecaku mieścił się i wieczorowy strój na czerwony dywan wielkich kinowych premier z Emily Blunt, Zendayą czy Ryanem Goslingiem, i sprzęt do nagrań wywiadów czy filmów. Bo z czasem zaczęłam cenić minimalizm. To jest mój luksus. Oczywiście nadal miewam rzeczy na „jakby co", ale tego chyba uczy natura newsów, które są nieprzewidywalne i wymagają reakcji tu i teraz. Kiedy zobaczyłam Ukraińców spieszących w stronę naszej granicy, a potem powodzian, uświadomiłam sobie, że cały swój świat da się spakować w cokolwiek. I że on, jeśli musi, może być mniejszy niż nasze wyobrażenia o nim. Że ten świat to my. Rzeczy tylko nas dookreślają.

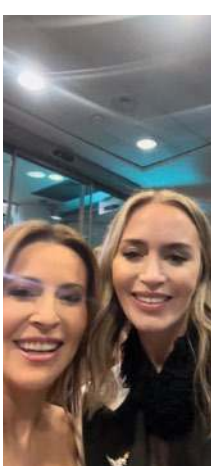

KSIĄŻKI

Wprawdzie lubię tradycyjne książki, zwłaszcza dotykające historii, polszczyzny, kina czy biografie, ale o ile lżejszy jest bagaż, kiedy mamy je w aplikacji. Niektóre publikacje mają znaczenie sentymentalne. Gdy poznało się autora, mówią do nas wspomnieniami. Tak jest w przypadku Ernesta Brylla. Ostatniego wywiadu udzielił mnie. Zawsze będę pamiętać sposób patrzenia na świat i sposób jego opisywania, którego już nie ma.

Fot. Andrzej Wiktor, archiwum Marty Kielczyk

eprasa.pl 36fbceef5c

MINIKOSMETYKI I AIRBRUSH

Potrafię zamknąć najwytworniejszy makijaż w kosmetyczce mniejszej niż airbrush, od którego jako gadżeciara jestem uzależniona. Dzięki niemu make-up zarówno na wizję, jak i na co dzień jest po prostu błyskawiczny i jednocześnie bezbłędny. Komfortowy na planie zdjęciowym w stylu influencerskim.

RAKIETA I SKAKANKA

Wywiady z Igą Świątek były świetną motywacją do powrotu do gry w tenisa. Za to pandemia uniezależniła mnie od miejsc uprawiania sportu. Mam wiele sprzętów w wersji mini: bezprzewodową skakankę, wiosła sprężynowe, bieżnię, która chowa się pod łóżko. To samo z licznymi masażerami i sprzętem sprzątającym – łącznie z robotem myjącym szyby. Tak, jestem gadżeciarą.

GIMBAL, LED, MIKROFONY

Moje podręczne mobilne studio. Podstawa to oświetlenie, nagłośnienie i automatyczny operator, śledzący mój ruch przed kamerą.

RÓŻE, „KRAWATKI", BERET

Dodatki nie zajmują wiele miejsca, a potrafią zrobić stylizację, zwłaszcza w sytuacji nagłego zaproszenia na wyjeździe, np. do ambasady. Ta sama sukienka zaledwie wzbogacona o różę albo koszula o „krawatkę" nadaje zwykłej kreacji wieczorowego stylu, a beret sportowego, kiedy trzeba.

SZPILKI I MINITOREBKA

Najlepszym obrazem minimalizmu, do którego dążę, jest torebka niczym dla dziecka. Zmieści się w niej szminka. Telefon już nie. Za to z dodatkami takiej wielkości i uniwersalnymi szpilkami da się lecieć wprost na czerwony dywan do Londynu czy do BBC. Kiedyś do pracy nosiłam duże torby, w których miałam spakowany cały dzień. Teraz najlepiej się czuję z małą damską torebką, a dzień po prostu przeżywam. Oczywiście sporo ułatwia domowa atmosfera w naszej redakcji, gdzie wszystko po prostu mam na miejscu.

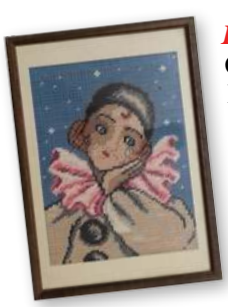

ROBÓTKI

Cała ja w walizce to także pasje nieuchwytne. Ich obrazem są robótki ręczne. Haftuję nie tylko na antenie, kiedy trzeba. Głównie rzeźbię i maluję. Zwykle po numerkach. Czasem ściany. Nie zawsze z efektami, za to zawsze z przyjemnością

KRASNAL

Podróżnik do pamiątkowych zdjęć, niczym w filmie „Amelia"

MIKROFON

Przez kilkanaście lat pracowałam w radiu, gdzie zaczynałam swoją dziennikarską przygodę. Do dziś zwracam uwagę na dykcję, tembr głosu i polszczyznę, za którą notabene otrzymałam cenne dla mnie wyróżnienie Mistrz Mowy Polskiej. Mam też na koncie kilka nagranych audiobooków.

PAMIĄTKI

Kiedyś często wracałam z dalekich podróży z dodatkowym bagażem, takim na prezenty i pamiątki albo porostu świetne „okazje". Z Kuwejtu wiozłam nawet przepyszną paprykę i przepiękną deskę do krojenia. Teraz przerzuciłam się na breloczki i apaszki, a te wejdą w każdą wolną przestrzeń w podręcznym bagażu.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl 36fbceef5c

Poezja a sprawa polska

Ostatnio na zaproszenie organizatorów IX Przystanku Niepodległość w Lewinie Kłodzkim brałem udział w panelu z okazji 80. rocznicy powstania warszawskiego. Tam na spotkaniu autorskim promowałem również trzy tomiki moich wierszy patriotyczno-historycznych. Przy tej okazji wywiązała się bardzo ciekawa dyskusja na temat kondycji polskiej twórczości tożsamościowej. Okazuje się, że dwa miesiące powstania obrodziły większą liczbą przebojowych piosenek patriotycznych (wręcz megahitów), niż udało się wygenerować współczesnym twórcom wolnej Polski w ciągu ostatnich trzech dekad! Pamiętam jeden z wywiadów z największym z żyjących wtedy poetów – Jarosławem M. Rymkiewiczem, w którym autor ujawnił nakład swego najnowszego tomiku: równo 1 tys. sztuk (słownie: tysiąc). Na 38-mln kraj!

Trwające aktualnie rugowanie z programów nauczania wybitnej polskiej poezji jeszcze bardziej pogłębi tę zapaść. Tym samym dewiza Słowackiego: „Chodzi mi o to, aby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa..." wraz z rezygnacją z pomyślunku odchodzi właśnie do lamusa. Bo i po co ubierać w piękne słowa ideologiczną głupotę, którą wtłacza się dziś do głów polskiej młodzieży? We współczesnym, hejterskim świecie znacznie bardziej przydatne im będą piętrowe wulgaryzmy, przywiezione na sowieckich tankach w 1944 r.

Gdy wiele lat temu w programie Telewizji Polskiej po raz pierwszy na antenie usłyszałem słowo „zaje...sty", wypowiadający je popularny poeta pieśniarz przestał być moim idolem. Ale lawina ruszyła. Najbardziej obrzydliwy ruski bluzg – „je...ć" tak „ubogacił" naszą ojczystą mowę, że pokłosie tego słychać dziś nawet w przedszkolach.

PS Mój znajomy, niegdyś zapiekły komuch, zapisał swoje wnuki do szkoły katolickiej. Gdy wyraziłem zdumienie tym jego nagłym nawróceniem, wyjaśnił: „To czysty pragmatyzm. Wiem, że tu nic im nie grozi. Ani przemoc, ani chamstwo. No i czegoś ich jeszcze nauczą!".

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: MONTAŻ FRATRIA; PAP/MACIEJ KULCZYŃSKI, SHUTTERSTOCK/MATMAZZINI, WIRESTOCK CREATORS, ALI CHEHADE FARHAT, AJDIN KAMBER, RUNJA, LUMIR JURKA LUMIS; ANDRZEJ WIKTOR, DOMENA PUBLICZNA, SHUTTERSTOCK/RICCARDO DE LUCA - UPDATE, CORONA BOREALIS STUDIO

eprasa.pl 36fbceef5c

Czas na korektę polityki UE!

Marta Kaczyńska-Zielińska

Zmiany klimatyczne i wieloletnie zaniechania wymuszone przede wszystkim przez podporządkowanie się błędnie rozumianym względom ekologicznym i politycznym spowodowały pilną konieczność szybkiego zainwestowania miliardów w infrastrukturę wodną, aby skutecznie móc zapobiegać tragediom, takim jak ostatnia powódź w Europie. Potrzeba większej liczby zbiorników i innych instalacji hydrotechnicznych, takich jak np. wybudowany za rządów Zjednoczonej Prawicy największy zbiornik retencyjny w Polsce w Raciborzu, który zabezpiecza przed powodzią obszar o powierzchni ok. 600 km² zamieszkiwany przez 2,5 mln ludzi.

Takie ogromne wyzwania inwestycyjne powinny być wspierane przez fundusze unijne, które w ten sposób zostałyby znacznie zasadniej zagospodarowane niż trwonienie ich na wymuszoną ideologicznie transformację energetyczną, której zasadniczym skutkiem może się okazać zapaść gospodarcza Europy.

W czerwcu 2021 r. polscy przedsiębiorcy utworzyli Komitet ds. Wody przy Federacji Przedsiębiorców Polskich w celu oddziaływania na toczące się w strukturach europejskich prace nad regulacjami gospodarki wodnej. Przedsiębiorcy apelowali o utworzenie unijnego Funduszu na rzecz Niebieskiej Transformacji, który ułatwiłby finansowanie inwestycji wodnych. Dla Polski to szczególnie ważne, bowiem sytuacja hydrologiczna naszego kraju jest jedną z gorszych w Europie.

W tym samym roku ogłoszono, że rząd Zjednoczonej Prawicy planuje uruchomić wieloletni program budowy w kraju 19 dużych zbiorników retencyjnych, którego koszt wyniesie 12 mld zł. Inicjatywa budowy nowych zbiorników retencyjnych może być wielką szansą dla polskich przedsiębiorców, dla polskich wykonawców, którzy mogliby wziąć udział w tych inwestycjach. Zbiorniki te miałyby za zadanie uchronić rolników od suszy, a mieszkańców od powodzi. Dzięki nim pozyskiwanie wody do nawadniania upraw staje się tańsze i bardziej dostępne. Zwiększenie retencji wpływa też pozytywnie na lokalną faunę i florę.

Tymczasem rolnicy muszą się zmagać nie tylko z suszami i powodziami, lecz także z nadciągającym Zielonym Ładem, który uderza w rolnictwo, a więc w bezpieczeństwo żywnościowe Europejczyków. W ciągu ostatnich 10 lat w Europie zlikwidowano 3 mln gospodarstw rolnych. Średni wiek rolnika to 57 lat. Komisja Europejska, forsując Zielony Ład, doprowadzi do radykalnego zwiększenia kosztów produkcji rolnej wewnątrz UE. Jednocześnie otwiera europejski rynek na towary importowane z państw trzecich, tańsze i nierzadko o znacznie gorszej jakości niż produkty stanowiące plony rodzimych gospodarzy. Będziemy zmuszeni spożywać żywność gorszej jakości i będzie to przekładało się na pogorszenie naszego zdrowia. Wdrożenie poszczególnych przepisów składających się na Zielony Ład może doprowadzić do utraty konkurencyjności polskiej gospodarki, zubożenia Polaków i dewastacji krajobrazu.

Polska jest państwem, które wzięło na siebie największy ciężar związany z pomocą napadniętej przez Rosję Ukrainie i nie uzyskało za to adekwatnego wsparcia ze strony Unii. Podobnie jest w przypadku obrony zewnętrznej granicy UE – naszej wschodniej, która generuje olbrzymie koszty, w których Unia także nie partycypuje w znaczący sposób. Przypomnijmy jeszcze, że ze względów politycznych możliwości pozyskania instrumentów finansowych na walkę ze skutkami pandemii COVID-19 zostały Polsce mocno ograniczone. Aktualnie wielu Polaków pozostało bez dachu nad głową, w wielu przypadkach bez pracy i infrastruktury niezbędnej do codziennego funkcjonowania. To chwila, w której Unia Europejska, kierując się tak często przywoływaną zasadą solidarności i dążeniem do zrównoważonego rozwoju, powinna zweryfikować swoją dotychczasową samobójczą politykę. Powinna jak najszybciej udzielić powodzianom systemowej pomocy, a przede wszystkim przystąpić do prac legislacyjnych nad polityką, która zaradzi realnym problemom, a nie poprzestawać na generowaniu mechanizmów opartych na fałszywych przesłankach, szkodliwych dla poszczególnych państw członkowskich UE i ich obywateli, takich jak Zielony Ład.

REKLAMA

3/0824/F

eprasa.pl 36fbceef5c

Zarządzanie katastrofą

Polska ma wielki problem. Na czele jej rządu stoi człowiek, który bagatelizuje nadciągający kataklizm, ale nie zapomina o własnym PR. Państwo urządził według strategii zemsty – zwalniając fachowców i kreując chaos w momencie kryzysu. Na dodatek jego podwładni otwarcie nawołują do polityki koszmarnej w skutkach dla naszego kraju, a korzystnej dla Niemiec

eprasa.pl 36fbceef5c

Fot. Sergei GAPON/AFP/East News

MAREK PYZA

„Prognozy nie są przesadnie alarmistyczne". „Nie ma powodu do paniki". Te dwa zdania wypowiedziane przez Donalda Tuska 13 września będą się ciągnąć za nim latami. Nie tylko dlatego, że nie przystawały do rzeczywistości i szybko okazało się, iż powodów do paniki było mnóstwo, a prognozy aż wrzeszczały: szykujcie się na armagedon!

Słowa premiera są soczewką, w której zobaczyliśmy stan państwa pod jego rządami. Każdy kolejny dzień boleśnie weryfikował jakość zarządzania kryzysem powodziowym. Wiele terenów zostało uratowanych przez pospolite ruszenie i zaangażowanie zwykłych ludzi. Jednocześnie geometrycznie przyrastała liczba doniesień o chaosie, braku informacji, ludzi, sprzętu, a nawet pomysłów na to, jak pomóc tym, którym w ciągu paru godzin świat zawalił się na głowę.

Nikt rozsądny nie kupi argumentu premiera o rozbieżnych prognozach, skoro nawet unijny komisarz przyznał, że już 10 września wszystkie kraje zostały ostrzeżone przed nadciągającą powodzią. Na najgorsze szykowali się też nasi południowi sąsiedzi, gdy w piątkowy wieczór Polacy szli spać pokrzepieni przez swojego premiera.

Muszą wybrzmieć pytania: dlaczego Donald Tusk zlekceważył tę powódź? Dlaczego zamiast alarmować mieszkańców oraz zmobilizować do działania podległe mu służby, pozwolił sobie na wypowiedź, która wszystkich uspokoiła?

Próbuje się nie dopuszczać tych kwestii jako przedmiotu sporu politycznego. Wręcz stosowany jest szantaż moralny: żadnej krytyki aż do usunięcia skutków powodzi, a kto się nie podporządkuje, ten hiena! Nowe standardy politycznych uników ogłosił Szymon Hołownia, który dopytywany o zaniedbania władzy, kuriozalnie rugał dziennikarza, odbijając piłeczkę: „A co pan zrobił, żeby wybudować te zbiorniki retencyjne?".

Zupełnie jakby władza nie była wybierana właśnie po to, by zajmować się m.in. takimi błahostkami jak bezpieczeństwo obywateli. Choć przyznajmy, posiedzenia sztabów kryzysowych rzeczywiście każą wnioskować, że od tej ekipy nie można wymagać za dużo.

POŻAR W CZASIE POWODZI

W tej sprawie mamy dwa grzechy główne premiera. Pierwszym jest zlekceważenie problemu. Rzecz dla Donalda Tuska charakterystyczna. W obliczu kryzysu najlepiej na chwilę się schować, zamknąć oczy, może problem zniknie. Można wręcz powiedzieć, że bylibyśmy zdziwieni, gdyby się czymś przejął.

Grzech drugi to doprowadzenie do rozkładu struktur państwa, co jest konsekwencją czystek politycznych we wszystkich możliwych instytucjach. Nie ominęły one ani Wód Polskich, ani nawet Państwowej Straży Pożarnej.

Efekty? Kompletny bałagan, potęgujący się z każdym dniem od 13 września. Oto kilka przykładowych scen z ubiegłego tygodnia. Ich zderzenie ze słowami premiera jest porażające.

Burmistrz Nysy uspokaja, że miastu nic nie grozi, ludzie mają siedzieć w domach, bo tam jest najbezpieczniej. Trzy godziny później dramatycznym tonem nawołuje do natychmiastowej ewakuacji.

Skąd takie rozbieżności w tak krótkim czasie? Mogą to tłumaczyć słowa burmistrza Oławy, który następnego dnia skarży się, że nie dostaje żadnych rzetelnych informacji, więc nie wie, na co ma przygotować mieszkańców.

Kolejny dzień, na posiedzeniu sztabu kryzysowego premier mówi do szefowej Wód Polskich, że szokują go przekazywane przez nią informacje o braku komunikacji i kooperacji nadzorców zbiorników retencyjnych. W czasie transmisji telewizyjnej wykłada dowód na to, że nikt nad niczym nie panuje, a podległe mu instytucje nawet nie informują się, kto i kiedy zrzuca wodę ze zbiorników.

Wody Polskie w piątek, jeszcze przed pierwszą falą, gromadzą wodę w zbiornikach retencyjnych, podczas gdy Tauron opróżnia swoje zalewy, co wydaje się ze wszech miar logiczne i słuszne. Dlaczego Wody tego nie robiły? Tydzień później przyznały się, iż było to podyktowane „przeciwdziałaniem rozkwitowi złotej algi". To akurat niestety nie jest fake news ani żart. Ryzykowali wylanie rzek z koryt, bo martwili się algami!

Inne posiedzenie sztabu. Prezydent Wrocławia podaje fake newsa o przerwaniu wału i wybiega. W konsekwencji straż pożarna jest przerzucana z Oławy – gdzie jest szalenie potrzebna – do Mietkowa, gdzie – jak się szybko okaże – nic się nie dzieje. `

W jednej z telewizji mieszkaniec Głuchołazów opowiada, jak służby wizytowały słynny most, na który wszyscy patrzyliśmy godzinami, a gdy tylko premier odjechał, nikt nie został do pomocy, most ostatecznie został zerwany, a miasto zalane.

W innej stacji radna Stronia Śląskiego łamiącym się głosem opowiada, że przez trzy dni próbowała zainteresować służby odnalezionymi zwłokami.

eprasa.pl 36fbceef5c

Mieszkanka tego miasteczka na tle zwalonych drzew, resztek budynków i innej infrastruktury załamana apeluje do premiera o interwencję, ponieważ „służby siedzą i nie wiedzą, co mają robić, bo nikt nimi nie zarządza".

Jeden wielki chaos! A przy okazji upadek tak chętnie lansowanej przez lewicowo-liberalne środowiska tezy, że z problemami mieszkańców najlepiej radzą sobie samorządy. A one nie mają przecież ani środków, ani przepisów, ani autonomii w wielu dziedzinach, które by pozwoliły panować nad kataklizmami. Od tego są władze centralne. Nikt ich w tym nie wyręczy.

CO Z TĄ STRAŻĄ?

Skoro Donald Tusk zarzeka się, że jego słowa o niealarmujących prognozach były niefortunne, a państwo i tak się przygotowało, sprawdźmy, ile w tym prawdy.

Nie potwierdzają tego te nieszczęsne posiedzenia sztabów kryzysowych. Może zamysłem otwartości tych zebrań było pokazanie Donalda Tuska jako odstającego o lata świetlne pod względem kompetencji od tych, którzy mu raportują sytuację? Nie dziwmy się – liniowi urzędnicy (inna rzecz, że zestrachani przed podjęciem jakiejkolwiek decyzji, by później nikt ich nie wsadził za kraty), bez doświadczenia przed kamerami wypowiedzą się tak, by przede wszystkim nie mieć kłopotów. A to powoduje, że praca sztabu jest paraliżowana. W teatrze – zwłaszcza tym rodem zza wschodniej granicy – nie rozwiązuje się problemów.

Według naszych informacji po 13 grudnia ub.r. Państwowa Straż Pożarna została zdziesiątkowana. Żelazna miotła Tuska wymieniła całą kadrę dowódczą w komendzie głównej, w 13 komendach wojewódzkich i w 150 (czyli w połowie) komend powiatowych. Odeszło wiele doświadczonych osób, a powrócili tacy, którzy ostatnie lata spędzili na emeryturze.

Za zarządzanie kryzysowe w Polsce odpowiada dziś wiceszef MSWiA Wiesław Leśniakiewicz, też były strażak ściągnięty z emerytury. Jego głównym zadaniem miało być stworzenie ustawy o obronie cywilnej. Miała wejść w życie w wakacje. Zbliża się październik, a akt nie wyszedł jeszcze z rządu.

Nic dziwnego, że opozycja podniosła kwestię zarządzania kryzysowego. Wicemarszałek Sejmu z Konfederacji Krzysztof Bosak mówił o konieczności powołania komisji śledczej ws. chaosu informacyjnego i doprowadzenia do zalania m.in. Nysy poprzez niespuszczenie wody ze zbiorników. A były wiceszef MSWiA Paweł Szefernaker, który odpowiadał za ten obszar w rządzie Zjednoczonej Prawicy, pytał premiera m.in., dlaczego w tygodniu poprzedzającym kataklizm nie zorganizowano sztabu składającego się ze strażaków np. w Częstochowie, gdzie znajduje się Centralna Szkoła Państwowej Straży Pożarnej, która świetnie spełniłaby rolę bazy wypadowej dla setek wozów. I wymieniał: „Mamy 30 tys. strażaków PSP i ponad 600 tys. strażaków ochotników, w tym 220 tys. przeszkolonych do takich działań, jakie konieczne są obecnie na południu, a w pierwszej dobie zadysponowano z całej Polski 700 strażaków".

Pierwsze cysterny z wodą pojechały na zalewane tereny dopiero 16 września. Trzy dni później PSP informowała w mediach społecznościowych: „Na obszarze województw opolskiego i dolnośląskiego działają trzy cysterny oraz kontener do wody pitnej z zasobów PSP. Dodatkowo 19 września zadysponowano dwie kolejne cysterny do wody pitnej". 5 cystern na dwa

Fot. Domin Barski/WOT

eprasa.pl 36fbceef5c

Fot. KPRM

województwa, w których ciężko nawet zliczyć wioski cierpiące na brak wody pitnej!

Tej entropii nie da się już tapetować. Nawet bliski obecnej władzy Onet obficie cytuje więc samorządowców: „W pierwszych godzinach powodzi aparat państwa działał tragicznie". „Gdy z nieba lała się już ściana wody, dzwoniliśmy po nocy do województwa i mówiliśmy, że jest źle i trzeba już działać. Uważano, że panikujemy". „Odgrywamy obecnie spektakl z dobrym carem i złymi bojarami". „Jeśli ostatecznie ktoś za to, co się stało, nie »beknie«, to ja już w Polskę nie wierzę".

Może warto uwierzyć w Niemcy? Oni przecież wiedzą najlepiej, co dobre dla naszej wspólnej Odry. A w potrzebie nawet Bundeswehrę przyślą do pomocy. Komunikując ten fakt, krotochwilny premier pozwolił sobie na taki żarcik: „Z pomocą zgłosili się też żołnierze, to terytorialsi też, z Niemiec, więc jak zobaczycie niemieckich żołnierzy, proszę nie wpadać w panikę. To jest pomoc, żeby nie było wątpliwości".

Szef polskiego rządu ma stalową odporność. W obliczu takiego dramatu nie każdy umiałby znaleźć przestrzeń na dowcipkowanie.

PR PREMIERA

Sytuacje kryzysowe mogą być dla polityków miną, która ich wysadzi, albo okazją do zapunktowania w oczach opinii publicznej. Niestety Donald Tusk w takich chwilach stanowi zagrożenie. Tak było w kwietniu 2010 r., gdy państwo skapitulowało przed Putinem na wszystkich frontach. Tak było przy falach migracyjnych – zarówno w czasie szefowania przez niego Radzie Europejskiej, jak i później, gdy wrócił do polskiej polityki i sabotował walkę z migrantami na wschodniej granicy.

Za pierwszy tydzień powodzi w Polsce ciężko wystawić Donaldowi Tuskowi dobrą ocenę. Zostały bowiem obnażone jego największe mankamenty, łącznie z chorobliwym wręcz przywiązywaniem wagi do PR.

Zaczęto metodą: na rodzinnego faceta. Na stół wjechała „szczawiowa od Gosi", którą ktoś musiał premierowi dowieźć aż znad morza.

Drugi etap: na autorytet. Obok szefa rządu pojawił się Jerzy Owsiak, mający co prawda tyle samo zwolenników, co przeciwników, lecz z wizerunkiem charytatywnego guru. Na swoje nieszczęście Tusk ogłosił szefa WOŚP „najwybitniejszym specjalistą od szybkiej, dobrej pomocy dla ludzi". I przyznał tym samym, że kierowane przez niego państwo nie potrafi zapewnić ludziom pomocy. To politycznie rozgrzany macher od zbiórek i zarabiania na muzycznych festiwalach ma dać złudzenie, że ludzie nie zostaną pozostawieni samym sobie.

Czymże jednak jest 40 mln zł, jakimi na dzień dobry machnął Owsiak wobec problemów szpitala w Nysie, który tygodniami będzie remontowany i wyposażany w zniszczony sprzęt?

Zastrzeżmy: każda pomoc jest cenna, od pojedynczej złotówki pani Nowak po hojne dary od firm czy fundacji. Tych środków i tak zabraknie, zwłaszcza w długiej perspektywie. Jednak wyróżnienie spośród rzeszy pomagających tego jednego w czerwonych oprawkach zabolało wielu, nie tylko na opozycji.

Skoro za Owsiaka Tusk zebrał cięgi nawet po swojej stronie publicznej debaty, zaplecze premiera uruchomiło protokół: „Kierownik u poszkodowanych". Operacja ryzykowna, bo zawsze może się wymsknąć jakieś mało roztropne: „Ja wam wójta nie wybierałem" (Donald Tusk A.D. 2010). W otoczeniu szefa rządu do dziś pamiętają też jego rozmowę z plantatorem papryki, którego uprawy w 2011 r. zniszczyła nawałnica. Mężczyzna zasypał wówczas szefa rządu potokiem skarg, a jego dramatyczne: „Jak żyć?!" długo nie mogło się odkleić od Tuska.

Rzecz przygotowano więc precyzyjnie. Premier odwiedził wiele domów (przyznał później, że musiał się nasłuchać mnóstwa cierpkich słów), a jego służby skleiły z tej peregrynacji minutowe podsumowanie wideo. Lecz i tu ktoś przedawkował propagandę, bo niektóre ujęcia na nagraniu wyglądają na inscenizowane – są też niezbyt korzystne dla szefa PO. Cała uwaga szybko bowiem skupiła się na scenie, w której operator kamery czeka w zniszczonym pomieszczeniu, aż otworzą się drzwi, zza których, przedzierając się przez stertę mułu i resztek domowych sprzętów, Donald Tusk z trudem wkroczy do środka.

Podkreślmy: władza ma oczywiście prawo pokazywać swoje osobiste zaangażowanie w niesienie pomocy, obecność na miejscu szefa rządu (zwłaszcza tak autorytarnego) może dodatkowo mobilizować służby i urzędników, a niektórym po prostu dodawać otuchy. Ale czy kwestie wizerunkowe nie przesłaniają premierowi rzeczy istotniejszych?

Patrzylibyśmy na to inaczej, gdyby szefowi rządu nie można było zarzucić bagatelizowania zagrożenia i gdyby nie ulepił swojego rządu z ludzi, których karty biograficzne są w obliczu tej powodzi wręcz haniebne.

eprasa.pl 36fbceef5c

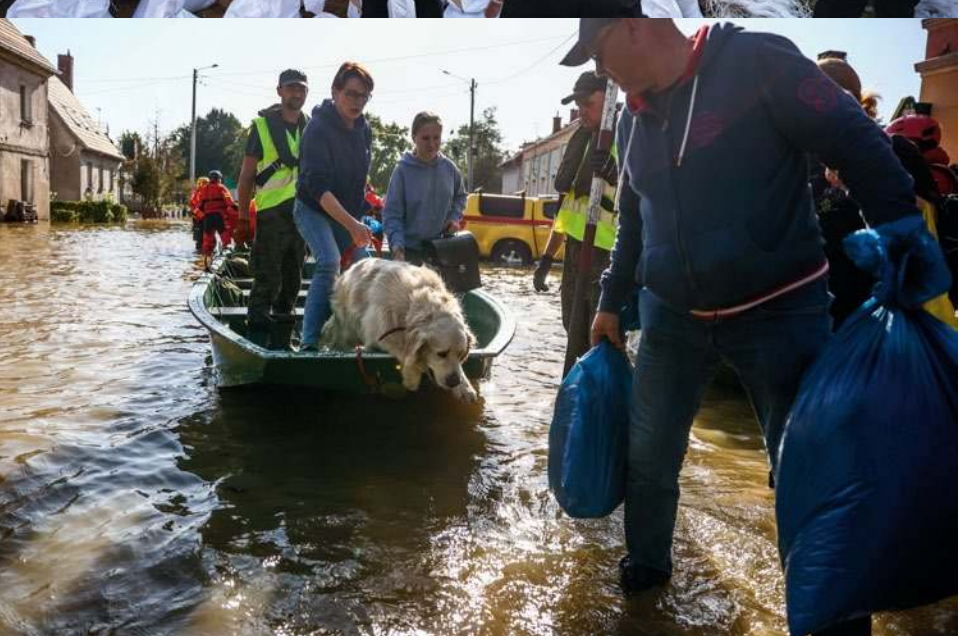

Wyobraźmy sobie: w gabinecie Donalda Tuska nie ma pań i panów z Polski 2050, którzy olbrzymią część swojej działalności publicznej poświęcili na torpedowanie inwestycji przeciwpowodziowych, a na ich miejscach pracują ludzie kreślący plany kolejnych zbiorników retencyjnych, pogłębiania Odry i nieczuli na jazgot opłacanych z zagranicy ekoterrorystów. Wyobraźmy sobie, że od 10 września cała informacyjna machina rządowa i zaprzyjaźniona z rządem trąbi o zbliżającej się powodzi oraz konieczności przygotowania się do sytuacji ekstremalnych. Ludzie mają czas, by choćby zorganizować sobie transport i wywieźć to, co najcenniejsze w bezpieczne miejsce. Wyobraźmy sobie, że wszystkie zbiorniki retencyjne są opróżniane na czas, a informacje pomiędzy zarządzającymi nimi przepływają sprawnie. Wyobraźmy sobie, że lokalne władze są na bieżąco powiadamiane o tym, co je czeka za 2, 5, 10 i 24 godziny, mogą przygotować mieszkańców. Wyobraźmy sobie, że RARS ogłasza błyskawiczny transport agregatów prądotwórczych, pomp itp. tam, gdzie rzeki jednak wylały. I tak dalej...

Gdybyśmy mieli taką rzeczywistość, to premier mógłby chwalić się na Insta każdym posiłkiem od Gosi, nawet z deserkiem.

Było jednak zupełnie inaczej. I dlatego mamy obowiązek stawiać pytania i domagać się na nie odpowiedzi. Bo wydarzyła się katastrofa. Rząd i tak może mówić o odrobinie szczęścia – gdyby nie przerwanie wałów w czeskiej Ostrawie, fala we Wrocławiu byłaby o 1–2 m wyższa. Lecz i tak przez tysiące polskich domów wiele dni płynęło – jak naturalistycznie, lecz adekwatnie ujął to na antenie wPolsce24 były szef GIS Jarosław Pinkas – jak rozcieńczone szambo. Nie wiemy, ile osób straciło życie. Strat nie da się jeszcze oszacować (ale pamiętajmy, że te w plonach czy sprzęcie u pojedynczego rolnika idą w setki tysięcy złotych, a patrząc na zniszczone drogi, mosty, budynki czy zabytki, trzeba przygotować się na wielomiliardowe potrzeby naprawcze). Cały region tygodniami będzie żył w zagrożeniu epidemiologicznym. Odbudowa zniszczeń zajmie zaś miesiące lub lata.

KTO MA NAS CHRONIĆ?

Skąd na to pieniądze? Ile wysupła ich rząd? Każdy dzień przynosi nowe informacje, bo jakoś trzeba przykryć te pierwsze, skandaliczne. Po słowach Pauliny Hennig-Kloski o niskooprocentowanych kredytach najpierw zagrzmiała opozycja, później koalicjanci, a w końcu zapłacił za to głową rzecznik resortu, który przecież tych głupot ani nie wymyślał, ani nie wygłaszał.

Donald Tusk prostował swoją minister, wielokrotnie powtarzając, że będzie znacząca pomoc bezzwrotna, zapowiadał 1 mld – zaś dwa dni później już 2 – na usuwanie skutków powodzi. To oczywiście kropla w morzu. Można tylko zatęsknić za czasami, gdy w ciągu pierwszych godzin od sytuacji kryzysowej rząd uruchamiał wielomiliardowe tarcze ochronne (dziś zaczyna się zwalnianie pracowników zalanych zakładów, bo pracodawcy nie otrzymują od państwa rekompensaty na wypłatę wynagrodzeń), przyjmował ekstraordynaryjne przepisy i stawiał na baczność wszystkie służby i zasoby państwa z RARS czy Funduszem Sprawiedliwości na czele.

Fot. Beata Zawrzel/REPORTER, PiotrDzurman/REPORTER

eprasa.pl 36fbceef5c

Fot. Paweł Relikowski/Polska Press/East News

Dziś to zakupione ze środków demonizowanego (i skasowanego) FS wozy strażackie ratują życie ludziom na zalanych terenach, a rząd przebąkuje, że zainteresowane OSP będą mogły wziąć kredyt na sprzęt.

Nie sposób być spokojnym i wierzyć, że państwo zda dalszą część egzaminu, skoro już przy pierwszych zadaniach oblało go po całości. Perspektywa jest tym gorsza, im bliżej przyjrzymy się ludziom, którzy mają odpowiadać za nasze bezpieczeństwo.

Rząd pracuje nad ustawą o rewitalizacji Odry. Według oficjalnego serwisu KPRM ma być ona przyjęta do końca roku. Co przewiduje? „Uchylenie przepisów określających katalog inwestycji dla Odry" – czytamy w serwisie gov.pl. A to oznacza wycofanie się z planowanych od kilkudziesięciu lat budowli przeciwpowodziowych na tej rzece oraz jej dopływach.

To fundamentalny element programowy wielu prominentnych postaci z koalicji 13 grudnia. Cztery lata temu wiceminister Urszula Zielińska przekonywała, że „w dobie zmiany klimatu i postępującego problemu suszy inwestowanie w zbiorniki zaporowe niszczące przyrodę jest w naszej ocenie najgorszym możliwym rozwiązaniem". Dziś mądrość etapu nakazuje jej mówić, że jednak trzeba coś robić z tą retencją, lecz na tym samym wdechu dodaje, że „możemy w bardzo krótkim czasie o połowę i więcej obniżyć emisję CO_2, które zadziałają uspokajająco na klimat". Z takimi fachowcami u władzy najlepsze, co można zrobić, to kupić ponton.

Pani minister jest bardzo blisko do organizacji „ekologicznych" (często finansowanych zza zachodniej granicy), które ręka w rękę z niemieckimi samorządowcami protestują przeciwko każdej budowie mającej przynieść nam korzyści gospodarcze i bezpieczeństwo w obliczu żywiołu.

Hydrobiolog dr Grzegorz Chocian zszokował widzów Polsat News, ujawniając, że próbował go zwerbować niemiecki wywiad, by zaczął protestować wobec inwestycji hydrologicznych w Polsce. „Nie zgodziłem się, ale wiem, kto został zwerbowany" – mówił, dodając, że zgłosił sprawę do ABW. Kogo miał na myśli? Trudno dywagować, bo grono podejrzanych jest tu naprawdę liczne.

Chocian podaje, że w latach 2008–2018 na prowadzone 54 postępowania odwoławcze ws. oddziaływania inwestycji na środowisko ledwie w 7 proc. spraw (a więc w trzech, czterech przypadkach) z aktywnym udziałem społeczeństwa uwagi i wnioski były na tyle merytoryczne, by dyrekcje ochrony środowiska je uznawały. Co z pozostałymi? Najwyraźniej to czarny PR wobec ważnych polskich interesów.

W niektórych przypadkach ekodziałacze skutecznie namawiają mieszkańców do oponowania wobec planów budowy zbiorników retencyjnych. Pięć lat temu w Długopolu Górnym przygotowali transparent: „Nie oddamy ziemi! Nie oddamy domów! Zbiorniki niepotrzebne są tu nikomu". Nie mieli racji. Ziemię i domy oddali wodzie. Może gdyby był zbiornik...

Pięć lat temu wicemarszałek Sejmu Monika Wielichowska osobiście przekonywała mieszkańców, by protestowali wobec planów budowy dziewięciu suchych zbiorników na ziemi kłodzkiej. Dziś ich zabrakło.

Wstydliwe w obliczu powodzi dossier ma dużo szersze grono polityków rządzącej koalicji. To musi przerażać. Zwłaszcza że naukowcy coraz częściej powtarzają, iż podobne powodzie będą się nasilać i mogą nas nawiedzać nawet corocznie. Zostawiając na boku spór o wpływ człowieka na klimat, trzeba choć zdać sobie sprawę z priorytetów – zapewnienia ludziom ochrony, a więc błyskawicznie podjąć niezbędne inwestycje.

Czy to jednak możliwe z ekipą ślepą na wdzierający się do domu kataklizm?

eprasa.pl 36fbceef5c

REPORTAŻ Z KŁODZKA

Przegrani z wielką wodą

Często można usłyszeć opowieści o Polakach pomagających sobie w czasie powodzi, zwłaszcza gdy struktury państwa zawodzą. Gdy żywioł wstrząsnął Kłodzkiem, odsłonił zniszczenia, a także zachowania, o których mówi się niechętnie

eprasa.pl 36fbcecf5c

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Pani W. budzi się w poniedziałkowy ranek na kanapie w przedpokoju sąsiadów. Potrzebuje chwili, by dojść do siebie i skojarzyć, gdzie się znajduje – to mieszkanie w niewielkim bloku w Kłodzku, dwa piętra ponad jej własnym.

Wczorajszy dzień przesiedziała z sąsiadami na schodach na kuchennych taboretach, patrząc, jak brudna od mułu woda wlewa się na klatkę schodową i z każdym kwadransem zdobywa kolejne stopnie. Gdy zalało pierwszy, pani W. wzięła zapakowane wcześniej torby i pozwoliła sąsiadom wnieść je na górę. Wyniesiono też trochę sprzętu AGD, telewizor i akurat krzesła. Nysa Kłodzka zaopiekowała się resztą – wlała się na parter, przeniknęła przez drzwi, potem zaczęła się wlewać oknami i powoli wdrapywać na pierwsze piętro. W centrum miasteczka pogasły światła, zaczęto palić świeczki, bardzo słabo było z internetem, tylko z najwyższych pięter można było złapać sieć. Sąsiedzi pani W. opowiadali, że przez cały ten czas kobieta zachowywała się, jakby była na silnych środkach uspokajających. Zdawała się niewiele rozumieć, odpychać to, co się dzieje. Tylko nad ranem, zobaczywszy, jak woda spustoszyła jej całe mieszkanie aż po sufit, powiedziała na głos: „Mam 71 lat i nie mam już siły zaczynać wszystkiego od nowa".

Zwłaszcza że pani W. musiała już raz zaczynać od nowa. Po powodzi tysiąclecia w 1997 r. Miała 44 lata, jeszcze chciało się żyć, walczyć, układać sobie świat, a teraz, na emeryturze?

Na osiedlu przy ul. Dunikowskiego ludzie faktycznie wyglądali jak odurzeni. Woda pomiędzy blokami sięgała niemal do pasa, ponton strażacki rozwoził wodę i żywność oraz umożliwiał ewakuację, ale niektórzy niczym lunatycy brodzili w brudnej wodzie, próbując rozeznać skalę strat albo wyjść do suchych części miasta. Widziałem kobietę z damską torebką, która brnęła w mule po pas, upadła, ale nie chciała pomocy od strażaków. Wyglądała, jakby chciała przegrać tę beznadziejną walkę z żywiołem w samotności. Mokrzy, ubrudzeni, obojętni, ci z górnych pięter wydawali się prawdziwymi szczęściarzami.

NIEOCZYWISTE EWAKUACJE

Każdy z mieszkańców zalanych domów to osobna historia, przed którą łatwo spokornieć. W chwili pisania tego tekstu inna starsza pani nawet nie dowiedziała się o powodzi – trzy tygodnie wcześniej przechodziła zawał, więc bliscy zabrali ją do siebie, nie informując o dramacie w centrum Kłodzka. Nikt nie chciał testować jej słabego serca.

Niejednemu młodemu, zdrowemu człowiekowi serce pękało na widok utraty dobytku całego życia. Na starym mieście o jeszcze gotyckiej zabudowie, wspaniałych murach klasztoru franciszkanów, widoki przypominały ukraińskie miasta po przejściu rosyjskich czołgów. Właściciele restauracji i sklepów przychodzili brodzić w błocie i mule po kostki, by posprzątać po powodzi. Posprzątać? Należało wyrzucić absolutnie wszystko. Centrum Kłodzka zostało zalane do tego stopnia, że w samym środku wydarzeń z kamienicy przy ul. Stwosza ludzi ewakuowano w niedzielnie popołudnie przez dach. Strażacy postawili drabinę na gotyckim moście, ale parter i połowa pierwszego piętra budynku były już pod wodą. Po śladach wody na murach można ocenić, że poziom wody w Nysie Kłodzkiej w niektórych miejscach podniósł się o ponad pięć metrów. Scena ewakuacji była uderzająca, jednak nie tylko z powodu dramatyzmu dzieci czy starszych ludzi wychodzących przez właz w dachu. W XXI w. nawet powódź nie wybije ludzi z patologicznych objęć internetu.

INSTAGRAMERZY I SZABROWNICY

Tym, co wybiło wraz z powodzią, jest spustoszenie w głowach ludzi permanentnie podłączonych do mediów społecznościowych. Ewakuację z kamienicy przy ul. Stwosza nagrywano dziesiątkami telefonów podekscytowanych gapiów, nie bardzo różniących się od miejscowych meneli wołających do ludzi: „No po co wam było takie mieszkanie w centrum? No po co?".

Fot. Iza Uroda

eprasa.pl 30fbceef5c

Grupka młodych nagrała ewakuację i natychmiast opublikowała na Instagramie, kolejne lajki i komentarze zapewniały zastrzyk dopaminy i wołały o więcej materiałów. Młodzi poszli więc dalej, bo zalana szkoła też była lokalną frajdą, a dachy samochodów wystające ponad poziom wody również dostarczały internetowego zainteresowania.

Następnego dnia scena z młodymi nagrywającymi spustoszenia po żywiole powtarzała się wielokrotnie. Zniszczona ulica Daszyńskiego przez cały poniedziałek była wydreptywana przez dwie grupy ludzi. Pierwszą z nich stanowili skupieni, milczący pracownicy i wolontariusze, którzy na stosy gruzów i śmieci wyrzucali zawartość zniszczonych lokali: stoły, krzesła, blaty, kuchenki, lodówki, żywność w opakowaniach, całe zgrzewki napojów; drugą – instagramowcy, nagrywający wszystko z pasją samozwańczy influencerzy. Był to czas, gdy do Kłodzka nie przybyli jeszcze żołnierze, a straż pożarna stanowiła kroplę w morzu powodziowych potrzeb. Ręce, które trzymały kamerki telefonów, przydałyby się do pracy, ale brodzenie w błocie, wsparcie dla kogoś w tak dramatycznej potrzebie nie jest już tak ekscytujące, nie daje lajków.

Prawdziwe uzależnienie od wirtualnego świata to nowe zjawisko, ale do katastrofy powodzi doszła stara plaga, znana także w 1997 r.

Pani Teresa opowiada tygodnikowi „Sieci": – Tak jak wtedy rozpanoszyli się szabrownicy. Ja sama z balkonu widziałam, jak trójka młodych szła do marketu po pas w wodzie, by wynosić stamtąd towary. Tacy jak oni chodzili też po klatkach schodowych, po piętrach, po mieszkaniach, często opuszczonych w ostatniej chwil.

Potwierdza to zasłyszana nieoficjalna rozmowa urzędnika starostwa powiatowego z policjantem. Panowie zastanawiali się, skąd przekierować siły porządkowe do pilnowania dobytku, gdy wielu ludzi schroniło się przed powodzią w wyższych partiach terenu. Wraz z pierwszym ustabilizowaniem się poziomu wody wybijanie szyb i kradzieże stały się wszechobecnym zjawiskiem.

Stare patologie złodziejstwa zbiegają się zatem z nowymi patologiami wirtualnego świata. Ale myliłby się ten, kto poprzestałby na krytycznym westchnieniu „na tę dzisiejszą młodzież".

Tak jak w 1997 r. rozpanoszyli się szabrownicy. Ja sama z balkonu widziałam, jak trójka młodych szła do marketu po pas w wodzie, by wynosić stamtąd towary. Tacy jak oni chodzili też po klatkach schodowych, po piętrach, po mieszkaniach opuszczonych często w ostatniej chwili – opowiada pani Teresa

MAŁE CUDA

Bo w Kłodzku było widać też jasne strony ludzkich reakcji. Barokowy kościół Matki Bożej Różańcowej i przylegający do niego klasztor franciszkanów nie dźwignęły się jeszcze z powodzi 1997 r. (odnowiono większość rzeźb, ale jeszcze nie ołtarz główny), gdy nowa fala żywiołu zniszczyła wnętrza świątyni. Do XVIII-wiecznych gmachów przybyli parafianie, ochotnicza straż pożarna, a najbardziej wyróżniały się paramilitarne uniformy klas mundurowych. Chłopcy byli ubłoceni od stóp do głów, chyba nawet filmowa charakteryzacja nie ubrudziłaby by ich bardziej, ale nie odpuszczali. – My nic nie utraciliśmy w tej powodzi, więc chcemy pomóc innym – mówi Oskar z Zespołu Szkół Technicznych w Kłodzku. Paweł oprowadza potem po mokrych wnętrzach klasztoru, z gorliwością pokazując odkryty mały cud. – Niech pan zobaczy, zniszczyło meble, półki, ciężkie przedmioty, a święte obrazki wiszące na jednym gwoździu zostały nietknięte – mówi i mokrym rękawem próbuje zetrzeć muł z obrazka.

Roboty wokół klasztoru idą tak intensywnie, jak z opisów budowania katedry u Kena Folleta. O. Ignacy Szczytowski, gwardian klasztoru, objął swoją funkcję ledwie rok wcześniej, a już ma przed sobą wielkie wyzwanie – nie tylko odnowienia klasztoru, lecz także podtrzymania ducha wśród parafian.

Fala powodzi powaliła mur wokół świątyni, choć ocalały dwa fragmenty. Przy jednym stoi pomnik św. Franciszka, a na drugim widnieje tablica informacyjna z wymownym tytułem: „Kłodzkie kataklizmy". Czytamy na niej: „Wielkie powodzie miały miejsce w latach 1310, 1475, 1598, 1783, 1883, 1938", osobno opisaną wielką powódź tysiąclecia z 1997 r. Teraz będzie trzeba dopisać klęskę żywiołową z września 2024 r., a także zostawić miejsce na następne kaprysy natury.

Fot. Jakub Augustyn Maciejewski

eprasa.pl 36fbceef5c

PIOTR GURSZTYN

Standardy „wolnych mediów”

Powódź odsłoniła nie tylko niskie kompetencje administracyjne ekipy Donalda Tuska, lecz także tajemnicę teflonu pokrywającego wizerunek szefa rządu. To po prostu osłona medialna zapewniana Tuskowi przez liberalne media. Jej główny element to podwójny standard w informowaniu, komentowaniu, nagłaśnianiu i przemilczaniu

W piątek 13 września cała Polska, a zwłaszcza powodzianie, usłyszeli uspokajający komunikat szefa rządu: „Prognozy nie są przesadnie alarmujące, nie ma powodu do paniki”.

Kilka godzin później okazało się, że sytuacja jest gorsza niż zła. Ale jak na razie Donaldowi Tuskowi z powodu tych słów nic się nie stało. A wystarczy sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby coś takiego powiedział Mateusz Morawiecki, Beata Szydło czy Jarosław Kaczyński.

Niedługo później Tusk postanowił ocieplić swój wizerunek i wywiesił zdjęcie, jak wcina zupę w czasie akcji przeciwpowodziowej. Podpis pod focią głosił: „Szczawiowa od Gosi przywieziona w słoiku, smakuje we wrocławskim Urzędzie Wojewódzkim, prawie tak samo jak w domu”. I tu też można wykonać nieskomplikowane ćwiczenie z odpowiedzią na pytanie, co by było, gdyby to Morawiecki sfotografował się z zupą „od Iwony”. Z jednej strony słychać byłoby oburzenie, że lansuje się na cierpieniu powodzian. Z drugiej strony byłby rechot kabaretów i pytanie, czy to nie rządowy samolot przywiózł słoik z zupą. Teraz pytań o drogę słoika z Sopotu do Wrocławia oczywiście nie ma, kabarety nadal będą śmiać się z rozwiązanego sznurowadła prezesa Kaczyńskiego, a „zupa od Gosi” będzie dla nich zupełnie nieśmieszna. Tak samo nieśmieszne dla kabaretów są takie memogenne panie ministry jak Urszula Zielińska czy Paulina Henning-Kloska, choć są źródłem szczerej wesołości rzesz internautów.

Podobnie media głównego nurtu nie zainteresowały się okolicznościami wypadku drogowego, w którym uczestniczył komendant główny policji. Podały informacje na podstawie wyłącznie oficjalnych komunikatów policji i nic więcej. Nie były tak dociekliwe jak w przypadku eksplozji granatnika podarowanego przez ukraińskich partnerów poprzedniemu, „pisowskiemu” komendantowi Jarosławowi Szymczykowi. Samochód z komendantem Markiem Boroniem dachował na autostradzie. Wiadomo, że w zdarzeniu nie brały udziału inne pojazdy. Zatem tylko prędkość niedostosowana do warunków jazdy musiała doprowadzić do wypadku – tak usłyszałby zwykły obywatel. Jak prędko jechał samochód w miejscu, gdzie było ograniczenie prędkości do 80 km/h? Wiadomo, że komendant gnał na tereny powodziowe. Było to w sobotę o godz. 17.55, a Boroń nie zorientował się wcześniej w skali kataklizmu i nie pojechał od razu z premierem. Spieszył się, aby uczestniczyć w konferencji prasowej z Tuskiem. Po jego wypadku w mediach nie było żadnych prób zrekonstruowania zdarzenia, zdobycia własnych informacji ani żadnych komentarzy specjalistów od bezpieczeństwa ruchu drogowego. A przypomnijmy sobie, jak bardzo TVN24 grzał „news” o tym, że Kinga Duda nieprawidłowo zaparkowała swój samochód.

SIKORSKI WKRĘCONY, CZYLI DEEP FAKE

Wyciszanie niewygodnych tematów to DNA polskich mediów głównego nurtu po 1989 r., żeby przypomnieć sprawę pijanego Aleksandra Kwaśniewskiego na cmentarzu w Charkowie. Liberalne media uczestniczą w walce o demokrację, praworządność, przynależność Polski do Unii Europejskiej i inne cele, które wyznaczają w danej chwili. Muszą mieć wroga, choćby po to, aby utrzymywać swych odbiorców w odpowiednim napięciu emocjonalnym, aby ci z kolei kupowali gazetę, zaglądali na portal lub oglądali „całą prawdę całą dobę”. Kontakt z rzeczywistością nie jest tu priorytetem. Prawica nie rządzi już od dziesięciu miesięcy, a na stronie internetowej „Gazety Wyborczej” wszystkie komentarze czołowych publicystów dotyczą „zbrodni” PiS. I tak dzień w dzień. Patrzenie na ręce rządzącym nie interesuje redaktorów „Wyborczej”, chyba że w formie ponaglania w rozliczaniu poprzedników.

Oczywiście głównym beneficjentem lukrowania rzeczywistości jest Donald Tusk. Ale pomniejsze figury z jego otoczenia też korzystają z osłony medialnej. Ostatnio zupełnie inaczej potraktowano pewne charakterystyczne zdarzenie. Chodzi o działalność dwóch rosyjskich „żartownisiów”, niejakiego Wowana i Lexusa, którzy dzwonią i „wkręcają” najważniejszych polityków z wielu państw. Udało im się to z Radosławem Sikorskim, który z ochotą opowiadał im o okolicznościach wysadzenia gazociągu Nord Stream oraz o ewentualnym udziale wojsk polskich w wojnie na Ukrainie. Widać, że do końca

eprasa.pl 36fbceef5c

się nie orientował, że nie rozmawia z byłym ukraińskim prezydentem Petrem Poroszenką, za którego podali się rosyjscy komicy pracujący na rzecz Kremla.

MSZ znalazł nietypowy pomysł na wytłumaczenie wpadki swojego szefa. „Traktujemy nagranie z udziałem ministra Radosława Sikorskiego jako deep fake" – mówił rzecznik MSZ Paweł Wroński. Przekonywał, że nagranie zostało spreparowane z różnych wcześniejszych wypowiedzi. Zaprzyjaźnione media na ślepo kupiły tę wersję. Portal Gazeta.pl poinformował, że Sikorski „rzekomo miał paść ofiarą rosyjskich komików". Jego wpadka w ogóle nie była mocno eksponowana przez media liberalne, które z miejsca wybijały tłumaczenie MSZ o deep fake'u. Nie analizowały tego, czy to prawda. Nie weryfikowały tego tłumaczenia. Nie szukały ekspertów ani opinii. Informacje o wpadce krótko wisiały na ich witrynach internetowych i szybko znikały.

Dwa lata wcześniej ci sami pseudożartownisie dodzwonili się do Andrzeja Dudy, podając się za prezydenta Francji Emmanuela Macrona, a wcześniej za sekretarza generalnego ONZ Antónia Guterresa. Sikorski grzmiał, krytykując naiwność Dudy. „Zastanawiam się, czy za taką recydywę powinien wywalić połowę kancelarii, czy sam siebie" – stanowczo żądał konsekwencji, których teraz nie wymaga od siebie.

Reakcja mediów była surowa. „Prankster zadzwonili do Andrzeja Dudy. W sieci wrze. Boże, chroń Polskę" – grzmiał Onet. „Duda znów wkręcony przez rosyjskich pranksterów. Myślał, że to dzwoni Macron" – to tytuł z Gazety.pl, która wówczas nie miała takich wątpliwości, jak w przypadku Sikorskiego, pisząc o „rzekomym" byciu ofiarą żartu. W żadnej rozmowie Duda nie posunął się tak daleko jak teraz Sikorski. Mówił ostrożnie, bardzo okrągłymi zdaniami. Ale media nie były dla niego tak łaskawe, jak teraz dla koalicyjnego ministra spraw zagranicznych. Portal wp.pl wyrokował: „Prezydent znów dał się nabrać. Ekspertowi aż... brakło słów. To kuriozum". Teraz jednak w przypadku Sikorskiego nie wiadomo, czy ekspertom brakuje słów, bo te same redakcje nie proszą ich o komentarz w sprawie rzekomego „deep fake'u" szefa MSZ. „Prezydent RP i pranksterzy z Rosji – Polska na kolanach" – grzmiał w komentarzu Roman Imielski, wicenaczelny „Gazety Wyborczej". Dlaczego teraz tak się nie oburza? Takie pytanie może zadać tylko ktoś, kto nie zna „standardów" obowiązujących w mediach III RP. A obecny rzecznik MSZ Paweł Wroński, czyli główny głosiciel tezy o „deep fake'u", wtedy też pracował w „Wyborczej". On również surowo osądzał Andrzeja Dudę.

> Wyciszanie niewygodnych tematów to DNA polskich mediów głównego nurtu po 1989 r.

KONTRASYGNATA I HIROSZIMA W ODRZE

Lista przykładów stosowania podwójnych standardów przez liberalne media jest nieskończona i cały czas się wydłuża, co skądinąd wie każdy w miarę przytomny obywatel III RP. W przypadku niesłychanego w dotychczasowej historii Polski cofnięcia własnej kontrasygnaty przez premiera Tuska liberalne media trochę pokręciły nosem (a i to zazwyczaj było dzieło tamtejszych outsiderów, czyli tzw. symetrystów), a potem wyciszyły temat. Zasłona milczenia spadła na takie wypowiedzi jak np. prof. Jerzego Zajadły, przedstawianego jako wybitny prawnik, który napisał: „W sprawie kontrasygnaty jestem po stronie Donalda Tuska. Wprawdzie nie potrafię tego prawniczo jednoznacznie uzasadnić i wiem, że prawnie to słaby argument, ale po prostu czuję, że tego, zważywszy na cały kontekst sprawy, wymaga przyzwoitość". Z tego samego powodu prof. Ryszard Piotrowski, konstytucjonalista krytyczny wobec rządów PiS, przestał być autorytetem dla mainstreamowych mediów, gdyż zaczął negatywnie oceniać łamanie prawa przez ekipę Tuska. Prof. Stanisław Waltoś „poprawił" własny podręcznik prawa karnego w punkcie dotyczącym prawa łaski, którym dysponuje prezydent RP. We wcześniejszych wydaniach głowa państwa mogła ułaskawiać, kiedy chciała, a teraz – po sprawie ułaskawienia Mariusza Kamińskiego i Macieja Wójcika – już tylko po zapadnięciu prawomocnego wyroku. Media w pełni zaaprobowały nową mądrość etapu.

Latem 2022 r. TVN i wtórujące mu media grzmiały o katastrofie ekologicznej w Odrze – „W Odrze pływa tylko śmierć". Według tamtej narracji jej winowajcą był oczywiście rząd PiS. Ekspert w Onecie wyrokował, że „wydarzyła się ogromna tragedia". Gazeta.pl miała w tytule jednego z artykułów porównanie – „To jest Hiroszima". Radio Tok FM podawało: „Ekspert: to wina państwa, że przespało katastrofę". Tematem zainteresowały się gwiazdy liberalnych mediów, które zazwyczaj nie zniżają się do takich „niepolitycznych" tematów. Ten okazał się być bardzo polityczny i tym samym atrakcyjny. „Zatruta Odra. Wędkarze stanęli na wysokości zadania. A władza PiS?" – zadawała takie retoryczne przecież pytanie Ewa Siedlecka, autorka tygodnika „Polityka", która do tej pory nie interesowała się ekologią.

Od maja do września br., już za rządów Tuska, również następował wielokrotny masowy pomór ryb w Odrze i jej dopływach. To jednak nie było ciekawe dla mediów. Nie było

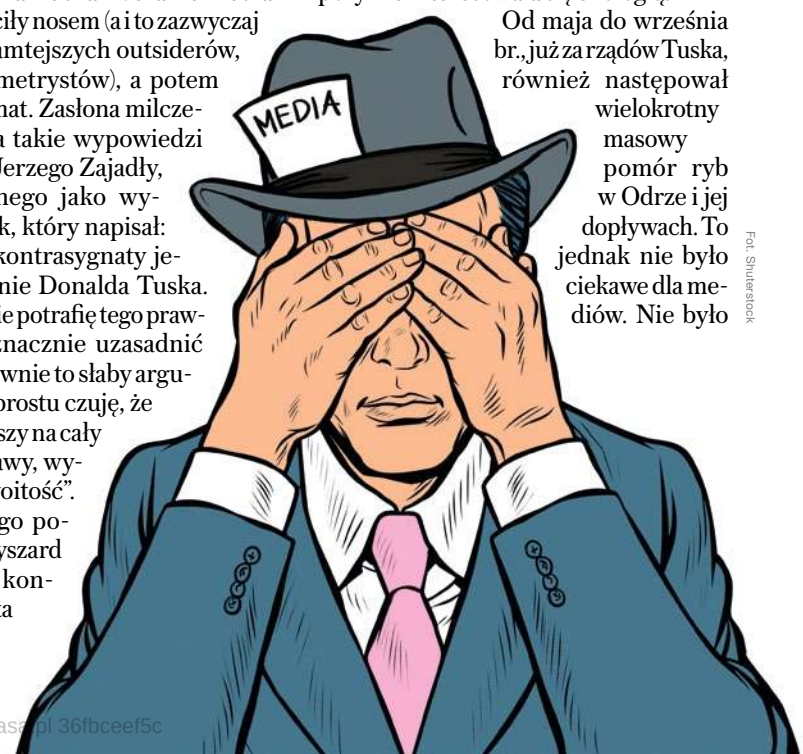

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 36fbceef5c

nawet ułamka wzmożenia sprzed dwóch lat, więc eksperci zamilkli, a czytelnikom oszczędzono tytułów o katastrofie i Hiroszimie.

Za czasów PiS dramatem ekologicznym była masowa wycinka lasów i eksport drewna do Chin. Dzisiaj wiadomo, że wywóz drewna wzrósł pod nową władzą (choć gdy jej politycy byli w opozycji, był to jeden z ich głównych oskarżeń pod adresem prawicy). Owszem, media informują o statystykach, ale już się nie oburzają. Zmieniła się też narracja w sprawie presji migracyjnej na polską granicę. Pushbacki za czasów Tuska i Bodnara są humanitarne, a przed 15 października 2023 r. były okrutne. Płot zbudowany za rządów PiS okazał się potrzebny i ucichły zachwyty nad filmem Agnieszki Holland „Zielona granica".

CICHO WSZĘDZIE, GŁUCHO WSZĘDZIE

Do grudnia 2023 r. media publiczne były stałym tematem doniesień, a zwłaszcza oburzenia. Dzisiaj tego tematu już nie ma, choć całe środowisko dziennikarskie wie, jaka jest sytuacja w TVP i Polskim Radiu. Tuż po siłowym przejęciu TVP dziennikarka Magdalena Rigamonti w programie „Onet rano" opowiadała o politykach oferujących posady w neo-TVP zaprzyjaźnionym dziennikarzom: „Do wielu z tych dziennikarzy nie dzwonią koledzy dziennikarze, nie dzwoni Paweł Moskalewicz, nie dzwoni Tomasz Sygut – prezes telewizji, nie dzwoni Grzegorz Sajór. Tylko dzwonią konkretni politycy i mówią: »Mamy taką propozycję dla pana/pani, przejdź do nas, będziemy robić nowe, wolne media«".

Za jej słowami nikt nie poszedł. Nie sprawdzał, którzy politycy i którzy dziennikarze, choć w środowisku jest to tajemnica poliszynela. Swoistą wisienką na tym torcie hipokryzji są artykuły z „Gazety Wyborczej" z ostatnich miesięcy, gdy użalała się nad sytuacją na Słowacji, gdzie rząd premiera Fico przejął tamtejsze media publiczne. „GW" grzmiała, że to „orbanizacja" mediów. O wiele bardziej brutalne i pozbawione mocnych podstaw prawnych przejęcie TVP nadal określa jako działanie na rzecz „przywracania demokracji".

Nieciekawym tematem był również termin realizacji „100 konkretów na 100 dni". Mainstreamowe media odnotowały moment upłynięcia terminu, ale nie drążyły tematu. Politycy opozycji – głównie PiS, a także Konfederacji – organizowali na 100 dni wiele konferencji prasowych, rozliczając niewypełnienie obietnic z kampanii. Zostali całkowicie przemilczani. Politycy obozu władzy dostawali w tej kwestii „nieprzesadnie" trudne pytania, więc odpowiadali nieprzerywanym gaworzeniem na temat niełatwej spuścizny, którą mieli odziedziczyć po poprzednikach. Temat został wygaszony i szybko spadł z agendy.

Pretensje odbiorców o te manipulacje media liberalne całkowicie przemilczają. Kierują się tu zasadą podobną do słynnego barejowskiego: „Nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobi?". Wszystko wiedzą lepiej, kierują się poczuciem misji i wyższości. Nie widzą nic złego w dekorowaniu sal weselnych ośmioma gwiazdkami, jak było w przypadku czołowego pracownika „Gazety Wyborczej". Nie uważają za niestosowne udziału w manifestacjach czysto partyjnych, np. marszu 4 czerwca 2023 r., którego frekwencję masowo podbijali dziennikarze wyżej wspomnianych tytułów. Redakcje „Newsweeka" i urbanowskiego „Nie" poszły wręcz w komplecie. Zachętą był dla nich protest przeciwko tzw. lex Tusk, jak Plaforma nazywała ustawę powołująca sejmową komisję ds. badania wpływów rosyjskich. Gdy Tusk jako premier aktem niższego rzędu powołał rządową komisję ds. badania tych samych wpływów, tyle że w innym zupełnie składzie, oburzenia już nie było.

Rok później te same media apelowały do rządu obecnej koalicji: „Politycy! Nie zabijajcie polskich mediów", prosząc o uchwalenie prawa, które by je wzmocniło względem wielkich platform cyfrowych. Apelowały też o wsparcie ze strony opinii publicznej. Odpowiedzią była obojętność społeczeństwa, często też drwina i śmiech. Widzowie i czytelnicy nie wyrazili jakiejś zauważalnej sympatii czy poparcia dla apelujących redakcji, co należy uznać za znaczący symptom.

Zwolennicy prawicy irytują się tym podwójnym standardem oraz tym, że ekipa Tuska miewa się tak dobrze mimo kolejnych kompromitacji. Ale wcale tak nie jest. Osłona medialna działa, lecz jej skuteczność jest ograniczona. Notowania rządu Tuska stale spadają. W lutym poparcie dla rządu osiągnęło 41–42 proc., a obecnie 35 proc., jak wynika z badań rządowego ośrodka, czyli CBOS. To świeży gabinet, nadal powinien się cieszyć większym zaufaniem. Tak jak było w analogicznych okresach z rządem Beaty Szydło czy dwoma gabinetami Mateusza Morawieckiego. A nie cieszy się, i to mimo wsparcia tak potężnej orkiestry medialnej.

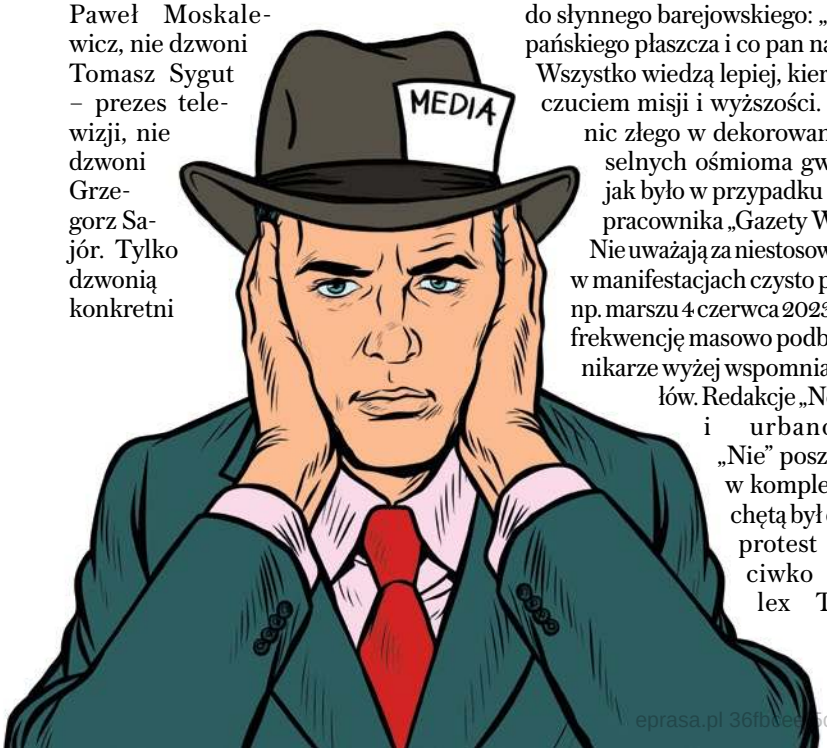

eprasa.pl 36fbcee

Demon Tuska

Główny doradca premiera funkcjonuje i jako jego mózg, i jako utrapienie, a może też grać kilka innych ról

STANISŁAW JANECKI

Igor Ostachowicz, główny doradca Donalda Tuska w przeszłości i obecnie, funkcjonuje jednocześnie jako dobry i zły duch premiera. Choć wcale nie jest odpowiedzialny za wszystko, co się wiąże z public relations oraz działaniami marketingowymi z udziałem premiera, w Platformie Obywatelskiej powszechne jest przekonanie, że odpowiada za wszystko. To wygodne, bowiem gdy coś się nie sprawdza albo kompromituje szefa rządu, można to tłumaczyć złym pomysłem doradcy. Gdy zaś coś działa i wywołuje pożądane reakcje, można mówić, że zarys pomysłu był wprawdzie Ostachowicza, ale sukces wiąże się wyłącznie z tym, że został dogłębnie przerobiony przez Donalda Tuska. W ten sposób można propagować geniusz premiera.

Ten geniusz polega też na tym, że Tusk wybrał Ostachowicza i stworzył z nim synergię dusz, choć równie popularna jest opinia, że to Ostachowicz wybrał Tuska. Narracja jest taka, że premier potrafi nieustannie się uczyć i jest zdolny do zmiany poglądów. Jego krytycy przyznają, że owszem, może robić i mówić różne rzeczy, ale mają wrażenie, że wówczas nałogowo kłamie. I wcale nie wynika to z otwartości na inne poglądy, a tym bardziej z korzystania z rad Ostachowicza. Przekonują, że Tusk zawsze był taki.

Osoby zajmujące się PR uważają, także na podstawie własnych doświadczeń, że Igor Ostachowicz służy głównie do tworzenia mitów (bajek), iż Tusk jest wielki, wyjątkowy i jedyny. Ostachowicz pracuje dla Platformy od ponad 20 lat, ale sukces odniósł tylko z Tuskiem, co ma potwierdzać, że tylko on jest geniuszem. Przecież Ostachowicz doradzał też Małgorzacie Kidawie-Błońskiej, gdy w 2020 r. kandydowała w wyborach prezydenckich, ale zabrakło jej tego, co ma Tusk, więc skończyło się klapą. Tak zresztą było już w 2001 r., gdy pracował z Janem Rokitą. Narracja jest taka, że Ostachowicz wymyślił „premiera z Krakowa", ale Rokita nie sprostał temu zadaniu, bo nie jest Tuskiem. Dlatego gdy główny doradca w 2021 r. wrócił do otoczenia obecnego premiera, kampania prowadząca do jego powrotu do władzy zakończyła się sukcesem.

> Opowieści o skuteczności Ostachowicza są po to, żeby politycy Platformy Obywatelskiej wierzyli, że ich szef zawsze znajdzie wyjście nawet z najbardziej kryzysowej sytuacji, gdyż ma swojego doradcę

Opowieści o skuteczności Ostachowicza są po to, żeby politycy Platformy Obywatelskiej wierzyli, że ich szef zawsze znajdzie wyjście nawet z najbardziej kryzysowej sytuacji, gdyż ma swojego doradcę.

SERCE W ROZTERCE

Nowym mitem założycielskim Igora Ostachowicza, jako geniusza pracującego z jeszcze większym geniuszem ma być bajka o rebrandingu Platformy pod znakiem biało-czerwonego serduszka. W PO święcie wierzą, że wymyślił je Ostachowicz i doradził Tuskowi, by przed marszem 4 czerwca 2023 r. opowiedział rzewną historyjkę, jak to sztabowcy partii rozmawiali ze swoimi dziećmi, by znaleźć najlepszy oraz najprostszy symbol i to te dzieci go podsunęły. Tusk w to wszedł i mówił: „Nasze dzieci przygotowały ten symbol marszu. To znaczy jedno – że wszyscy, tak jak tu dzisiaj przyszliśmy, mamy Polskę w naszych sercach, wszyscy mamy w sercach naszą ojczyznę". Tyle że zapewne jest to bajka, bo podobno testowano kilkanaście symboli i serduszko najlepiej wypadło w badaniach.

Wedle licznych opowieści polityków PO Igor Ostachowicz służy też Donaldowi Tuskowi do powściągania ambicji czołowych polityków jego partii. Szef rządu może mówić, że partia odnosi sukcesy tylko wtedy, gdy jego ludzie, tak jak Ostachowicz, nie zajmują się budowaniem własnych wpływów, a pracują wyłącznie dla dobra szefa. I nie wtrącają się w sprawy personalne. Opowieści o tym, jak Ostachowicz od lat inspiruje i wzbogaca premiera, najpierw w siedzibie partii przy ul. Wiejskiej, a obecnie w kancelarii premiera w Alejach Ujazdowskich oraz w willi przy ul. Parkowej, służą temu, żeby uszlachetnić „panowanie" Tuska. Żeby pokazać go jako konesera win i znawcy dobrej muzyki (głównie Bacha), który w atmosferze niemal greckiej akademii albo obiadów czwartkowych prowadzi wyrafinowane rozmowy i szuka najlepszych rozwiązań dla Polski. Ale przeciwnicy Tuska nawet w jego własnej partii twierdzą, że gdy się dobrze przyjrzeć, to premier działa obecnie bardziej jak rzezimieszek, a nie koneser.

eprasa.pl 36fbceef5c

W listopadzie 2024 r. Igor Ostachowicz skończy 56 lat, a od ponad 20 lat jest kreowany (i sam się kreuje) na szarą eminencję, która nigdy nie zagrozi szefowi, gdyż jest wzorcowo lojalny i dyskretny. Dlatego unika dziennikarzy i kamer, a przez to może być najbardziej zaufanym człowiekiem premiera. I może udawać sfinksa, czyli udawać najbardziej tajemniczą i zagadkową osobę w otoczeniu szefa rządu.

Ostachowicz został pielęgniarzem, choć miał znacznie większe ambicje. Ostatecznie trafił na „wodolejskie" dziennikarstwo i nauki polityczne na UW, specjalność – stosunki międzynarodowe. Pierwszą pracę dostał w szpitalu psychiatrycznym, gdzie był sanitariuszem. Wokół tego zbudował też swoją legendę: człowieka poświęcającego się dla innych. Ale podobno zawsze marzył o karierze w biznesie (od 1998 r. pracował jako specjalista i dyrektor ds. marketingu w firmach Pol-Nil, Biovena, ZIBI, Unicolor SA i Medlab-Products), a gdyby mu się tam nie powiodło, to w polityce. Z biznesem poszło mu średnio, z polityką zresztą też.

Robienie kariery w polityce zaczął od tego, że zauważył, iż Jan Rokita staje się sławny podczas pracy w komisji śledczej ds. tzw. afery Rywina. Postanowił więc dostać się do jego otoczenia i to mu się udało, choć nie zrobił Rokity „premierem z Krakowa". W 2005 r. zaoferował swoje usługi Grażynie Gęsickiej, w rządzie PiS minister rozwoju regionalnego, i został doradcą w jej gabinecie politycznym. W czasie pierwszych rządów Prawa i Sprawiedliwości pełnił też funkcję dyrektora departamentu marketingu Polskiej Grupy Energetycznej SA, bo tam były pieniądze. W 2006 r. zaciągnął się do sztabu wyborczego Hanny Gronkiewicz-Waltz, która startowała na prezydenta Warszawy. Udanie. W 2007 r. zaciągnął się z kolei do sztabu PO podczas wyborów do Sejmu, podobno dostał się tam dzięki kokietowaniu Rafała Grupińskiego i podtrzymywaniu mitu o sobie jako partyjnym intelektualiście.

TUSKOCHOWICZ

Gdy w 2009 r. wybuchła afera hazardowa, Donald Tusk wyrzucił z rządu kilku ministrów, w tym Grzegorza Schetynę. Wśród przyjaciół Schetyny krąży opowieść, że aby nie wyjść na bezwzględnego siepacza, Tusk ustalił z Ostachowiczem, iż w razie kłopotów będzie mówił, że to on mu doradził zmiany personalne. Podobnie miało być, gdy chodzi o wojnę Tuska z dopalaczami. Ci w PO, który nie przepadają za Ostachowiczem, twierdzą, że pomysł w tej sprawie przypisano mu dopiero wtedy, gdy akcja poniosła całkowitą klęskę. Na tej samej zasadzie jemu przypisano też wymyślenie 100 konkretów w 2023 r. I znowu dopiero wtedy, gdy ten pomysł okazał się klapą.

Odchodząc w 2014 r. z rządu, Tusk załatwił Ostachowiczowi stanowisko w zarządzie ORLENU. Zrobiła się afera, więc Ostachowicz zrezygnował z posady – „w trosce o interes spółki w związku z kontrowersjami, jakie wywołała ta nominacja". W 2014 r. nie wyjechał za Tuskiem do Brukseli, bo nie chciał, ale pozostawali w kontakcie. W tym czasie doradzał Ewie Kopacz, Grzegorzowi Schetynie i Borysowi Budce, ale ponieważ brakowało im „geniuszu" Tuska, skutki tego doradzania były marne.

W kampanii wyborczej w 2023 r. pojawiły się plotki, że to Igor Ostachowicz stoi za pomysłem podwyższenia kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł, ale znowu zaczęto o tym mówić dopiero wtedy, gdy koncepcja okazała się nierealna – ani w 2024, ani w 2025 r.

Nie sposób ustalić, czy Tusk konsultuje z Ostachowiczem swoje tweety, w większości zaczepne wobec opozycji, a często oceniane przez nią jako wredne i nieprzyzwoite. Podobno obaj sobie gratulują, gdy jakiś wpis wywoła burzę lub wywoła wyjątkowo negatywne emocje, ale nikt tego nie widział. Krąży też opowieść, że to Ostachowicz wymyślił, żeby premier kończył konferencje prasowe, gdy pytania od dziennikarzy są kłopotliwe. Miał wtedy doradzać, żeby szef rządu składał tylko oświadczenia, bez pytań dziennikarzy. I miał mu doradzić, żeby się wtedy spieszył z powodu nawału obowiązków lub ważnych spotkań.

Politycy opozycji twierdzą, że wszystko jedno, czy to Ostachowicz doradza Tuskowi, żeby wtedy, gdy nie da się obronić jakiegoś posunięcia rządu, a kłamstwo jest szyte zbyt grubymi nićmi, mówił, iż nie ma na to jego zgody, bo obaj myślą podobnie. W każdym razie ten duet ma opinię świetnie się uzupełniającego, ale zazwyczaj w sprawach, które nie służą ani Polsce, ani Polakom. Z tego powodu Ostachowicz jest postrzegany raczej jako demon Tuska niż jego dobry duch.

Fot. Michał Dyjuk/Reporter

eprasa.pl 36fbceef5c

Polowanie na myśliwych

Ministerstwo Środowiska i Klimatu wpadło w ręce „zielonych" fanatyków. Ich celem jest zniechęcanie ludzi do łowiectwa. Cierpią rolnicy i gospodarka leśna

MACIEJ WALASZCZYK

Prace nad nowelizacją prawa łowieckiego pilotuje Mikołaj Dorożała, główny konserwator przyrody. Wegetarianin, ekologiczny aktywista, który z list Trzeciej Drogi rok temu nie dostał się do Sejmu. Niestety w rządzie Tuska został wiceministrem w resorcie środowiska. To tak, jakby za wojsko odpowiadał organizator marszów antywojennych.

EKOFANATYCY RZĄDZĄ RESORTEM

Jeszcze ponad rok temu Dorożała był przede wszystkim mieszkańcem Błaszek w powiecie sieradzkim, aktywnie protestującym przeciw budowie kolei szybkich prędkości, a więc jednej ze szprych łączących południe Polski z Centralnym Portem Komunikacyjnym. Planowana linia została bowiem usytuowana zbyt blisko domu, który sobie postawił. Opowiadał wówczas mediom o wielkim stresie, w którym żył on i ludzie „dotknięci planami ministra Marcina Horały", a także o konieczności korzystania z pomocy psychologicznej. W którymś z wystąpień zwierzał się też, że boi się wystrzałów, a gdy je słyszy, skóra cierpnie mu na plecach.

Fot. Shutterstock

Teraz jest odpowiedzialny za łowiectwo i chce wymusić na myśliwych przechodzenie okresowych badań psychologicznych. „Ja bym pana ministra Dorożałę też skierował na badania" – powiedział w jednej z rozmów Bronisław Komorowski. Były prezydent celnie scharakteryzował wiceministra, jako osobę raczej nienawidzącą myśliwych oraz leśników i kierującą się bardziej emocjami niż racjonalnymi kategoriami. Wiceminister nie kryje się zresztą ze swoimi poglądami. Nie lubi myśliwych, a przy wsparciu zewnętrznych organizacji postanowił szkodzić rozwojowi kultury łowieckiej. Dzisiaj tego rodzaju „ekologiczni" aktywiści stali się bowiem ministrami, a poza Pauliną Hennig-Klo-

eprasa.pl 36fbceef5c

ską czy Urszulą Zielińską, która zwalczała budowę zbiorników przeciwpowodziowych, funkcję jednego z podsekretarzy pełni np. Anita Sowińska z Nowej Lewicy, która konieczność regulacji rzek nazywała ich „betonowaniem", podając w wątpliwość sens „ekologicznego transportu wodnego". Jednocześnie zachęcała do picia wody z kranu i rezygnacji z kupowania tej butelkowanej.

Niestety prawda jest też taka, że myśliwym zaszkodziło również PiS, forsując m.in. zakaz udziału dzieci w polowaniach i odbierając im samorządność. Brak obecności młodych chłopców na polowaniach, przy strzelaniu, obsłudze broni czy oprawianiu zwierzyny z pewnością spowoduje w przyszłości spadek liczby

myśliwych. „Są grupy antyłowieckie, które otrzymują duże pieniądze na prowadzenie swojej działalności. Opierają się też na wielkomiejskim elektoracie, który z niechęcią patrzy na myśliwych, bo nic z tego nie rozumie" – podkreśla Dariusz Woźniak ze Związku Zawodowego „Wspólna Sprawa". Jedną z nich jest fundacja Niech żyją! Jej „ambasadorami" są m.in. Szymon Hołownia, Agnieszka Holland, Olga Tokarczuk, Adam Wajrak czy Maja Ostaszewska. To ci sami, którzy trzy lata temu atakowali obrońców wschodniej granicy przed nielegalnymi imigrantami.

ZASZKODZIĆ ŁOWIECTWU

Polski Związek Łowiecki zrzesza obecnie 130 tys. ludzi dysponujących 500 tys. sztuk różnego typu broni, w tym wyborowej. Liczba myśliwych przypadających na 1 tys. mieszkańców nie jest jednak zbyt wysoka. Znacznie więcej myśliwych jest zarejestrowanych w Hiszpanii (ponad 800 tys.), Włoszech (750 tys.) czy Francji (1,3 mln). Relatywnie wielu jest również w krajach skandynawskich czy w Finlandii.

Czy łowiectwo potrzebuje zmian? Część myśliwych przyznaje, że z pewnością powinno się reformować, ale zmiany winny prowadzić do wyższych standardów, a także jego rozwoju. Chodzi o zwiększenie częstotliwości kontroli podczas polowań czy wprowadzenie dodatkowych egzaminów strzeleckich. Na początku czerwca łowczy krajowy Eugeniusz Grzeszczak (kiedyś wicemarszałek Sejmu z PSL) oraz szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz podpisali porozumienie o współpracy pomiędzy resortem a Polskim Związkiem Łowieckim. Chodziło o wpisane myśliwych do systemu ochrony ludności i obrony cywilnej. Faktycznie ma być w nim wykorzystana jedynie infrastruktura związku.

Sam Dorożała próbował torpedować pomysł, podnosząc wspomniany już warunek wprowadzenia okresowych badań lekarskich i psychologicznych. Myśliwi przechodzą je, gdy decydują się wystąpić o pozwolenie na broń. „Okresowe badania przechodzą w Polsce wyłącznie osoby posiadające broń do celów ochrony osobistej, a więc potencjalnie mogący znaleźć się w niebezpieczeństwie, pod presją, kiedy kierują broń na innych. Myśliwi przecież używają jej w zupełnie innych okolicznościach" – argumentuje Maciej Perzyna, myśliwy i lekarz weterynarii, asystent w Katedrze Chorób Dużych Zwierząt SGGW. Badania przeprowadzają lekarze zarejestrowani w komendach wojewódzkich policji – psychiatrzy, psychologowie, okuliści. Ich koszt waha się od 500 zł nawet do 1 tys. zł. Tymczasem jest grupa myśliwych biorących udział w polowaniach tylko sporadycznie, a nawet tacy, którzy pojawiają się dwa razy w roku na tradycyjnych wigilijnych i hubertowskich. Zdaniem myśliwych chodzi więc o ich stygmatyzację jako osób potencjalnie niebezpiecznych.

Co roku ma miejsce najwyżej kilka wypadków z udziałem myśliwych. Są to różnego rodzaju pomyłki, gdy ofiarą był nawet człowiek, pies czy zwierzę z gatunku chronionego, ale które nie miały żadnego związku ze stanem zdrowia łowczych. „To promil, bo polowań zgłoszonych są miliony" – mówi Dariusz Woźniak. Pada też zarzut, że polują pod wpływem alkoholu, choć nie ma żadnych danych na ten temat. „Jeśli dzisiaj podczas polowań zdarzają się wypadki, to głównie z powodu nieprzestrzegania zasad bezpieczeństwa" – tłumaczą zgodnie myśliwi. Chodzi o rutyniarstwo polegające na nierozładowywaniu broni w terenie trudnym do przejścia, w czasie wejścia na ambonę, wypalenie w wyniku nieszczęśliwego odpięcia się broni z paska albo podczas przejazdu samochodem z miejsca na miejsce. „To po prostu rutyna i lenistwo, a nie kwestia zdrowia" – tłumaczą. Na polowaniu zdarza się czasem, że człowiek pomyli człowieka z dzikiem, ale to nic więcej jak nieszczęśliwy wypadek, bardzo rzadki, bo zdecydowana większość myśliwych korzysta dziś z termowizji, która daje gwarancję odróżnienia człowieka od zwierzęcia.

Radykalni ekolodzy orzucają wizję człowieka ogrodnika, który użytkuje, ochrania i odnawia las i jego zasoby. Na tym przecież polega praca leśnika i myśliwego, regulującego gospodarkę leśną i łowiecką, łącząc ją właśnie z elementami ochrony przyrody. Od dziesięcioleci nikt nie poluje na zwierzęta na potęgę, a odstrzał selekcyjny jest wręcz koniecznością. Tymczasem obserwujemy próbę jego ograniczenia. Chyba najdziwniejszą zmianą jest objęcie zakazem polowania kilku gatunków ptaków. W Polsce strzela się ich ok. 180 tys. rocznie, z czego ok. 60 proc. to bażanty, a pozostałe to kaczki i gęsi. Ta liczba jest podawana jako straszny pogrom po to, by zaszokować i wywołać oburzenie osób postronnych. Tymczasem w całej Europie strzela się rocznie 52 mln sztuk ptactwa spośród 82 gatunków dozwolonych przepisami

eprasa.pl 36fbceef5c

Wiceminister Mikołaj Dorożała

unijnymi. Wynika z tego, iż polscy myśliwi strzelają tylko ok. 0,38 proc. tej liczby. Nie poluje się do ptaków, których jest mało, choć rzeczywiście są one obiektem pożądania wielu myśliwych.

Ministerstwo chce objąć zakazem polowania cyraneczkę, czyli najmniejszą polską kaczkę, a także czernicę, łyskę czy głowienkę. Jednak nie dlatego, że są one przetrzebiane przez myśliwych, ale z tego powodu, że zanikają ich naturalne siedliska. Z tych samych powodów mamy w Polsce również coraz mniej zajęcy. Chemizacja i mechanizacja, monokulturowe wielkie uprawy spowodowały zanik jego naturalnego matecznika. Jak wiemy zając to gatunek siedzący na miedzy i dopóki się w niej ukrywał, był bezpieczny i mógł się bezpiecznie rozmnażać. Gdy miedze zniknęły, stał się łatwym łupem dla drapieżników, głównie lisów. Tymczasem populacja tych zwierząt rozrosła się w ostatnich latach na potęgę. Myśliwi wcale tak chętnie na nie nie polują, nie ma zapotrzebowania na czapki i kołnierze, więc nikt już nie trzyma jej w ryzach.

Od kilku lat rolnictwo zmaga się z groźną epidemią afrykańskiego pomoru świń (ASF), która zagraża hodowlom trzody chlewnej. Choroba jest przenoszona przez dziki. Jej rozprzestrzenianie ogranicza prowadzony właśnie przez myśliwych odstrzał sanitarny podczas specjalnych polowań zbiorowych. Od 2019 r. odstrzelono ponad 1 mln dzików. Ministerstwo jednak uważa, że „dokonywana jest rzeź" tych zwierząt i planuje wprowadzenie moratorium na odstrzał ciężarnych loch. Już wcześniej były sytuacje, gdy dopuszczano ich zabijanie w okresie ochronnym właśnie ze względu na konieczność wytrzebienia populacji. W tym momencie środowisko myśliwych postawiło opór, gdyż z etycznego punktu widzenia nijak się to miało do łowiectwa. Jednak gdyby wówczas tego zaniechano, wirus rozprzestrzeniałby się z jeszcze większą intensywnością. Dzik to oczywiście także pożyteczne zwierzę, np. wyżera larwy szkodników z gleby, ale człowiek musi mu postawić konkretną granicę ekspansji, np. nie dokarmiać. Tym bardziej że, jak mówią myśliwi, „idzie za jedzeniem", powodując wielkie szkody, a tym najłatwiej dostępnym pokarmem są uprawy kukurydzy. Jej duże spożycie spowodowało, że dziki bardzo się zmieniły – są wielkie, mają dużo tkanki tłuszczowej, czasem obserwuje się też zanik kłów. „Kukurydza wywołuje u loszek przerost błony śluzowej, przez co młode, nawet roczne lochy łatwiej zachodzą w ciążę. Sam widziałem warchlaki w styczniu" – mówi jeden z myśliwych. Okazuje się, że podaż wysokoenergetycznej karmy powoduje, iż lochy mogą mieć młode nawet dwa razy w roku i rodzą ich coraz więcej. Zdaniem Macieja Perzyny warunkiem skutecznego zwalczania ASF jest budowa efektywnego systemu zbierania padłych dzików, które rozprzestrzeniają wirusa, a potem utrzymywanie niskiego zagęszczenia populacji.

> Wiceminister środowiska Mikołaj Dorożała nawet nie kryje się ze swoimi poglądami. Nie lubi myśliwych, a przy wsparciu zewnętrznych organizacji postanowił szkodzić rozwojowi kultury łowieckiej w Polsce

GOSPODARKA LEŚNA

Dziś już wiadomo, że nie ma żadnych szans na zniesienie moratorium na łosia, od ponad 20 lat objętego całorocznym okresem ochronnym. Choć rośnie liczba wypadków drogowych z udziałem tych zwierząt, które, co sam często obserwuję, migrują wokół Warszawy, wchodząc na drogi. W pewnych miejscach na pewno potrzebny jest odstrzał redukcyjny, dziś zakazany. Podobnie rzecz się ma z wielką liczbą jeleni. Jest ich dużo i w rozumieniu ekonomicznym wyrządzają ogromne szkody, zgryzając młode pędy drzew, które potem karłowacieją lub w najlepszym razie są krzywe, nie nadając się w przyszłości na deski. Piękne i majestatyczne jelenie, a także sarny i łosie są więc w dużej liczbie wrogami młodego lasu, powodując konieczność zabezpieczania młodników ogrodzeniami. Tu też jest konieczna regulacja populacji. Np. w Szwajcarii ocenia się, że już 5 jeleni na 1 tys. ha powoduje w lesie szkody. W Polsce według zasad selekcji populacyjnej jeleni może być nawet do 50 na 1 tys. ha, choć np. w Słowińskim Parku Narodowym ich zagęszczenie przekraczało w pewnym momencie 250 sztuk. Tymczasem z roku na rok poziom populacji zwierzyny płowej jest utrzymywany przynajmniej na tym samym poziomie albo notuje jej wzrost do kilkunastu procent.

Metodyczne niszczenie gospodarki łowieckiej na pewno spowoduje straty w przyrodzie i rolnictwie. Dzisiaj za szkody wyrządzane przez dziki, jelenie, czy sarny na uprawach rolnych płacą myśliwi, a dokładnie dzierżawca albo zarządca danego obwodu. Biorą na siebie ryzyko i konieczność odstrzału odpowiedniej ilości zwierzyny oraz utrzymania danej populacji w ryzach. Kolejne ograniczenia wprowadzane do prawa łowieckiego komplikują tę działalność. I o to pewnie chodzi ministerstwu. „Nikt tak nie połączył leśników, rolników i myśliwych jak Mikołaj Dorożała" – słyszymy.

Fot. Ministerstwo Klimatu i Środowiska

eprasa.pl 36fbceef5c

Jaka przyszłość narodu?

W walce o młodych chodzi o coś więcej niż o doraźną politykę. Stawką jest nasza przyszłość. Liberalna lewica doskonale to rozumie, dlatego nie żałuje sił i środków na „hodowlę" swojego elektoratu. Jedynym kluczem do młodych, jaki pozostał dziś prawicy, jest umiejętność słuchania. Warto ją posiąść – nie dla politycznych profitów, ale dla lepszego jutra

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Fot. Andrzej Wiktor

W ostatnich wyborach do Sejmu młodzi ludzie (18–29 lat) najchętniej głosowali na Koalicję Obywatelską (28,3 proc.). Potem w tej grupie wiekowej była Lewica (17,7 proc.), Konfederacja oraz Trzecia Droga (oba ugrupowania po 16,9 proc.) i dopiero na końcu PiS (14,9 proc.).

Wyniki głosowania wśród najmłodszych wyborców wywołały dużo rozgoryczenia po prawej stronie sceny politycznej. Potwierdzały bowiem zwycięstwo liberalnej lewicy w walce o umysły młodych ludzi i zarazem nieskuteczność podobnych zabiegów podejmowanych przez obóz konserwatywny. Pojawiły się nawet głosy, że bitwa o młodzież została przegrana i należy ją sobie odpuścić.

Tymczasem cztery lata wcześniej było zupełnie inaczej. W wyborach parlamentarnych z 2019 r. młodzi ludzie najchętniej głosowali na PiS (26,2 proc.), a partia Donalda Tuska znalazła się na drugim miejscu (24 proc.). Trzecia była Konfederacja (20,2 proc.) i dopiero dalej Lewica (17,7 proc.), wówczas startująca jeszcze pod szyldem SLD. Co takiego stało się więc przez te cztery lata, że PiS stracił głosy młodych?

MIĘSO ARMATNIE

Odpowiedź wydaje się oczywista – gwałtowny spór wokół aborcji z końca 2020 r. okazał się skutecznym wyzwalaczem antypisowskich nastrojów. To, co ludziom o konserwatywnej wrażliwości wydawało się zgrozą – czerwone pioruny, manifestacje podczas pandemii, wulgarne hasła, wspólne skandowanie „J...ć PiS" – stało się dla wielu młodych doświadczeniem pokoleniowym. Owszem, kiepskim i tandetnym, ale

eprasa.pl 36fbceef5c

dającym namiastkę wspólnoty i dążenia do jakiegoś celu. Możemy się na to zżymać, ale prawica nie znalazła własnej oferty skierowanej do młodych. Albo inaczej – miała ją, lecz okazała się ona mniej atrakcyjna w zderzeniu z aborcyjnym happeningiem zorganizowanym przez liberalną lewicę.

Potem poszło już jak z płatka, rozgrzane nastroje dostarczyły niezbędną energię dla długotrwałej kampanii przeciwko rządzącej prawicy. Odtąd można było wmówić ludziom wszystko – że PiS łamie prawo, odbiera wolność, zatruwa ryby w Odrze i zabija imigrantów na granicy z Białorusią. Partia Jarosława Kaczyńskiego została zepchnięta do defensywy, z której nie udało się jej wyjść do ostatnich wyborów. W rezultacie mimo ogromnych sukcesów straciła władzę.

Być może nie byłoby takiego finiszu, gdyby nie utrata młodych wyborców. Nawet jeśli nie byli oni języczkiem u wagi, to z pewnością przyczynili się do gorszego wyniku PiS w wyborach. A to ostatecznie zdecydowało o tym, kto obejmie władzę i w jakim kierunku podąży Polska.

W walce o młodych chodzi bowiem o coś więcej niż o doraźną politykę. Stawką jest przyszłość państwa. Od tego, kto i co kształtuje młodzież, zależą przecież jej przyszłe poglądy w dojrzałym życiu, jej sympatie i wybory. Jeżeli więc obóz patriotyczny odpuści sobie bitwę o młodych wyborców, to za jakiś czas zniknie ze sceny politycznej.

Liberalna lewica doskonale to rozumie, dlatego nie żałuje sił i środków na „hodowlę" swojego przyszłego elektoratu. A że robi to – w skali całego zachodniego świata – już od ponad półwiecza, teraz łatwiej jest jej odcinać kupony od wieloletniej inwestycji. I nie chodzi tylko o to, iż liberalna lewica ma dziś za sobą całą potęgę mediów, kultury masowej i wielkiego kapitału. Szkopuł tkwi również w tym, że jest ideologicznie lepiej przygotowana do walki. Łatwiej może się przedstawiać w roli burzyciela starego porządku i tym samym wykorzystywać naturalną skłonność młodych ludzi do buntu. Tyle tylko, że ten bunt jest ściśle kontrolowany, fikcyjny i służy interesom liberalnej oligarchii.

Młodzi ludzie wierzą, że są awangardą lepszej przyszłości, ale w rzeczywistości jest dokładnie odwrotnie – są bowiem mięsem armatnim na wojnie starych dziadów, którym zależy jedynie na utrzymaniu władzy i przywilejów. To dlatego dochodzi do takich paradoksów jak w ostatnich wyborach, gdy młodzież masowo oddała głosy na turboliberalne partie, które przecież zamkną jej drogę ku dobremu życiu.

> Jeżeli obóz patriotyczny chce pozyskać zaufanie młodych, musi się wystrzegać wchodzenia w nie swoje buty i udawania fajnych gości oraz pouczania młodzieży, co ma myśleć i jak żyć

BUNT SKOMERCJALIZOWANY

W tej walce prawica stoi na znacznie gorszej pozycji. Jej podstawowy problem polega na tym, że traktuje młodych ludzi poważnie – jak dorosłych. Liczy na ich rozum, odpowiedzialność, racjonalne kalkulacje. Oznacza to wiarę, że młody człowiek jest już na tyle dojrzały, aby przyjąć na siebie różne obowiązki, powstrzymywać swój egoizm, zgadzać się na kompromisy i – co najważniejsze – posiadać ukształtowany charakter i umieć rozróżniać prawdę od fałszu.

Lewica nie stawia młodym ludziom takich wymagań. Przeciwnie, oferuje im infantylny świat wiecznej zabawy i happeningu. Ma w nim nie być żadnych zobowiązań, żadnej ostatecznej prawdy i ustalonych reguł. Na pozór wszystko jest dozwolone i dynamicznie się zmienia: od gadżetów po płeć. Dziś jesteś chłopcem, a jutro dziewczyną – nic nie jest ostatecznie ustalone, a twoje zadanie stanowi nadążanie za kolejnymi wezwaniami lewicowego Wielkiego Brata. To on ustala nowe trendy, wskazuje kolejne granice do przekroczenia i imituje nieustanną rewolucję. Dzięki temu wielu młodych ludzi ma poczucie uczestnictwa w paradzie wolności i wielkim dziele zmiany świata, nie zdając sobie sprawy z tego, że padają ofiarą oszustwa.

Liberalnej oligarchii chodzi bowiem dokładnie o to samo, o co chodziło peerelowskim władzom w stanie wojennym. Wtedy nastąpił w Polsce wysyp muzyki rockowej, pojawiły się subkultury młodzieżowe i rozmaici animatorzy w rodzaju Jerzego Owsiaka. I choć ówczesna muzyka była akurat niezła, to przecież komunistom nie chodziło o jej walory. Cel był inny: odciągnąć młodych od polityki i skanalizować jej bunt na innych polach.

Dziś ta strategia jest znacznie bardziej wyrafinowana i skuteczniejsza, ale jej cel się nie zmienia. Umysły młodych ludzi mają być zaprzątnięte treściami podsuniętymi przez kulturę masową i media. Młodzi pomimo otwartych oczu mają być całkowicie ślepi na otaczającą ich rzeczywistość. Naturalny bunt został skanalizowany i skomercjalizowany, zarabia się nawet na podartych dżinsach.

Przy czym teraz nie idzie już tylko – tak jak w peerelu – o odciągnięcie młodych od polityki. W latach 80. komuniści nie mieli już sił, aby przeciągnąć młodzież na swoją stronę. Dzisiejsza liberalna oligarchia nie ma takich problemów, dlatego aktywnie wciąga młodych w politykę, nawet wtedy, gdy oni sami nie zdają sobie z tego sprawy. Bo kiedy wszystkie przekupione lub zwyczajnie głupie gwiazdy kultury masowej krzyczą młodym ze wszystkich stron, że planeta płonie, że wszystkie kultury – oprócz chrześcijańskiej – są przyjazne ludziom, że każdy, kto myśli inaczej jest faszystą, to jest właśnie polityka. Tyle że podana w lekkostrawnym dla młodzieży popkulturowym sosie.

OBRAZ SPOŁECZEŃSTWA

Prawica próbuje odpowiadać na ofensywę liberalnej lewicy, ale ciągle za nią nie nadąża. Trudno się temu dziwić, bo przyjmując stylistykę drugiej strony, jest zwyczajnie niewiarygodna. Przecież prawicowy polityk (tu wpiszcie sobie państwo dowolne nazwisko) próbujący

eprasa.pl 36fbceef5c

mówić młodzieżowym slangiem i podskakujący w rytm muzyki wyjdzie na durnia. Tymczasem lewicy takie rzeczy uchodzą płazem i co więcej, często wywołują pozytywną reakcję.

Dzieje się tak dlatego, że prawica – tak jak wspomniałem – traktuje ludzi poważnie i każde odstępstwo od tej reguły trąci fałszem. To trochę tak jakby szacowny nauczyciel założył nagle na siebie kolorowe majtki i zaczął popalać marihuanę z uczniami. Błazenadę warto więc pozostawić tym, którzy są błaznami. Prawicy nigdy nie uda się zawalczyć o młodzież, naśladując lewicę.

Czasami mówi się, że współczesny świat stał się infantylny. Jest w tym sporo prawdy, ale wcale nie jest temu winna – jak się często uważa – młodzież. To przecież nie młodzi ludzie rządzą Europą i nie oni wyznaczają polityczne strategie. Za infantylizacją świata stoi liberalna lewica, która uczyniła z niej narzędzie do obezwładnienia społeczeństwa. Bawmy się, bawmy, we wszystkich kolorach tęczy – a gdy my się bawimy (często wbrew własnej woli), inni przeliczają pieniądze i umacniają swoją władzę nad nami.

Młodzi ludzie nie wzięli się znikąd – są obrazem istniejącego społeczeństwa, kolejnym pokoleniem ukształtowanym przez epokę, w której żyje. Zanim więc zaczniemy narzekać na młodzież, przyjrzyjmy się samym sobie. Sympatie i poglądy wynosi się najczęściej z domu rodzinnego. Trudno więc oczekiwać, aby młodzi Polacy odstawali w tych kwestiach od swoich rodziców. A ci – co pokazały ostatnie wybory – wcale niekoniecznie są w pełni świadomi tego, co się wokół nich dzieje. To także do pewnego stopnia skutek infantylizacji, o której mowa.

Niektórzy uważali, że jest całkiem fajnie, ale po zmianie władzy będzie jeszcze fajniej. Inni, zwłaszcza ci „wykształceni z wielkich miast", są wychowanymi na TVN i „Newsweeku" dziadersami, którym się zdaje, że są nowocześni, młodzi, a przede wszystkim fajni i postępowi. Że z życia trzeba tylko brać i jak najmniej dawać, a wszystkie zasady są dla frajerów. Czy ktoś wychowany w takim domu może się okazać w dorosłym życiu świadomym i ważącym swoje decyzje wyborcą? Mam co do tego dużo wątpliwości.

Te dwa światy – młodych i starych – mocno się zresztą przenikają. Młodzi naśladują rodziców, a rodzice chcą być równie fajni i młodzi jak ich dzieci. Czasami bywa tak, że to jedyna metoda nawiązania kontaktu z własnym potomstwem. W ten sposób również dzieci mogą wpływać na światopogląd swoich rodziców. To oczywiście zawsze oznacza porażkę wychowawczą.

Prawda jest bowiem taka (i wskazują na to nieliczne niestety badania postaw młodzieży), że młodzi ludzie intensywnie poszukują autorytetu. I jeśli nie mogą go znaleźć we własnej rodzinie, szukają wśród rówieśników lub w mediach.

W rezultacie młodzi wychowani w skomercjalizowanej rzeczywistości łapią to, co im zareklamują i podsuną inni. Są konsumentem idealnym, bo podatnym na manipulację. Jeżeli nie ma nikogo, kto mógłby nauczyć ich odróżniania rzeczy wartościowych od bezwartościowych, dobrych od złych, prawdziwych od fałszywych – czyli inaczej mówiąc, kogoś, kto wpoi im kulturę i wiedzę – będą bezwiednie chwytać każdą błyskotkę i każdą brednię.

> Lewica lubi przedstawiać się w roli burzyciela starego porządku i wykorzystywać naturalną skłonność młodych ludzi do buntu. Tyle tylko, że ten bunt jest ściśle kontrolowany

Propagandowe banialuki serwowane bez końca na różnych instagramach, tik-tokach i innych wynalazkach szybko się rozchodzą wśród młodych odbiorców. Młodzież kieruje się odruchami stadnymi, kto więc odstaje od stada i nie ekscytuje się rozpowszechnianymi bzdurami, ten bywa – niekiedy bardzo brutalnie – wyśmiewany i stygmatyzowany. Naprawdę trzeba mieć silną wolę i charakter, aby w obliczu tak masowego ogłupiania zachować zdrowy dystans.

Trudno się więc dziwić, że młodzieży otwarcie przyznającej się do patriotyzmu, wiary lub po prostu krytycznej wobec obecnej rzeczywistości praktycznie nie widać. Co oczywiście nie oznacza, że takich ludzi nie ma.

KLUCZ DO MŁODYCH

Jeżeli obóz patriotyczny (celowo nie piszę prawica, bo ten nurt jest szerszy) chce pozyskać zaufanie młodych, przede wszystkim musi się wystrzegać dwóch rzeczy. Po pierwsze, wchodzenia w nie swoje buty i udawania fajnych gości, a po drugie, pouczania młodzieży, co ma myśleć i jak żyć. W zamian należy szukać tego, co pozwoli złapać kontakt z młodymi. Rozmawiać o edukacji, ale nie zaczynać od programów nauczania, lecz kosztów nauki i jej niskiej jakości. Należy podsuwać pomysły na to, co zrobić ze szkolnictwem, aby jego absolwenci mieli szansę na godziwą pracę i płacę. Być może należy porozmawiać o tym, jak odpowietrzyć uczelnie od ideologicznych fanatyków.

Warto mówić o dostępności tanich mieszkań i skończyć wreszcie z nawilżaniem deweloperom. Może trzeba pokazać, jak wiele szans dla młodzieży tracimy poprzez politykę obecnego reżimu, który tnie środki na wielkie inwestycje gospodarcze, szkoły i służbę zdrowia. Te tematy i dużo innych – ale bez natrętnej dydaktyki – po pewnym czasie mogą skierować myślenie wielu młodych ludzi na właściwe tory. Oni sami wyciągną kiedyś z tego właściwe wnioski – również polityczne.

Jest jeszcze jeden problem. W tej chwili trudno mi dostrzec w szeroko rozumianym obozie patriotycznym ludzi wystarczająco kompetentnych i wiarygodnych, aby nawiązać kontakt z młodzieżą. Takich, którzy będą w stanie powstrzymać swoje poczucie nieomylności i słuchać. Bo jedynym kluczem do młodych, jaki pozostał dziś prawicy, jest umiejętność słuchania. Warto ją posiąść – nie dla politycznych profitów, ale w imię przyszłości państwa.

eprasa.pl 36fbceef5c

Powrót chorób z przeszłości

W 2023 r. w Polsce odnotowano tylko 36 zachorowań na odrę. Natomiast w okresie 1 stycznia – 30 kwietnia 2024 r. zachorowało już 128 osób. Epidemiolodzy twierdzą, że nasz kraj utracił odporność populacyjną, ponieważ poziom zaszczepienia przeciwko tej chorobie spadł poniżej 95 proc. – progu zapewniającego odporność zbiorowiskową

Z dr. Michałem Mularczykiem, internistą, kardiologiem interwencyjnym i dietetykiem, rozmawia Dorota Łosiewicz

Kilka lat temu krztusiec, zwany też kokluszem, wrócił i został z nami. Dlaczego?

Michał Mularczyk: Faktycznie jest tak, że mniej więcej od 2000 r. zaczęła gwałtownie rosnąć zachorowalność zarówno w grupie młodszych, jak i dorosłych. Problem polega na tym, że odporność, którą człowiek nabywa na tę chorobę w wyniku szczepienia czy przechorowania, ustaje po mniej więcej 10 latach. Dlatego teraz częściej chorują dorośli niż dzieci. Jeszcze 25 lat temu krztusiec był postrzegany wyłącznie jako choroba dzieci i młodzieży. To się zmieniło właśnie dlatego, że odporność poszczepienna szybko wygasa. A przecież doszczepianie przeciw krztuścowi nie jest zbyt popularne. Wygląda więc na to, że zdecydowana większość dorosłych ma zbyt słabą odporność na krztusiec. Oczywiście jeżeli mieliśmy kontakt z chorobą jeszcze w fazie odporności nabytej przez szczepienie lub przechorowanie, to ta odporność nam automatycznie wzrosła, nawet jeśli nie wiemy, że mieliśmy kontakt z chorobą. To działa tak, jak w przypadku SARS-CoV-2. Ludzie, którzy mieli kontakt z wirusem, a nie zachorowali, mogli zauważyć u siebie wzrost przeciwciał. Z kokluszem jest tak, że rozprzestrzenianie się choroby może automatycznie wygasnąć i za paręnaście lat znowu powróci. Tu mamy o tyle dobrą sytuację, że krztusiec można leczyć antybiotykami, a w przypadku odry, która też powróciła do Europy, jedyną znaną nam obroną jest szczepionka.

Odrą się zajmiemy, ale chciałabym jeszcze przez chwilę porozmawiać o kształcu, który jest bardziej zakaźny niż grypa, świnka, różyczka czy SARS-CoV-2. Co to za choroba?

Krztusiec to bakteryjna choroba zakaźna przebiegająca pod postacią zapalenia oskrzeli o przewlekającym się charakterze, z ciężkimi napadami kaszlu. Czynnikiem etiologicznym jest Gram-ujemna pałeczka tlenowa *Bordetella pertussis* wytwarzająca toksynę krztuścową, która powoduje martwicę nabłonka dróg oddechowych. Skutkiem jest zaburzenie wydzielania śluzu, a w konsekwencji pobudzenie odruchu kaszlowego. Ten kaszel nazywano kiedyś studniowym, bo człowiek może kasłać aż trzy miesiące. Jest on tak silny, że może dojść nawet do naderwania przyczepów mięśni czy pęknięcia żeber. Do zakażenia dochodzi głównie drogą kropelkową. Jednocześnie ta bakteria to wyjątkowo paskudny i parszywy patogen, który jest bardzo zakaźny. W przypadku kontaktu z osobą zakażoną szansa przeniesienia bakterii na inną osobę wynosi 80 proc., a niektórzy twierdzą, że nawet 90 proc., czyli ryzyko zakażenia jest trzykrotnie większe niż w przypadku SARS-CoV-2.

Zwrócę uwagę na jeszcze jeden czynnik, który może być odpowiedzialny za rozprzestrzenianie się kokluszu. Prawie dwie trzecie Polaków ma problemy z otyłością. Paradoksalnie osoby otyłe często są niedożywione, ponieważ niewłaściwie się odżywiają. To się przekłada na deficyty witaminowo-mineralowe oraz białkowo-tłuszczowe, a co za tym idzie, organizm nie wytwarza niektórych komponentów układu odpornościowego, czyli po prostu taki człowiek ma słabszą odporność. Poza tym mało się ruszamy, jesteśmy potwornie wygodniccy, wolimy podjechać samochodem kilka kroków niż się przejść, a to także przekłada się na obniżenie odporności. Znam ludzi, którzy szczycą się tym, że tygodniami nie opuszczają pomieszczeń i nie mają kontaktu ze świeżym powietrzem. Bo z domu wychodzą prosto do garażu, wsiadają do samochodu, wysiadają na parkingu biurowca i wchodzą do pracy. Taki styl życia powoduje niedożywienie białkowe, przyjmujemy coraz gorsze tłuszcze i to niszczy naszą odporność.

Poza tym często jesteśmy odwodnieni, a to oznacza, że mamy zły stan wszelakich błon śluzowych, w tym tych w układzie oddechowym. Te nie są w stanie wydzielić odpowiednich ilości substancji bakterio-, wirusoczy grzybobójczych. Większe jest prawdopodobieństwo, że zachoruje osoba odwodniona niż nawodniona prawidłowo. Ta pierwsza może przyjąć nawet mniej wirusa czy bakterii, niż wynosi uśredniona liczba konieczna do

eprasa.pl 36fbceef5c

Fot. Andrzej Wiktor

skutecznego zainfekowania dla danej choroby, a i tak będzie chora. Przypomnę to, o czym rozmawialiśmy przy okazji pandemii COVID-19. Sprawne działanie układu odpornościowego jest możliwe w przypadku prawidłowego funkcjonowania układu krążenia. Aby serce i naczynia działały prawidłowo, konieczne jest odpowiednie nawodnienie organizmu. Dzięki temu krew zyskuje odpowiednią gęstość i objętość, co z kolei umożliwia transport niezbędnych substancji do wszystkich komórek naszego organizmu. Odpowiednie nawodnienie to również prawidłowa sprężystość i stan naczyń krwionośnych – tętnic i żył oraz naczyń limfatycznych, a także skóry i błon śluzowych. Te ostatnie pełnią istotną rolę w pierwszej linii obrony przeciw patogenom. Zwiększona gęstość krwi, która występuje przy zbyt małym spożyciu płynów, powoduje nadmierne obciążenie serca, które musi wykonywać o wiele większą pracę, by w danej jednostce czasu przetoczyć potrzebną objętość krwi. O regularnym piciu należy pamiętać na co dzień i zwiększać ilość płynów wypijanych w czasie upałów, intensywnego wysiłku, a także podczas infekcji z gorączką czy biegunką. Skoro mówimy o nawilżeniu błon śluzowych – pamiętajmy o odpowiedniej wilgotności powietrza, którym oddychamy, szczególnie późną jesienią i zimą – kiedy działa centralne ogrzewanie, a nie wszyscy pamiętają o nawilżaniu. Optymalna dla nas wilgotność powietrza to 40–60 proc., co można zweryfikować higrometrem. No i witamina D! Mówię o tym przy każdej okazji. 90 proc. moich pierwszorazowych pacjentów mimo powszechnej wiedzy na ten temat ma niedobory tej witaminy, i to spore. A witamina D reguluje produkcję defensyn, białek obronnych, które są w każdej śluzówce. Mamy też niedobory witaminy A, choć te zdarzają się rzadziej. Witamina C umożliwia prawidłowy rozwój białych ciałek krwi. Witaminy C, D i A są ekstremalnie ważne przy wzmacnianiu naszej odporności. Warto też pamiętać o cynku i selenie.

Skąd je czerpać?

Bogate w nie produkty to tłusty nabiał, ryby morskie, podroby, jaja. Ale lekarze i dietetycy zabraniają spożywania tłustego nabiału, a producenci żywności zalewają nas produktami „light" pozbawionymi tłuszczu mlecznego i rozpuszczalnych w nim witamin A oraz D. Warto się zastanowić, czy tłuszcze zawarte w mleku ssaków (najlepszy pokarm dla noworodków) i w żółtku jaja (z których powstają zdrowe pisklaki) są dla nas tak niebezpieczne, jak się nam mówi. Dlatego przez cały rok warto suplementować witaminę D – pod kontrolą jej stężenia we krwi. Oficjalne zalecenia GIS to 2000 j.m. dziennie dla osoby dorosłej. Ale jak skontrolujemy stężenie tej witaminy we krwi, często okazuje się, że są to zbyt małe dawki dla dorosłego. W związku z tym zwiększamy dawkę i za dwa miesiące znowu kontrolujemy stężenie witaminy D. I tak do momentu, aż osiągniemy odpowiednie stężenie (lub przyjdzie kolejne lato i zaczynamy zmniejszać dawkę). A tak serio – w tym celu proponuję udać się do lekarza, który ma w tym doświadczenie, co znacząco skróci dojście do odpowiedniego stężenia witaminy we krwi. Oprócz tego w moim przekonaniu pandemia, lockdowny i maseczki przyczyniły się do spadku odporności w ogóle. Brak kontaktu z patogenami rozleniwia układ odpornościowy, który trzeba trenować.

eprasa.pl 36fbceef5c

Dałam się zagadać. Wracamy do krztuśca. Jakie są jego objawy poza kaszlem?

Wcale się od niego nie oddaliliśmy. Bo to wszystko są bardzo ważne czynniki odporności. Po wniknięciu bakterii do organizmu dochodzi do ich namnażania i pojawienia się objawów z układu oddechowego. W pierwszym stadium choroby występują objawy podobne do tych charakterystycznych dla przeziębienia – katar, kaszel, zapalenie gardła, stany podgorączkowe. W stadium początkowym gołym okiem krztusiec jest trudny do odróżnienia od innych infekcji. Po jakimś czasie pojawiają się objawy typowe dla tej choroby – napady długotrwałego i uciążliwego suchego kaszlu, które często kończą się głośnym wdechem, bezdechem lub wymiotami. By mieć pewność, że mamy do czynienia z krztuścem, trzeba przeprowadzić badania. Najpowszechniejszą metodą jest pobranie wymazu z gardła chorego (badanie mikrobiologiczne), wyizolowanie bakterii i namnażanie ich w celu ustalenia, czy są wśród nich pałeczki krztuśca. Szybszym sposobem zdiagnozowania krztuśca jest badanie PCR, także polegające na pobraniu próbki od chorego. Ta choroba może mieć szczególnie ciężki przebieg u dzieci, które stykają się z nią po raz pierwszy. U dorosłych nie zagraża ona, ma jednak liczne konsekwencje dla zdrowia. Krztusiec, który nie jest leczony lub zostanie wykryty zbyt późno, może powodować kaszel, który (jak wspomniałem wcześniej) trwa nawet trzy miesiące i powodować powikłania, takie jak ból klatki piersiowej, ból brzucha, przepuklina, bezsenność czy nietrzymanie moczu.

Do Europy wróciła także odra.

Niestety. To jest jedna z najbardziej zaraźliwych chorób znanych ludzkości. Zakaźność jest bliska 100 proc. u osób podatnych (niezaszczepionych, które nigdy nie chorowały na odrę). Jedna chora osoba może zarazić nawet 18 zdrowych. W 2023 r. w 37 krajach na odrę zachorowało 9 mln dzieci, choroba zabiła 136 tys. osób (dane WHO i CDC), w Polsce odnotowano tylko 36 zachorowań na odrę, natomiast w okresie 1 stycznia – 30 kwietnia 2024 r. na zachorowało na nią już 128 osób. Epidemiolodzy twierdzą, że Polska utraciła odporność populacyjną, ponieważ poziom zaszczepienia przeciwko tej chorobie spadł poniżej 95 proc. – progu zapewniającego odporność zbiorowiskową. Poza tym powrót odry może być wynikiem ruchów migracyjnych, i to z różnych stron: ze wschodu Europy, a także z krajów afrykańskich, gdzie ogólnie poziom zdrowia, szczepień, dostępu do służby zdrowia jest znacznie niższy niż w Europie Zachodniej.

> Odporność, którą człowiek nabywa na krztusiec w wyniku szczepienia czy przechorowania ustaje po mniej więcej 10 latach. To dlatego teraz częściej chorują dorośli niż dzieci

Czy z powodu napływu migrantów grożą nam także inne choroby?

Słyszymy, że wraz z napływem migrantów rośnie zagrożenie meningokokami, polio, gruźlicą, a nawet durem brzusznym. Trzeba wziąć pod uwagę, że ludzie, którzy na łodziach przemierzają tysiące kilometrów, mają organizmy wyniszczone długą podróżą, poza tym poziom higieny w takich warunkach pozostawia wiele do życzenia. Są więc bardziej podatni na choroby, a co za tym idzie, mogą je roznosić. Mogą więc grozić nam kolejne epidemie. Przypomnę tylko, iż już król Kazimierz Wielki wiedział, że przybysze mogą roznosić chorobę. Gdy w latach 1347–1353 „czarna śmierć", czyli straszliwa epidemia dżumy, zabiła 100 mln ludzi, w tym połowę ludności Europy, Kazimierz Wielki wprowadził ostrą kwarantannę na granicach kraju i miast. To tylko taka ciekawostka. Apeluję do czytelników o trening immunologiczny, o którym mówiłem wcześniej. Odpowiednie nawodnienie, suplementacja, ruch, świeże powietrze. Potrzebujemy tego, by radzić sobie z chorobami.

Na koniec przypomnijmy jeszcze objawy odry.

Najpierw kilka dni złego samopoczucia, kaszlu, kataru. Pojawia się zapalenie spojówek z łzawieniem oraz narastającą gorączką, dochodzącą nawet do temperatury ponad 40 st. W tym stadium zachorowanie jest zazwyczaj mylnie rozpoznawane jako przeziębienie lub grypa. Następnie u 80 proc. chorych, na dwa, trzy dni przed wysypką na przekrwionej błonie śluzowej policzków pojawiają się 1–2-mm białawe plamki Koplika, które znikają po wystąpieniu wysypki. Przeważnie 14 dnia od zakażenia (trzeci, czwarty dzień choroby) pojawia się specyficzna rumieniowa, nieswędząca, plamisto-grudkowa wysypka (niepęcherzykowa). Wysypka odrowa zaczyna się na linii włosów oraz za uszami, rozprzestrzenia się w dół tułowia i kończyn z zajęciem powierzchni dłoniowych rąk i podeszew stóp. Wykwity często się zlewają. Gorączka zwykle ustępuje po czterech, pięciu dniach od wystąpienia wysypki, która zanika w takiej kolejności, w jakiej się pojawiła. Pozostają po niej przebarwienia, może wystąpić złuszczenie naskórka. Powiększenie węzłów chłonnych i śledziony, biegunka oraz wymioty należą do często występujących objawów. Przedłużająca się gorączka nasuwa podejrzenie powikłań, a te mogą być różne. Zgon to 1–2 przypadki na 1 tys. zachorowań, zapalenie mózgu 1/1000, zapalenie płuc 1/20 chorych, zapalenie ucha środkowego 1/10 chorych. Choroba zazwyczaj trwa ok. 10 dni. Jak wspomniałem, na odrę nie ma lekarstwa. Podaje się leki przeciwgorączkowe i przeciwbólowe, nawadnia się organizm, suplemetuje witaminę A.

eprasa.pl 36fbceef5c

Fot. Hadrian/Shutterstock.com

Na niemieckiej granicy bez zmian

Muszę przyznać, że sporo zrozumiałem, ale też się trochę ubawiłem, czytając reportaż, który ukazał się na portalu hamburskiego tygodnika „Die Zeit" w pierwszym dniu zaostrzonych kontroli granicznych zarządzonych przez rząd niemiecki

JAN ROKITA

Reporterzy lewicowego magazynu spędzili poniedziałek 16 września po niemieckiej stronie granicznego mostu pomiędzy Słubicami i Frankfurtem nad Odrą, towarzysząc policjantom prowadzącym rzekomo zaostrzone kontrole graniczne. Każdy, kto przekraczał w tym miejscu granicę, ma zapewne w pamięci biały namiot rozpięty po niemieckiej stronie drogi, w którym od mniej więcej roku tamtejsza policja prowadzi „wyrywkowe kontrole". Scenki z tego namiotu od rana do wieczora 16 września wypełniają reportaż w „Die Zeit", a ich puentą jest rozmowa reporterów z policjantami. W skrócie brzmi ona tak:

– Czy coś się zmieniło teraz, gdy minister spraw wewnętrznych Nancy Faeser ogłosiła „masową ekspansję" odmów wpuszczania uchodźców?

– Nie, wszystko jak zwykle. Trzeci poziom intensywności.

– A poziom trzeci to dużo czy mało?

– Mało.

– Prawdziwa kontrola to poziom pierwszy? [Skinienie głową.]

– I wtedy każdy musiałby pokazać dowód osobisty?

[Znów skinienie głową.].

Nie tylko ten reportaż, lecz także inne relacje z granicy polsko-niemieckiej potwierdzają, że 16 października wbrew szumnym, choć chyba celowo nieprecyzyjnym zapowiedziom rządu w Berlinie,

eprasa.pl 36fbceef5c

w niemieckich kontrolach granicznych nie zmieniło się nic. Tak jak już od prawie roku mają one charakter „wyrywkowy", co w praktyce oznacza, że mało który samochód zostaje zatrzymany. A ci zatrzymani, nawet gdy ich prawo wjazdu do Niemiec budzi wątpliwości albo wręcz sprawiają wrażenie przemytników (takie scenki są we wspomnianym reportażu), i tak są natychmiast puszczani, byle tylko nie wywoływać jakichś sztucznych kolejek.

Rzecz jasna nie mam i nie mogę mieć pewności, iż taki stan rzeczy będzie trwać w ciągu następnych miesięcy, albowiem niemiecka opinia publiczna coraz głośniej domaga się od rządu kanclerza Scholza stanowczych kroków. Ale na razie wszystko wskazuje na to, iż buńczuczne zapowiedzi minister Faeser były raczej częścią kampanii przed landowymi wyborami w Brandenburgii zaplanowanymi na 22 września niźli jakąś rzeczywistą zmianą sytuacji na polsko-niemieckiej granicy.

SCHOLZ W OGNIU KRYTYKI

Jeśli tak jest istotnie, to realny wymiar decyzji minister Faeser dotyczy raczej niemieckiej granicy z Francją, Luksemburgiem, Belgią, Holandią i Danią, bo tam do 16 września przejazd był swobodny, bez jakichkolwiek kontroli. Nie zmienia to jednak faktu, iż same twarde słowa na temat granicy wygłaszane w ostatnich dniach przez Scholza i jego ministrów wywołały rozległe polityczne skutki zarówno w Niemczech, jak i w krajach sąsiedzkich. Szefowie rządów Polski, Austrii i Grecji poddali niemiecki rząd ostrej krytyce, z jednej strony oskarżając Berlin o łamanie unijnych standardów i likwidowanie swobody przemieszczania się w ramach strefy Schengen, z drugiej zapowiadając odmowę przyjmowania ludzi zawracanych przez niemiecką policję. Z kolei w samych Niemczech rozgorzała wielka debata o tym, czy w ogóle ma sens, a co więcej – czy w UE jest legalnie dopuszczalna jakakolwiek próba suwerennego przywracania granic, faktycznie zniesionych między 29 krajami na mocy umowy z Schengen. Zwłaszcza że drugi traktat europejski wyraźnie przewiduje wspólną europejską politykę imigracyjną i azylową (art. 77 i 78 TFUE), co oznacza, że są to kompetencje Brukseli.

I tak np. niemiecka Rada Imigracyjna, którą tworzy 220 naukowców z różnych dziedzin, wydała niesłychanie ostrą (jak na niemieckie obyczaje) deklarację, oskarżając zarówno rząd Scholza, jak i opozycyjną chadecję o „sianie niebezpiecznego populizmu w debacie o imigracji". Niemieccy uczeni odwołują się właśnie do postanowień traktatu, przywołując nadto wyroki unijnego Trybunału Sprawiedliwości, wedle których zamknięcie swobodnego ruchu na wewnętrznej granicy Unii i odsyłanie imigrantów byłoby legalne tylko wtedy, gdyby istniało zagrożenie istnienia państwa niemieckiego.

> Mimo antyimigracyjnego pohukiwania rządu w Berlinie dotąd nic nie wskazuje na to, aby Niemcy na serio szykowały się do jakichś stanowczych kroków

Ale choć Scholz i Faeser niejasno dawali do zrozumienia, iż może chodzić o taki właśnie plan, to dotąd nie ma żadnych dowodów takiego zamiaru ze strony rządu Niemiec. Ta ostra krytyka może się więc raczej odnosić do inicjatywy lidera opozycyjnej chadecji Friedricha Merza, który po zamachach dokonanych ostatnio przez imigrantów w Mannheim i Solingen zażądał wprowadzenia „migracyjnego stanu wyjątkowego", uchylającego stosowanie unijnych traktatów w tej dziedzinie.

Zwolennicy planu Merza argumentują, iż jego zaprowadzenie miałoby dobroczynny skutek dla całej Unii, wywołałoby bowiem w innych krajach reakcję łańcuchową, blokującą – przynajmniej na jakiś czas – napływ do Europy Azjatów, Murzynów i Arabów. Taką tezę sformułowano m.in. w obszernym tekście opublikowanym przez tygodnik „Der Spiegel". Tymczasem Naukowcy z Rady Imigracyjnej oskarżają zarówno Merza, jak i zwolenników jego planu o... nieuctwo, czyli brak wiedzy o mechanizmach migracji. Ich zdaniem blokada granicy niemieckiej musiałaby wywołać duży kryzys w całej Europie, a to wobec wzmożonej presji migracyjnej, zwłaszcza na kraje z zewnętrzną granicą Unii (czyli takie jak Polska). Zdrowy rozsądek podpowiada, że naukowcy z Rady Imigracyjnej chyba mają rację. Tyle tylko, że krytykują dotąd bliżej niesprecyzowany plan chadeckiej opozycji, a nie decyzje realnie podejmowane przez rząd Scholza.

MOŻLIWE SCENARIUSZE

Szkopuł tkwi jednak w tym, że nie tylko my w Polsce, lecz także eksperci w Niemczech nie wiedzą w gruncie rzeczy, jakie decyzje zamierza podjąć rząd Scholza. I co naprawdę znaczy owo groźne obwieszczenie minister Faeser z 9 września, wedle którego ma nastąpić „masowa ekspansja" praktyki zawracania imigrantów na niemieckich granicach, aby „ochronić kraj przed poważnymi zagrożeniami islamskim terroryzmem i ciężką przestępczością". Teoretycznie rząd Scholza ma tu dwie możliwości.

Pierwsza – iż nakaże policji ścisłe respektowanie obowiązujących w Unii aż do 2026 r. tzw. procedur dublińskich, czyli zawracanie na granicy tych imigrantów, których wnioski o azyl czy ochronę już wcześniej zostały zarejestrowane w innym kraju UE.

To skomplikowana procedura wymagająca przetrzymania na czas sprawdzeń wszystkich imigrantów w jakichś przygranicznych obozach przejściowych, których w Niemczech na razie nie ma. I co prawda formalnie byłaby ona zgodna z prawami Unii, ale odkąd w 2015 r. nastał poważny kryzys z imigrantami, „procedury dublińskie" stały się martwe i nikt w Europie już ich nie stosował. Na dodatek taka decyzja naraża nieuchronnie Niemcy na konflikt ze wszystkimi sąsiadami, którzy – jak można logicznie przypuszczać – przestaliby po prostu rejestrować jakichkolwiek potencjalnych „azylantów" na swoich granicach, by nie „dostać" ich z powrotem od Niemców. *Summa summarum* tego rodzaju rozwiązanie z niemieckiej perspektywy wydaje się mało skuteczne, a nadto – przynajmniej w krótkim czasie – niewykonalne.

eprasa.pl 36fbceef5c

Możliwość druga byłaby uderzeniem o wiele mocniejszym, ale druzgocącym reguły unijne. Rząd mógłby po prostu na jakiś czas zamknąć granice Niemiec dla wszelkiej imigracji i przestać przyjmować na granicach wnioski azylowe. Taki krok umożliwiałaby niemiecka ustawa azylowa, która (w art. 18) pozwala na odrzucenie każdego imigranta przybywającego na niemiecką granicę z bezpiecznego kraju trzeciego. Takimi krajami są dziś oczywiście wszyscy sąsiedzi Niemiec, więc na mocy tej regulacji teoretycznie można odesłać każdego. I do tego (jak się zdaje) chciałby zmierzać plan Merza.

Taki krok miałby jednak spore konsekwencje. Otwarty gwałt na traktatach i wyrokach TSUE to jedna rzecz. Druga to obrócenie w niwecz dopiero co długo negocjowanej przez Niemcy, głównie z Włochami, nowej dyrektywy azylowej, którą uchwalono (przy polskim sprzeciwie) na początku roku, ale która ma wejść w życie dopiero w 2026 r., zastępując procedury dublińskie. Jak wiadomo, dyrektywa ta zakłada o wiele ostrzejszą kontrolę zewnętrznej granicy Unii (jak chcieli Włosi) oraz przymusowy mechanizm relokacji imigrantów w Unii (czemu sprzeciwiała się Polska). Jeśli teraz Niemcy miałyby blokować imigrację na swej narodowej granicy, rodzi się poważne pytanie, czy nie oznaczałoby to definitywnego fiaska wszystkich zamierzeń dotyczących wspólnej ochrony zewnętrznej granicy Unii.

Co więcej, żeby naprawdę wprowadzić plan Merza, znaczną część lądowej granicy niemieckiej, długiej na 3,7 tys. km, trzeba by (tak jak na granicy polsko-białoruskiej) otoczyć odpowiednimi zasiekami. Bo przecież pełna blokada przejść granicznych musi przekierować cały ruch nielegałów na zieloną granicę. A jej pokonanie, by wziąć tylko polski przykład, na niektórych odcinkach Nysy Łużyckiej wymaga zaledwie przejścia brodzika o głębokości kilkunastu centymetrów. Plan na otoczenie Niemiec murem w środku Europy wydaje się całkowitym absurdem, toteż nie wiadomo, na jakich realnych przesłankach opiera się cały plan Merza.

W każdym razie mimo antyimigracyjnego pohukiwania rządu w Berlinie nic dotąd nie wskazuje na to, aby Niemcy na serio szykowały się do jakichś stanowczych kroków. Owszem, z takimi planami jako pierwsza wystąpiła AfD, świętująca ostatnio sukcesy w Turyngii i Saksonii, a za chwilę zapewne także w Brandenburgii. Lider chadecji Merz podjął więc medialny pościg za popularnymi hasłami AfD, a z kolei pościg za Merzem podjął Scholz. Te dwa pościgi zdają się tłumaczyć fakt, iż w Niemczech nagle została wzniecona ostra debata, ale posunięcia rządu są jak dotąd minimalistyczne i zapewne mało skuteczne.

NIE WIEDZĄ, CO ROBIĆ

Fala krytyki, która spadła na Niemcy w krajach sąsiednich, wydaje się nie mieć jak dotąd rzeczywistych powodów, choć zarówno kanclerz, jak i jego ministrowie, sami ją wywołali swoimi ostrymi sformułowaniami. Scholz dość buńczucznie mówi, iż rozszerzenie kontroli granicznej zostanie utrzymane „nawet jeśli miałoby to pogorszyć stosunki z sąsiadami". Chwali go teraz cała praktycznie europejska prawica, od włoskiej Meloni przez holenderskiego Wildersa, francuską Le Pen aż po węgierskiego Orbana, który ironicznie wita niemieckiego kanclerza w klubie #StopImigration. Wyjątkiem jest prawica w Polsce, gdyż PiS i jego aparat propagandowy nasilił tylko swoje ataki na „niemiecki egoizm" i „niemiecką bezczelność". Prawdę mówiąc, ataki te są chyba mocno przesadzone, bo zdaje się, że na razie na polsko-niemieckiej granicy nic się nie zmieniło. Ponadto nawet gdyby Berlin zdecydował się na odsyłanie ze swych granic imigrantów zarejestrowanych wcześniej w Polsce (i w innych krajach granicznych UE), dotyczyłoby to przecież tylko tych, których polskie służby wpuściły do kraju, umożliwiając im w ten sposób przedostanie się na niemiecką granicę. Gdyby więc polska granica była skuteczniej chroniona, to ryzyko „zwrotów" migrantów z Niemiec by się nie pojawiło.

Fot. Wojciech Wrzesień/Shutterstock.com

We wspomnianej publikacji na łamach „Die Zeit" reporterzy relacjonują także rozmowę przeprowadzoną na moście granicznym z Afgańczykiem, który dobrze zna sposoby przedostawania się migrantów ze Słubic do Frankfurtu nad Odrą. Nie tak dawno brali oni ponoć w Słubicach taksówki, które swobodnie przejeżdżały przez niemiecki namiot. Jednak odkąd policja zaczęła czasem je zatrzymywać, środkiem komunikacji migrantów stał się autobus sieci Flixbus przejeżdżający na drugą stronę. Ale teraz żeby w Słubicach wejść do Flixbusa, trzeba pokazać kierowcy paszport. Więc najlepszy stał się po prostu miejski autobus linii 983, który łączy przez Odrę dwie części jednego przecież niegdyś miasta. Tylko ta historyjka pokazuje, jak trudno będzie Niemcom podjąć jakiekolwiek kroki naprawdę blokujące granicę. I to nie tylko ze względu na traktaty oraz trybunały unijne.

Ów inteligentny Afgańczyk wygłasza zresztą własny komentarz do rzekomych zmian na granicy, które miały nastąpić od 16 września: „Niemcy po prostu nie wiedzą, co robić". Prawdę mówiąc, wydaje mi się to najrozsądniejsza opinia na temat obecnej sytuacji na granicy polsko-niemieckiej. Jest jasne, że niemieckie społeczeństwo burzy się przeciw imigrantom z Afryki i Azji, co podsycają okrutne zamachy przeprowadzane ostatnio przez azylantów z Afganistanu i Syrii. Tak samo jasne jest to, że dotychczasową polityką otwartych granic Niemcy narobili sporo kłopotu samym sobie.

Tymczasem jak pokazują wstrząsające dla Europejczyka nowe badania johannesburskiej Fundacji Rodziny Ichikowitzów, aż 58 proc. młodych mieszkańców olbrzymich i przeludnionych krajów, takich jak Nigeria, Afryka Południowa, Kenia czy Kongo, otwarcie przyznaje, iż planuje ucieczkę do Europy w ciągu najbliższych trzech lat. A to oznacza, że u wrót kontynentu staną dziesiątki milionów młodych mężczyzn gotowych ryzykować życiem w tej podróży. Ani Niemcy, ani Francuzi, ani Hiszpanie, ani Anglicy, czyli kraje, do których chcą iść ci nowi migranci, nie wiedzą, jak poradzić sobie z takim wyzwaniem. Stąd polityczna panika, którą obserwujemy teraz w Berlinie.

eprasa.pl 36fbceef5c

Czasem w krajach żyjących w wygodzie i komforcie zatraca się istota sensu demokracji i wartości. Pojawia się pytanie: czy istnieje coś takiego, za co warto oddać swoje życie? Ten ukraiński żołnierz ma odpowiedź na to pytanie. Bez godności, bez miłości, bez uznania wartości życia, nie ma ono sensu

Nadać sens życiu

Ze zwierzchnikiem Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego, arcybiskupem większym kijowsko-halickim Światosławem Szewczukiem rozmawia Goran Andrijanić

Mój kolega Kuba Maciejewski, reporter wojenny z Ukrainy, powiedział mi kiedyś, że wojna w tym kraju ma wymiar metafizyczny, że jest to walka dobra przeciwko złu. Czy straciliśmy trochę z pola widzenia ten metafizyczny wymiar obrony Ukrainy?

Światosław Szewczuk: Musimy przede wszystkim zrozumieć, jaki sens wkładamy w tę metafizyczną walkę. Przecież patriarcha moskiewski Cyryl też twierdzi, że agresja Rosji jest „wojną metafizyczną". Powiedział, że jest to „walka Rosji przeciwko niemoralności kolektywnego Zachodu". Ja bym na to pytanie odpowiedział w inny sposób. Wojna na Ukrainie naprawdę jest walką pomiędzy dobrem i złem, ale widzimy, że w tych okolicznościach autentycznym dobrem jest godność człowieka, a nie racja stanu. Patriarcha moskiewski nie dba o ludzkie dobro, ponieważ Moskwa używa swoich ludzi, żeby osiągnąć cele polityczne w sposób wojskowy. I to jest brutalizacja człowieka rosyjskiego. Jeżeli chodzi o naszą percepcję tej wojny, ona naprawdę jest wojną o godność człowieka i o jego prawo do istnienia, nie o rację stanu. Oczywiście na tym dobru człowieka i obronie państwa buduje się także rację stanu Ukrainy.

Metafizyczność tej wojny jest w tym, że naprawdę widzimy, jak materializuje się zło, które niesie rosyjska agresja. Kiedy człowiek patrzy na to, jak na jego dom spada rosyjski dron czy rakieta, niszcząc go i zabijając jego rodzinę, jego życie i świat, w którym żył, nagle przestaje istnieć. Zadaje sobie potem pytania: dlaczego? Jak dalej żyć? Czy moje życie ma jakiś sens? Czy ktoś jest ze mną, czy jestem naprawdę zapomniany przez wszystkich? Wojna przynosi okoliczności, w których ludzie stawiają sobie najgłębsze egzystencjalne pytania.

Jestem Chorwatem. My też mieliśmy wojnę, w której broniliśmy niepodle-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 36fbceef5c

głości. I mój naród czuł, że jest atakowany nie tylko przez polityczne, ale i metafizyczne zło. Mówi ojciec o wartościach związanych z pytaniami egzystencjalnymi. Czy we współczesnym świecie są one ważne?

Zacznę swoją odpowiedź od historii ukraińskiego żołnierza. W pierwszych tygodniach wojny odwiedzałem naszych żołnierzy w Kijowie w szpitalu wojskowym. Podszedłem do łóżka młodego chłopca, który naprawdę był ciężko ranny, a on mówi: „Ojcze, to nie ból fizyczny jest najcięższy do zniesienia, ale brak odpowiedzi na pytanie, dlaczego to wszystko się dzieje".

Kiedy człowiek zdąży znaleźć sens swojego bólu, jest zdolny go przeżyć i znieść. To znaczy, że poszukiwanie sensu w narodzie ukraińskim jest teraz bardzo silne. Rozumiemy, że te wartości, o których pan wspominał, takie jak godność, miłość do swojego narodu i swojego państwa, życie ludzkie i wolność są wartościami, bez których życie nie ma sensu.

Czasem w krajach żyjących w wygodzie i komforcie zatraca się istota sensu demokracji i wartości. Pojawia się pytanie: czy istnieje coś takiego, za co warto oddać swoje życie? Ten ukraiński żołnierz ma odpowiedź na to pytanie. Bez godności, bez miłości, bez uznania wartości życia, nie ma ono sensu. Nie warto. To znaczy, że w tych okolicznościach Ukraina i Ukraińcy naprawdę walczą i oddają życie za podstawowe wartości demokracji. W jakiś sposób znowu nadajemy im sens.

Czy w cierpieniu narodu ukraińskiego możemy odnaleźć duchową lekcję, dzięki której te wartości znowu zaczynają nabierać sensu?

Przyjechałem do Polski, żeby zaprezentować książkę „Orędzia Pokoju" [zawiera ona teksty codziennych przesłań arcybiskupa do ludzi dobrej woli na całym świecie wygłaszanych w pierwszym roku wojny – red.]. To dziennik wojny, a także świadectwo tego, jak znaleźć chrześcijańskie racje dla naszego życia w tych trudnych okolicznościach. Książka jest o duchowości chrześcijańskiej w czasie wojny.

W ub.r. uczestniczyłem w synodzie papieskim w Rzymie i jeden z włoskich biskupów opowiadał mi o tym, że w kulturze młodzieży we Włoszech jest obecne zjawisko, w którym młodzi chłopcy sami sobie zadają ból. Istnieje jakiś kult bólu i okaleczenia się. Myślałem najpierw, że to wynika z braku uwagi dla młodego człowieka, że może w ten sposób chcą oni zwrócić na siebie uwagę. Okazało się, że nie, bo najczęściej ci młodzi ludzie nie mówią innym o swoim okaleczeniu. Wynika z tego, że młody człowiek we Włoszech sam sobie zadaje ból, bo ma wtedy doświadczenie, że istnieje. To jest strasznie.

Jak już powiedziałem, Ukraińcy cierpią i oddają swoje życie za podstawowe wartości i sens egzystencji. W ten sposób możemy się stać źródłem nadziei i chrześcijańskiej duchowości nawet dla tego chłopca we Włoszech, który nie wie, w jaki sposób udowodnić sobie, że istnieje.

Jako Chorwat jestem pewny, że wojna, której doświadczyliśmy, uratowała nas duchowo jako naród. Komunizm i postkomunizm były w Chorwacji bardzo mocne. Jak to możliwe, że wojna, która jest złem, staje się źródłem wzmocnienia chrześcijańskiej nadziei?

To pewien paradoks. Tragedia może być klęską, a może być i źródłem nadziei. Można ją zamienić w skarbiec życia. Nie możemy zmienić okoliczności, ale odniesienie do tych okoliczności już tak. Moje nastawienie do tego, co się ze mną dzieje. I tu jest moment wcielenia chrześcijańskiej wiary oraz nadziei. Jeżeli nasze nastawienie do tego zła, którego doświadczamy, jest właściwe, możemy go zwyciężyć i triumf staje się źródłem nadziei dla wszystkich.

Książka, którą dzisiaj prezentujemy, to codzienne orędzia na temat poszukiwania sensu naszego cierpienia. Jest to chyba próba zdefiniowania nowoczesnej duchowości chrześcijańskiej w czasie wojny. Dlatego zachęcam do czytania.

Czy były takie czasy, że naród ukraiński w swoim cierpieniu czuł się

eprasa.pl 36fbceef5c

trochę porzucony albo niezrozumiany przez Stolicę Apostolską?

Wojna na Ukrainie jest wielkim wyzwaniem nie tylko dla Europy oraz świata, lecz także dla Stolicy Apostolskiej oraz jej rozumienia doktryny o wojnie i pokoju, która jest częścią nauki społecznej Kościoła katolickiego. Jest pewne, że tematy wojny hybrydowej czy ludobójstwa potrzebują nowej refleksji. Oczywiście czasem pewne wypowiedzi na temat wojny na Ukrainie i naszego cierpienia, które słyszymy nie tylko ze strony Stolicy Apostolskiej, lecz także od polityków krajów wschodnich i zachodnich, budzą w Ukraińcach ból i poczucie, że nas nie rozumieją. Ale to uczucie istnieje też pośród Ukraińców, którzy w różny sposób doświadczają tragedii wojny. Np. żołnierz wracający do domu do swojej małżonki czuje, że ona go nie rozumie. Ofiara przemocy często czuje się nierozumiana. Księża, którzy są aktywni jako duszpasterze żołnierzy, dobrze wiedzą, że nie wolno mówić tym, którzy stracili rękę czy nogę: „Rozumiem cię", bo to budzi złość.

Istnieje zatem potrzeba wrażliwości w kontakcie z ofiarami. Czy czasami jej brakowało?

Tak. Wrażliwość istniała na poziomie osobistym oraz na poziomie relacji duszpasterskich, ale nie zawsze na poziomie dyplomatycznym, politycznym czy nawet doktrynalnym.

Czy rozmawiał ojciec na ten temat z papieżem Franciszkiem?

Oczywiście.

I jaka była odpowiedź?

Ojciec Święty jest empatyczny wobec Ukrainy i uczulony na nasz ból. Jednak czasem w swoich wypowiedziach używa takich sformułowań, których Ukraińcy naprawdę nie rozumieją. Widzimy jednak pewną ewolucję w tych wypowiedziach oraz w stanowisku Stolicy Apostolskiej. Mieliśmy z Ojcem Świętym spotkanie naszego episkopatu w ub.r. i on naprawdę otwarcie nam powiedział: „Wiem, że waszym bólem nie tylko jest ból ran wojny, ale i pytanie, czy Ojciec Święty jest z wami. I chcę wam powiedzieć i zadeklarować, że jestem z wami". Nie mamy żadnych podstaw, aby nie wierzyć w te słowa.

Mam też wrażenie, że o Ukrainie często mówiło się z pozycji pacyfizmu, który wdziera się do katolickiej nauki społecznej. Czy istnieje tendencja, żeby o Ukrainie i jej prawie do obrony mówiło się właśnie z tej pozycji?

Niestety ta tendencja istnieje, i to wszędzie. Pamiętam, jak miałem otwartą dyskusję z włoskimi pacyfistami w Radiu Watykańskim. W styczniu ub.r. odbyła się wizyta Ukraińskiej Rady Kościołów i Organizacji Religijnych u Ojca Świętego i po tym spotkaniu zorganizowaliśmy konferencję prasową w Radiu Watykańskim. Zapytano nas, czy Kościoły popierają moralność przekazywania broni Ukrainie. Powiedzieliśmy, że popieramy oraz że jest to moralne i sprawiedliwe, aby Ukraina mogła się bronić. I wtedy jedna pani pacyfistka z Włoch zapytała mnie, jak możemy jako przedstawiciele Kościoła popierać wysyłanie broni. Odpowiedziałem jej: „Proszę pani, jeżeli pani zna sekret, jak można powstrzymać rosyjskie czołgi bez używania broni, zapraszamy na Ukrainę, aby podzieliła się pani z nami swoją wiedzą. Jest taka zasada – *primum vivere, deinde philosophari*. Najpierw móc żyć, potem filozofować.

> Patriarcha moskiewski nie dba o ludzkie dobro, ponieważ Moskwa używa swoich ludzi, żeby osiągnąć cele polityczne w sposób wojskowy. I to jest brutalizacja człowieka rosyjskiego

Polacy czują, że bardzo pomogli Ukraińcom. W sensie dyplomatycznym, wojennym, humanitarnym... Mam wrażenie, że z polskiej strony – teraz mówię to jako Chorwat – widać trochę rozczarowania zachowaniem Ukraińców. Nie czują wystarczającej wdzięczności.

W absolutnej większości Ukraińcy są bardzo wdzięczni Polakom. Wielu Ukraińców nie pamięta już przeszłości z czasów II wojny światowej. To niedobrze, bo powinni. Dzisiaj mamy nowe doświadczenie w naszych relacjach, które odkryliśmy akurat teraz, w czasie tej wojny. Piszemy nową historię naszych stosunków. Oczywiście czasem zdarza się, że w pojedynczych przypadkach po stronie Polaków może być wrażenie, że Ukraińcy są niewdzięczni i nie pamiętają, nie zawsze reagują w taki sposób, jak Polacy się spodziewają. Ja bym prosił o litość ze strony Polski i wyrozumienie. Powtarzam, w absolutnej większości Ukraińcy uważają, że naród polski jest dla nas najważniejszy. Polacy są na pierwszym miejscu. I to jest naszym kapitałem. Ta nowa strona w naszych relacjach.

To nowy etap. Wszyscy to czują, ale z polskiej strony jest wrażenie, że brakuje kolejnego kroku. Czy np. ekshumacja polskich ofiar na Wołyniu byłaby krokiem, który pokazałby, że coś się zmieniło w naszych relacjach?

Myślę, że tak. Trzeba o tym mówić, ponieważ to jest też nasz chrześcijański obowiązek, żeby uszanować wasz ból. Tyle że Ukraińcy oczekują czasem, iż również ich ból będzie uszanowany po innej stronie granicy. Musimy pokazać, że szanujemy się nawzajem. Musimy szanować polskie ofiary po stronie ukraińskiej, ale też ukraińskie po stronie polskiej. Nie możemy się rozliczyć. Jeżeli zaczniemy się rozliczać, nigdy się to nie skończy, a politycy staną się pasożytami naszego bólu. Musimy się szanować, prowadzić dialog i miłować się nawzajem. Ta miłość będzie balsamem na nasze rany.

eprasa.pl 36fbceef5c

Plan pokoju Zełenskiego

Socjologowie mówią o tym, że na Ukrainie wojną zmęczone są „tyły", ale armia jest nieprzejednana i chce kontynuować walkę. Tworzy to potencjalnie groźną mieszankę, bo niektórzy dowódcy frontowi otwarcie deklarują, że „nie pozwolą" politykom na rozpoczęcie negocjacji i zawarcie nieakceptowanego pokoju

MAREK BUDZISZ

Ukraina zaczyna myśleć o pokoju. W sondażu, który został przeprowadzony pod koniec lipca przez Centrum Razumkowa, renomowany ośrodek badawczy, 44 proc. ankietowanych opowiedziało się za rozpoczęciem negocjacji mogących zakończyć wojnę. Jest to najwyższy wynik od wybuchu konfliktu, ale nie należy go rozumieć w kategoriach gotowości do kapitulacji. Zdecydowana większość, bo 83 proc., jest przeciw „oddaniu" Rosji czterech wschodnich prowincji, dziś częściowo okupowanych przez najeźdźców. Niemal 59 proc. jest też przeciw neutralizacji

Fot. Shutterstock

kraju, czyli pozostawania Ukrainy poza blokami wojskowo-politycznymi.

Ten obraz stanu nastrojów w trzecim roku wojny byłby niepełny, gdybyśmy pominęli milczeniem jeden znaczący fakt. Otóż weterani i żołnierze są zdecydowanymi przeciwnikami pokoju na rosyjskich warunkach. W tym samym czasie agencja Reiting przeprowadziła badanie nastrojów wśród żołnierzy i tych, którzy wrócili z frontu. Okazało się, że w tej grupie tylko 18 proc. ankietowanych opowiada się za negocjacjami, których celem miałoby być zakończenie wojny. 55 proc. wojskowych jest zdania, że należy walczyć do końca, czyli do odzyskania kontroli nad granicami z 1991 r., a kolejne 12 proc. chciałoby odzyskać okupowane przez Rosjan tereny zajęte przez nich w toku obecnej wojny. Andrij Biłeckyj, były dowódca batalionu Azow, powiedział mediom, że „zachodnie społeczeństwa, ale również ukraińskie są już zmęczone wojną, która jednak nie jest jeszcze przegrana. Żadna katastrofa na froncie nie miała miejsca i należy wytrzymać".

Socjologowie mówią o tym, że na Ukrainie wojną zmęczone są „tyły", ale armia jest nieprzejednana i chce kontynuować walkę. Tworzy to potencjalnie groźną mieszankę, bo niektórzy dowódcy frontowi otwarcie deklarują, że „nie pozwolą" politykom na rozpoczęcie negocjacji i zawarcie nieakceptowanego pokoju.

JAK WYGRAĆ WOJNĘ?

Zełenski zdecydował się jednak na ruch w tej kwestii i podczas posiedzenia Platformy Yes, corocznej konferencji organizowanej przez Wiktora Pinczuka, zięcia prezydenta Kuczmy i jednego z ukraińskich oligarchów, zapowiedział, że niedługo przedstawi ukraińską strategię wygrania wojny i plan pokoju. Szczegóły nie są znane, ale jeden z japońskich urzędników ujawnił agencji Kyodo, że plan ten ma zawierać zarówno szczegółowe zestawienie potrzeb sprzętowych Kijowa, jak i listę celów, które siły ukraińskie chciałyby atakować w Federacji Rosyjskiej.

Zełenski nie rezygnuje z zabiegów o uzyskanie amerykańskiej zgody na uderzenia przy użyciu systemów ATACMS, które mogą razić cele w Rosji na głębokości do 300 km, ale na razie nie udało mu się przełamać oporów Bidena i jego doradców. Ataki na rosyjskie cele mają służyć nie tylko, a nawet nie przede wszystkim, destrukcji rosyjskiego potencjału wojskowego, lecz raczej powinny wywołać niepokoje społeczne. W świetle tej strategii siły ukraińskie nie chcą realizować zadania polegającego na odbiciu okupowanych terenów. Uniemożliwia to obecna nierównowaga sił, bo rosyjska przewaga ogniowa kształtuje się na poziomie 1 do 12 i marzenia o odbiciu okupowanych terenów nie są realistyczne. Ukraińska strategia zwycięstwa koncentruje się raczej na utrzymaniu linii frontu, zadawaniu Rosjanom możliwie dużych strat w ludziach i sprzęcie, a jednocześnie organizowaniu zaskakujących, w stylu operacji kurskiej, uderzeń na terytorium Federacji. Te działania miałyby być wsparte „przeniesieniem wojny do Rosji" zarówno dzięki zgodzie na atakowanie zachodnimi rakietami celów położonych głęboko za linią frontu, jak i przede wszystkim zwiększeniu intensywności uderzeń przy użyciu dronów oraz rakiet własnej konstrukcji. Zełenski przyznał też publicznie, że atak na obwód kurski jest częścią tego planu, który jest realizowany z powodzeniem i będzie miał jeszcze nowe odsłony.

Jeśli tego rodzaju strategia byłaby wsparta rosnącą presją dyplomatyczną oraz uszczelnieniem systemu sankcyjnego, a rosyjska gospodarka już wydaje się wchodzić w fazę „przegrzania", to w efekcie kalkulacje strategiczne Putina mogłyby ulec zmianie. Z pewnością malałaby jego niewzruszona do tej pory pewność, że wygrana Rosji jest tylko kwestią czasu, bo wraz z jego upływem rosłoby również ryzyko niekorzystnych zmian społecznych i politycznych w Federacji, w tym wyczerpywania się społecznego przyzwolenia na kontynuowanie walki.

Japoński dyplomata ujawnił też, że Kijów chce zabiegać o inwestycje zachodnie we własny sektor zbrojeniowy, co z grubsza odpowiada koncepcji przekształcenia Ukrainy w „Izrael wschodu", a także zabiega o uszczelnienie systemu sankcyjnego. Kluczowa w tej konstrukcji jest amerykańska zgoda na rozszerzenie listy celów, które Ukraińcy mogą atakować przy użyciu systemów dostarczonych przez sojuszników. Ma ona wymiar przede wszystkim polityczny.

BIDEN CZEKA NA ZEŁENSKIEGO

Jake Sullivan, doradca Bidena ds. bezpieczeństwa narodowego, w rozmowie z Fareedem Zakarią zapowiedział, że pod koniec miesiąca odbędzie się spotkanie prezydentów Stanów Zjednoczonych i Ukrainy. Ma zostać zorganizowane przy okazji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku i zdaniem obserwatorów będzie dotyczyć przede wszystkim warunków zakończenia wojny. Potwierdził to zresztą Sullivan, deklarując, że Biden „z niecierpliwością" czeka na spotkanie z Zełenskim i chce poznać stanowisko Ukrainy w sprawie strategii zwycięstwa.

Sullivan w rozmowie z Zakarią, broniąc swej dotychczasowej ostrożnej polityki, miał zwrócić uwagę na to, „co Rosja robi w całej Europie, aby osłabić NATO". Ta strategia ciągłego kolportowania pogróżek i intensyfikacji działań dywersyjnych oraz operacji wywiadowczych zmierza przede wszystkim do pogłębienia różnic między państwami członkowskimi w kwestii taktyki prowadzenia wojny i warunków pokoju. Niewykluczone, że miał on na myśli ostatnie wystąpienie kanclerza Scholza, który w wywiadzie dla stacji radiowej ZDF powiedział, że trzeba zintensyfikować wysiłki na rzecz zakończenia wojny. Z informacji tygodnika „Der Spiegel" wynika też, że kanclerz przygotowuje swój „plan pokojowy", który miałby być wzorowany na porozumieniach mińskich, czyli zaakceptować, choć nie uznawać, faktu kontroli przez Rosjan okupowanych terenów Ukrainy. Ponoć tego rodzaju rozwiązaniem zainteresowana jest też Moskwa. Skąd to przypuszczenie? Otóż Putin ostatnio coraz częściej mówi o rozmowach pokojowych, ale podkreśla, iż muszą się one odbywać „na warunkach Kremla".

KONCEPCJA SIKORSKIEGO

Jak donosi ukraińska agencja Interfax, w czasie niedawnej konferencji tzw. Platformy Krymskiej minister Sikorski miał zaproponować, aby wraz z zawieszeniem broni Krym został oddany „pod zarząd" ONZ, bo w przyszłości trzeba będzie przeprowadzić „uczciwe referendum" w kwestii przynależności półwyspu. W opinii szefa polskiego MSZ jego posiadanie ma symboliczne znaczenie dla Rosji i bez rozstrzygnięcia tej kwestii trudno myśleć o rozpoczęcie rozmów pokojowych. Ale dla Ukrainy jest on również ważny strategicznie, bo kontrola Krymu oznacza możliwość blokowania szlaków żeglugowych z Odessy i pozostałych portów czarnomorskich. W opinii Sikorskiego mandat ONZ móg-

eprasa.pl 36fbceef5c

łby obejmować najbliższe 20 lat. Nie można wykluczyć, że scysja między polskim ministrem a prezydentem Zełenskim, o czym pisały media, została spowodowana właśnie tym wystąpieniem, bo przyjęcie takiej formuły rozstrzygnięcia kwestii przynależności Krymu z pewnością nie jest zgodne z propozycjami Kijowa. Koncepcja Sikorskiego idzie dalej niż to, o czym w świetle doniesień mediów myśli Scholz i można ją uznać za próbę znalezienia kompromisu między bardziej jastrzębio nastawionymi państwami NATO a Niemcami, które wyraźnie zaczynają odstawać.

TWARDO WOBEC ROSJI

Europa Środkowa skupiona w tzw. bukaresztańskiej dziewiątce opowiada się za bardziej aktywną i twardą polityką wobec Rosji. Po posiedzeniu, które miało miejsce na początku minionego tygodnia, zaproponowały one, aby w obliczu narastających rosyjskich prowokacji polegających na naruszaniu przestrzeni powietrznej NATO podjęło bardziej zdecydowane działanie włącznie z zestrzeliwaniem rosyjskich środków napadu powietrznego. Podobnie myślą Skandynawowie. Prezydent Finlandii Alexander Stubb w rozmowie z dziennikiem „Die Welt" opowiedział się za „twardą" postawą wobec reżimu Putina i zadeklarował, że „środek ciężkości NATO przesunął się na wschód, do Polski i Finlandii". Co ciekawe, dodał też, że w kwestii postępowania przed Europejskim Trybunałem Sprawiedliwości w sprawie migrantów na granicy z Białorusią Helsinki poprą przed sądem Warszawę, bo nie chodzi w tym przypadku o prawa człowieka, ale używanie migracji w charakterze użytecznego środka presji w wojnie hybrydowej, „którą Rosja prowadzi obecnie na całym świecie".

CO DALEJ?

Co ciekawe, w administracji Bidena nie osiągnięto jeszcze porozumienia w kwestii najlepszej strategii wobec wojny na Ukrainie. Sullivan opowiada się za dotychczasowym podejściem, ale jednocześnie mówi, że w czasie najbliższych czterech miesięcy, jakie pozostały Bidenowi, trzeba będzie podjąć decyzje dające Ukrainie szansę zwycięstwa. Jak informuje Głos Ameryki, Linda Thomas-Greenfield, amerykańska ambasador przy ONZ, poznała już ukraińską strategię zwycięstwa i jej zdaniem „może być ona efektywna". Podobnie zdaje się uważać Antony Blinken, który opowiada się za zgodą na atakowanie przy użyciu amerykańskich systemów celów w głębi Rosji.

Jens Stoltenberg, kończący swą misję w NATO, w wywiadzie dla „The Times" zasugerował, że na rachunek strategiczny Putina w kwestii wojny na Ukrainie może wpłynąć jeszcze jeden, dziś niedoceniany, czynnik. Otóż w jego opinii obserwujemy proces narastającego uzależnienia Rosji od Chin, od których wsparcia uzależniona jest zdolność Moskali do kontynuowania wojny. Jego zdaniem „nieograniczone partnerstwo", o którym Putin i Xi Jinping poinformowali przed wybuchem wojny, w praktyce oznacza, że „Rosja zastawia swą przyszłość w Pekinie", bo nie dostaje niczego za darmo. Stoltenberg jest zdania, że groźby Putina, który mówił niedawno, że zgoda Zachodu na rażenie celów w głębi Rosji oznaczać będzie wojnę z NATO, to bluff, a na kalkulacje Kremla będzie miało wpływ także rosnące uzależnienie od Chin, na co nie wszyscy w rosyjskiej elicie władzy patrzą w spokoju.

> Stoltenberg jest zdania, że groźby Putina, który mówił niedawno, że zgoda Zachodu na rażenie celów w głębi Rosji będzie oznaczać wojnę z NATO, to bluff

Były sekretarz generalny NATO będzie kierował pracami Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, organizacji blisko związanej z CDU/CSU. Niemiecka prasa pisze nawet, że Wolfgang Ischinger, były niemiecki ambasador w Stanach Zjednoczonych i wieloletni szef tej platformy, przeforsował kandydaturę Stoltenberga, zmuszając Christophera Heusgena, jej dotychczasowego szefa, do ustąpienia. Ta informacja jest o tyle istotna, że pokazuje, w jaki sposób chadecy przygotowują się do rządów, które najprawdopodobniej obejmą po przyszłorocznych wyborach parlamentarnych. Najpewniej będą oni chcieli wzmocnić pozycję Niemiec w NATO, korygując dotychczasową ostrożną linię Scholza. W tej sytuacji obecnego kanclerza trzeba przeczekać, co będzie zapewne tym łatwiejsze, że w obliczu porażek socjaldemokracji we wschodnich landach gwiazda tego najbardziej niepopularnego od II wojny światowej szefa niemieckiego rządu raczej już nie rozbłyśnie.

Jak się wydaje, strategia pokoju dla Ukrainy ma polegać na stworzeniu warunków do kontynuowania wojny. Rada Najwyższa uchwaliła już nowelizacje budżetu na ten rok, powiększając wydatki wojskowe o ponad 10 mld euro. To niezbędny krok, aby można było wypłacić żołnierzom żołd za wrzesień, bo jak powiedział premier Szmychal, pierwotnie władze w Kijowie, planując tegoroczne wydatki, zakładały, że wojna skończy się do sierpnia. Takie były nastroje w ub.r., kiedy Ukraina miała nadzieje na sukces ofensywy, ale teraz są one zupełnie inne. Patrząc na perspektywę zakończenia wojny przez pryzmat przyszłorocznego budżetu, którego projekt został właśnie opublikowany, nie należy być optymistą. Wojna będzie trwała i ukraiński rząd założył, że i w przyszłym roku wydatki niezbędne, aby kontynuować walkę, pochłoną 49 mld dol., czyli 26,3 proc. PKB. Niezbędna będzie też zachodnia pomoc, bo zaplanowany deficyt ma wynieść 19,4 proc. PKB.

Komentatorzy, porównując tegoroczny budżet z planem wydatków na przyszły rok, dostrzegli jedną zasadniczą różnicę. Ich zdaniem Kijów w większym stopniu niż teraz chce polegać na własnych możliwościach, w tym pożyczkach od ludności, będąc mniej uzależnionym od kredytów i wsparciu z Zachodu. Mimo to państwa grupy G7 przygotowują warty 50 mld dol. pakiet kredytowy dla Ukrainy. Linia miałaby być uruchomiona na podstawie gwarancji przeznaczenia dochodów z zamrożonych rosyjskich aktywów na rzecz Kijowa. O podobnym kroku myśli też Unia Europejska. W praktyce jeśli do jesieni udałoby się osiągnąć porozumienie w tej sprawie, oznacza to, że w przyszłym roku Ukraina byłaby zdolna walczyć nadal, co oznacza, że oddalają się nadzieje Putina na szybkie zwycięstwo. Wówczas ukraiński plan pokoju być może miałby lepsze widoki na urzeczywistnienie.

eprasa.pl 36fbceef5c

Pieniądze albo życie

Przygotowany przez Maria Draghiego raport o unijnej gospodarce nie pozostawia złudzeń. Europa nie wytrzymuje konkurencji ze Stanami Zjednoczonymi i Chinami. Według eurokraty bez inwestowania rocznie 800 mld euro czeka ją agonia

DARIUSZ MATUSZAK

Najważniejsze diagnozy, a także propozycje zawarte w przygotowanym przez byłego premiera Włoch i byłego prezesa Europejskiego Banku Centralnego (EBC), liczącym 400 stron raporcie o stanie unijnej gospodarki dają odpowiedź właściwie tylko na jedno pytanie: dlaczego dokument nie został opublikowany przed tegorocznymi wyborami do Parlamentu Europejskiego. A tak zapowiadała ta, która zleciła go jesienią 2023 r.: „Poprosiłam Maria Draghiego, jednego z największych umysłów ekonomicznych Europy, o przygotowanie raportu na temat przyszłości europejskiej konkurencyjności" – mówiła w orędziu o stanie Unii Europejskiej przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. Z unijną konkurencyjnością i gospodarką jest źle, a będzie jeszcze gorzej i dlatego lepiej, by europejscy poddani dopiero po wyborach dowiedzieli się, do czego prowadzą Unię jej władcy.

Już sam wybór Draghiego na autora raportu ma wymiar symboliczny. Eurokrata od lat żyje w nimbie sławy człowieka, który w 2011 r. ratował euro przed całkowitym upadkiem. Władcy UE, jej księgowi i bankierzy, nie zastanowili się jednak wtedy nad tym, jak słabą walutą jest euro, na jak lichych fundamentach jest oparte, skoro trzeba je ratować po ledwie 11 latach istnienia. Draghi był potem przez osiem lat, do 2019 r., szefem EBC, odpowiadał za politykę monetarną Unii i dopuścił do monstrualnego zadłużenia wielu państw, m.in. Francji, Włoch, Portugalii i Hiszpanii. Mniej więcej połowa członków UE jest uboższa niż w 2011 r., kiedy stanął na straży unijnej waluty i został operatorem maszyny do drukowania pieniędzy. Same Włochy w czasach jego premierowania nie zaznały zaś cudu gospodarczego.

Taki to eurokrata sporządził raport, który ma być diagnozą oraz przedstawić recepty dotyczące ratowania tym razem nie tylko waluty, lecz także całej Unii. W konkluzjach sam Draghi podaje nawet w wątpliwość to czy Wspólnota przetrwa, czy jej trwanie ma sens. „Podstawowymi wartościami Europy są dobrobyt, równość, wolność, pokój i demokracja w zrównoważonym środowisku. UE istnieje, aby zapewnić, że Europejczycy zawsze będą mogli korzystać z tych podstawowych praw. Jeśli Europa nie będzie mogła już zapewnić ich swoim obywatelom lub będzie musiała dokonywać kompromisu między jednym a drugim, to straci rację bytu" – pisze. Każdy może ocenić, jak wyglądają dziś w Europie owe wartości.

eprasa.pl 36fbceef5c

SZTUCZNA INTELIGENCJA KONTRA NATURALNA TĘPOTA

A jak wygląda unijna gospodarka? „Wzrost gospodarczy w Europie od dziesięcioleci ulega spowolnieniu. Od roku 2000 realny dochód rozporządzalny przypadający na osobę wzrósł w USA prawie dwukrotnie bardziej niż w UE. W ciągu ostatnich dwóch dekad wzrost wydajności pracy w USA był ponaddwukrotnie większy niż w strefie euro. To w Stanach Zjednoczonych powstało 70 proc. modeli sztucznej inteligencji (AI), a 15 proc. w Chinach" – wylicza Draghi. Pozostałe 15 proc. w Izraelu, Wielkiej Brytanii, Indiach. A Unia zrobiła to, w czym jest niedościgniona – jako pierwsza objęła AI regulacjami. Czy są one potrzebne, to temat na oddzielną opowieść, ale sam Draghi wskazuje, że wprowadzenie przez Brukselę np. przepisów o ochronie danych (RODO) zmniejszyło zyski niedużych firm technologicznych o 15 proc. „Coraz bardziej rygorystyczne regulacje technologiczne UE ostatecznie przynoszą korzyści głównie amerykańskim gigantom technologicznym. Tylko większe firmy, które często mają siedzibę poza UE, mają zdolność finansową i motywację, aby ponieść »koszty zgodności«. Tym prawodawstwem niszczymy nasze firmy" – mówił Włoch na konferencji, prezentując raport.

Fot. Shutterstock

Bez eurokraty wiemy, że tzw. strategia lizbońska – unijne marzenia, że od 2010 r. jej gospodarka będzie większa niż amerykańska nie tylko w wolumenie, lecz także na mieszkańca – okazała się rojeniami, snami o potędze. Jeszcze w 2008 r. PKB Unii – 14,2 bln dol. było tylko nieco mniejsze niż Stanów Zjednoczonych – 14,8 bln dol. Teraz 440 mln mieszkańców Unii wytwarza ledwie 15 bln dol. PKB, a 330 mln Amerykanów aż 27 bln dol. Przepaść dosłownie zieje, gdy porówna się PKB na mieszkańca krajów Unii i poszczególnych stanów Ameryki. Europejskie Centrum Międzynarodowej Ekonomii Politycznej policzyło, iż Francja ze swoim PKB na mieszkańca wylądowałaby między Idaho a Arkansas – odpowiednio 48. a 49. najbiedniejszymi stanami Ameryki. Włochy znalazłyby się tuż przez najbiedniejszym – 50. Missisipi. Potężne Niemcy zaś pomiędzy 38. w rankingu Oklahomą a 39. Maine.

> Raport Draghiego posłuży do tego, by przekonywać nas, że musimy oddać Brukseli jeszcze więcej władzy, jeszcze więcej pieniędzy. Ale jest on w pewnym sensie przełomowy

Po wróżbach zwanych strategią lizbońską z Brukseli pofrunęły na Europę kolejne motyle marzeń: program Horyzont 2020, Horyzont Europa, plan Junckera, Next Generation EU, Plan Celów Klimatycznych i co tam jeszcze. Ameryka zaś nie ma żadnych planów, posiada za to osiem razy więcej niż Unia funduszy inwestycyjnych dysponujących co najmniej 1 mld dol.

Konsekwencje? Niech nam opowie o tym sam Draghi: 61 proc. całości globalnego finansowania przedsięwzięć AI trafia do firm amerykańskich, 17 proc. do chińskich i ledwie 6 proc. do firm z UE. Ok. jedna trzecia start-upów, które powstały w Europie po 2008 r. i osiągnęły wartość powyżej 1 mld dol., uciekła z niej, w większości do USA.

Co jest głównym powodem słabości unijnej gospodarki, spadku konkurencyjności na globalnych rynkach? Draghi wskazuje na dwie główne przyczyny. Pierwsza to przeregulowanie. Przykładem może być wspomniane już RODO. Włoch przypomniał, że 60 proc. przedsiębiorstw z Unii uważa, że przepisy tworzone przez Brukselę są przeszkodą dla inwestycji i ostatecznie przynoszą korzyści większym korporacjom, często spoza UE. Od siebie dodamy, że chodzi o swoisty sojusz władców i właścicieli Europy. Wielkie korporacje z brygadami prawników radzą sobie w plątaninie przepisów, a komplikacje uznają za koszty eliminacji konkurencji. W tym gąszczu nikt im nie wyrośnie ponad krawężnik. Konsekwencją jest m.in. brak innowacyjności, trudności z pozyskaniem kapitału, niska produktywność. Jeśli ta utrzyma się na dotychczasowym poziomie, to w 2050 r. PKB Unii będzie takie jak obecnie. Kolejne stracone dekady i kolejne pokolenia biedniejsze niż rodzice czy dziadkowie.

Druga najpoważniejsza kwestia to ceny energii. Te powodują, że kto żyw i może to zrobić, ucieka z produkcją do Azji, Ameryki albo ją zwija. Wystarczy rzut oka na przemysł motoryzacyjny. Europejczycy kupują teraz o 2 mln samochodów rocznie mniej niż 2019 r. To produkcja kilku fabryk, więc nic dziwnego, że nawet Volkswagen planuje zamknięcie jednej z nich i cięcia w wysokości 10 mld euro. Dyrektor generalny Renault Luca de Meo w wywiadzie dla radia France Inter mówił, że ceny energii obciążą koncern dodatkowymi 15 mld euro i zmuszą do rezygnacji z wyprodukowania 2,5 mln samochodów. Zwrócił on uwagę na pewien szaleńczy

eprasa.pl 36fbceef5c

paradoks. Otóż zgodnie z przepisami, gdy rezygnuje się z produkcji jednego samochodu elektrycznego, to traci się prawo do wytworzenia czterech spalinowych. Inaczej mówiąc, trzeba tłuc elektryki, na które spada popyt, by wytwarzać spalinowe. Według de Mei by utrzymać jakiekolwiek tempo rozwoju branży, należałoby budować infrastrukturę pod pojazdy elektryczne osiem razy szybciej niż obecnie.

800 MLD ALBO ŻYCIE

Draghi być może nieco skrytykował szaleństwa Zielonego Ładu, wskazując, że Europa postawiła sobie za cel redukcję emisji CO_2 o 50 proc. do 2030 r. w porównaniu z 1990 r., podczas gdy Chiny deklarują, że może będą nieco zmniejszać jego emisję od 2030 r.

Co proponuje Draghi, by poprawić konkurencyjność Europy, by zmniejszyć ceny energii? W bloku sowieckim na katastrofalne skutki socjalizmu odpowiedzią było jeszcze więcej socjalizmu. Podobnie jest w Unii. Odpowiedzią na lichą kondycję UE ma być jeszcze więcej Unii, czyli urzędniczego planowania, jeszcze większa integracja, jeszcze większa władza Brukseli.

To, co proponuje Draghi, należy traktować jako zapowiedź zaprowadzenia kolejnych unijnych porządków. Po to Von der Leyen zleciła mu napisanie raportu „Przyszłość europejskiej konkurencyjności", by mogła zrobić „wszystko co trzeba", by ratować Unię. Zwrot „wszystko co trzeba" jest nawiązaniem do słów Draghiego z 2011 r. „whatever it takes", kiedy mówił o ratowaniu euro. Dziś eurokrata brzmi nie mniej dramatycznie niż 13 lat temu. W czasie swego wystąpienia we wtorek 17 września, gdy prezentował raport w Parlamencie Europejskim, mówił, iż Europa ma wybór pomiędzy rozpadem (exit), paraliżem a integracją. Oczywiście eurokrata chce integrować, inaczej mówiąc uwspólnić, wszystko, co się da. W naszej ocenie przyspieszy to tylko katastrofę, ku której zmierza UE.

Przyjrzyjmy się konkretnym propozycjom. By obniżyć ceny energii, Unia musi postawić na rozwój zielonej energii. Czyli na to, co nie działa i co jest przyczyną drożyzny oraz niedorozwoju. Eurokraci zdają się być jak maniak hazardzista, który na ruletce wciąż obstawia zielone zero. Draghi policzył, że w innowacyjność, zielone technologie i co tam jeszcze Unia musi inwestować 800 mld euro rocznie. Inaczej Europę czeka, jak litościwie powiedział, „nie nagła śmierć, tylko powolna agonia". Skąd pieniądze? Z emisji euroobligacji, z zadłużania się Unii. Pomysł oznacza, że co roku byłaby przeprowadzana jakaś operacja w stylu Instrument na rzecz Odbudowy i Zwiększenia Odporności, który znamy jako KPO czy fundusz odbudowy po pandemii. Wyniósł on blisko 800 mld euro. To była jednorazowa, już fatalna w skutkach akcja. Teraz miałaby być powtarzana co roku. Wszyscy by się wspólnie zapożyczali bez końca i żyrowali nawzajem. Genialne. Eurokracji nawet się nie chce sprawdzać, czy Unia ma prawo do emisji długu. Ale co tam, można sobie przecież coś uchwalić i już się ma prawo. Owa pożyczka KPO ma być spłacana od 2026 r. Zasadniczo rozwiązania są trzy: zaczniemy spłacać w składce albo Bruksela nałoży bezpośrednio na poddanych jakiś podatek na ten cel. Trzeci sposób (bardzo prawdopodobny) jest taki, że UE zaciągnie nowy dług, by spłacić stary. Teraz wyobraźmy sobie taką akcję jak KPO co roku.

Na szczęście na razie opór zapowiadają główni władcy Europy – Niemcy. Minister finansów Christian Lindner skomentował propozycję, mówiąc, że „wspólne zaciąganie długów nie rozwiąże problemów strukturalnych".

Draghi chce uwspólnotowić zakupy gazu – Bruksela, a może Berlin, kupowałyby go dla całej Europy. Wspólna ma być też budowa sieci przesyłowych. Administratorzy w poszczególnych lennach są za głupi, więc to dwór w Brukseli będzie projektował połączenia sieci Rumunii z Bułgarią czy Węgier ze Słowacją. Draghi zapowiada utworzenie też Urzędu Przemysłu Obronnego. Ten pomysł pojawiał się już wcześniej. Ogólnie chodzi o to, by broń zamawiać u niemieckich, francuskich i włoskich producentów, a nie samemu wytwarzać, co się podoba albo kupować w jakiejś Korei czy Ameryce.

Eurokrata chce też poluzować przepisy dotyczące „nieuczciwej pomocy państwa" poszczególnym firmom czy branżom. To właściwie propozycja bez znaczenia, bo i tak Niemcy czy Francja mogą pompować dowolne ilości pieniędzy w co im się podoba, a Polska musi się tłumaczyć z kupna dzieciom komputerów, bo to była nieuczciwa pomoc.

MÓZG UNII

Draghi chce planowania także odkryć naukowych, wynalazków, nowych technologii. I dlatego budżet programu Horyzont Europa ma być zwiększony z 95 do 200 mld euro. To dodatkowe pieniądze na badania. UE liczona jako całość wydaje na nie 2,1 proc. swego PKB, a Stany Zjednoczone 3,5 proc. PKB, przy czym należy pamiętać, że jest ono o ok. 80 proc. większe od unijnego. Nie trzeba głębokich analiz, by stwierdzić, że w Europie w ostatnich latach nie dokonano żadnego przełomowego odkrycia, nie powstała żadna globalna technologia ani nawet produkt, który zawojowałby świat. Von der Leyen regularnie baje o europejskiej Dolinie Krzemowej, aż na ostatnim szczycie w Davos Iliana Iwanowa, komisarz ds. innowacyjności, stwierdziła, że w Unii jest co najwyżej „Dolina Śmierci", w której umiera gospodarka cyfrowa i związane z nią technologie. Ten przykład przytaczaliśmy już wielokrotnie, ale powtórzymy, bo znakomicie symbolizuje on unijny niedorozwój. W 2013 r. Bruksela rozpoczęła tzw. Human Brain Project – projekt stworzenia mózgu wirtualnego, mapy mózgu ludzkiego. Minęło 11 lat, wydano 1 mld euro, a w Unii mózgu nie ma.

Raport Draghiego posłuży do tego, by przekonywać nas, że musimy oddać Brukseli jeszcze więcej władzy, jeszcze więcej pieniędzy. Ale jest on w pewnym sensie przełomowy. Po raz pierwszy ze strony eurokratów padają stanowcze głosy przestrogi. Włoski bankier i polityk mówi, że Unia Europejska może się rozpaść, zostać sparaliżowana. Że bez zmian czeka ją długotrwała agonia. Jeszcze niedawno takie stwierdzenia traktowano by jako głosy pomyleńców, ruskich trolli, krakanie tych, którzy chcą rozpadu Wspólnoty. Dziś rozbrzmiewają w wielu stolicach Europy, mówił o tym nawet prezydent Emmanuel Macron. Teraz da się je słyszeć w stolicy wszystkich stolic – w Brukseli.

eprasa.pl 36fbceef5c

Zbawienie według Franciszka

GRZEGORZ GÓRNY

Czy twierdzenie papieża, że wszystkie religie są różnymi drogami prowadzącymi do jednego Boga, jest do pogodzenia z nauczaniem Kościoła katolickiego?

Tradycją pielgrzymek apostolskich Franciszka stały się jego kontrowersyjne wypowiedzi, które po niemal każdej podróży zagranicznej papieża zmuszają pracowników biura prasowego Watykanu do intelektualnej ekwilibrystyki. Nie inaczej było po niedawnej wyprawie do Azji Południowo-Wschodniej.

PRZEMÓWIENIE W SINGAPURZE

Najgłośniejszym echem na świecie odbiła się wypowiedź Franciszka podczas spotkania międzyreligijnego w Catholic Junior College w Singapurze. „Jeżeli zaczniecie się kłócić: »Moja religia jest ważniejsza od twojej! Moja jest prawdziwa, a twoja nie jest prawdziwa!« Dokąd to doprowadzi?", zapytał zebranych Franciszek i odpowiedział: „Wszystkie religie są drogą do Boga. Zrobię porównanie: są jak różne języki, różne idiomy, żeby do Niego dotrzeć. Ale Bóg to Bóg dla wszystkich. A skoro Bóg to Bóg dla wszystkich, wszyscy jesteśmy dziećmi Boga". Następnie dodał, że sikhizm, islam, hinduizm czy chrześcijaństwo są różnymi drogami do Boga.

Fot. Fabrizio Maffei/Shutterstock.com

eprasa.pl 36fbceef5c

Franciszek mówił w języku włoskim, jednak biuro prasowe Stolicy Apostolskiej, dokonując przekładu jego wypowiedzi na angielski, świadomie dokonało błędnego tłumaczenia. W anglojęzycznej wersji przemówienia znalazło się zdanie, że „religie są postrzegane jako ścieżki próbujące dotrzeć do Boga". Dlaczego watykańscy pracownicy celowo przeinaczyli papieskie wystąpienie?

Najprawdopodobniej zdawali sobie sprawę, że twierdzenie Franciszka jest jawnym zaprzeczeniem odwiecznej nauki Kościoła katolickiego i takie poglądy były wielokrotnie potępiane przez papieży, m.in. przez bł. Piusa IX w „Syllabus errorum". Także kard. Joseph Ratzinger w deklaracji „Dominus Iesus" z 2000 r. kategorycznie sprzeciwił się tego rodzaju teoriom. Nie mówiąc już o tym, że teza o wielu drogach prowadzących do Boga kłóci się ze słowami samego Chrystusa z Ewangelii św. Jana: „Ja jestem drogą i prawdą, i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze Mnie. Gdybyście Mnie poznali, znalibyście i mojego Ojca".

Nic dziwnego, że wystąpienie Franciszka na całym świecie wywołało wiele krytycznych komentarzy, głównie katolików świeckich. Włoski historyk Roberto de Mattei nazwał tę wypowiedź „obiektywnie skandaliczną", przypominając zarazem papieżowi, że wiarę chrześcijańską na ziemie, na których leży dziś Singapur, przyniósł pięć stuleci temu jego współbrat z zakonu jezuitów św. Franciszek Ksawery. XVI-wieczny misjonarz nie opowiadał tubylcom, że wszystkie religie prowadzą do Boga, lecz z narażeniem życia głosił im ewangelię. Przejęty był bowiem słowami Chrystusa: „Idźcie na cały świat i głoście ewangelię wszelkiemu stworzeniu! Kto uwierzy i przyjmie chrzest, będzie zbawiony; a kto nie uwierzy, będzie potępiony". Dlatego, jak się szacuje, Franciszek Ksawery udzielił w czasie w swej misji chrztu ok. 40 tys. przedstawicieli innych religii. Dziś zapewne zostałby potępiony za prozelityzm.

Mógłby też zostać oskarżony o mowę nienawiści, ponieważ w swych listach pisanych z Azji do współbraci zakonnych w Europie nazywał islam „złą sektą", która powinna zostać unicestwiona. Mocno kontrastuje to z niedawnym przemówieniem Franciszka w Dżakarcie, gdzie zwracając się do tamtejszych chrześcijan i muzułmanów, powiedział: „Wy jesteście światłem, które to oświeca; czynicie tak poprzez swoją przyjaźń, poprzez harmonię, którą krzewicie, wsparcie, którego sobie udzielacie, przez wspólne podróżowanie, które ostatecznie prowadzi was do pełni światła".

NAUKA Z LOŻY MASOŃSKIEJ

Inni krytycy singapurskiej wypowiedzi Franciszka zwracali uwagę, że jego wystąpienie idealnie współgra z tezami Gottfrieda Josepha Gabriela Findela, wielkiego mistrza lóż masońskich w XIX-wiecznych Niemczech, który mówił: „W masonerii jako jednej świątyni spotykają się bracia wszelakich krajów i języków. Wszyscy wznoszą swe oczy ku wiekuistemu Wschodowi czy wargi modlące się wymawiają imię Budda albo Brama, Allach albo Jahwe. Bez względu na to, czy przemawiają słowami Konfucjusza lub Mahometa, Mojżesza lub Jezusa z Nazaretu, wszyscy mówią o jednym duchu prawdy i miłości, który ich przejmuje".

> Uznanie pierwiastków prawdy obecnych w innych religiach nie może oznaczać uznania ich prawdziwości oraz zrównania z chrześcijaństwem jako równoległych dróg do zbawienia

Włoska filozof katolicka Luisella Scrosati, komentując papieskie wystąpienie w Singapurze, napisała: „Swoimi niefortunnymi wypowiedziami Franciszek eliminuje sens chrześcijaństwa, sens wcielenia Słowa i Jego Męki, redukując chrześcijaństwo do jednej z wielu religii, a nawet unieważniając poszukiwanie prawdy o Bogu przez człowieka. Są to poważne stwierdzenia, które unieważniają znaczenie Wcielenia i Odkupienia i dlatego nie mogą pozostać niezauważone w oczach Kolegium Kardynalskiego oraz wszystkich biskupów katolickich".

Nawet jeśli hierarchowie zauważyli wystąpienie Franciszka, to nie dali po sobie poznać, że je słyszeli. W przestrzeni publicznej dominowały bowiem głosy głównie katolików świeckich, zapanowało natomiast niemal powszechne milczenie biskupów, którzy są przecież powołani do tego, by strzec depozytu wiary (sam wyraz „biskup" pochodzi od greckiego słowa „episcopos" oznaczającego strażnika, opiekuna, nadzorcę).

PROTEST Z FILADELFII

Nawet jeśli słowa Franciszka nie zostały zaakceptowane przez katolickich hierarchów, to nie dali oni po sobie poznać, że nie zgadzają się z jego interpretacją. W skali całego globu tylko kilku dostojników ośmieliło się mieć publicznie inne zdanie niż Jorge Mario Bergoglio. Jednym z nich był emerytowany metropolita Filadelfii abp Charles Chaput. Na stronie internetowej First Things nie krył on swego rozczarowania, że „Franciszek ma utrwalony już zwyczaj mówienia rzeczy, które wprawiają słuchaczy w zakłopotanie i budzą nadzieję, że miał na myśli coś innego, niż w rzeczywistości powiedział". Dotyczy to także papieskiej wypowiedzi w Singapurze, którą amerykański duchowny skomentował następująco: „To, że wszystkie religie mają tę samą wagę, jest wyjątkowo niedoskonałą koncepcją, którą zdaje się popierać Następca Piotra. Prawdą jest, że wszystkie wielkie religie wyrażają ludzką tęsknotę, często piękną i mądrą, za czymś więcej niż życie doczesne. Istoty ludzkie muszą oddawać cześć. To pragnienie wydaje się być na stałe wpisane w nasze DNA. Ale nie wszystkie religie są równe pod względem treści i konsekwencji".

Rozważania abp. Chaputa wpisują się w to, co stwierdził Kościół na sobo-

eprasa.pl 36fbceef5c

rze watykańskim II w „Nostra aetate", przyznając, że „od pradawnych czasów aż do naszej epoki znajdujemy u różnych narodów jakieś rozpoznanie owej tajemniczej mocy, która obecnie jest w biegu spraw świata i wydarzeniach ludzkiego życia; nieraz nawet uznanie Najwyższego Bóstwa lub też Ojca. Rozpoznanie to i uznanie przenika ich życie głębokim zmysłem religijnym". Dokument dodaje, że „Kościół katolicki nic nie odrzuca z tego, co w religiach owych prawdziwe jest i święte" (np. nierozerwalność małżeństwa czy świętość i nienaruszalność ludzkiego życia od poczęcia do naturalnej śmierci), jednak „głosi i obowiązany jest głosić bez przerwy Chrystusa, który jest »drogą, prawdą i życiem« (J 14,6), w którym ludzie znajdują pełnię życia religijnego i w którym Bóg wszystko z sobą pojednał".

Uznanie pierwiastków prawdy obecnych w innych religiach nie może jednak oznaczać uznania ich prawdziwości oraz zrównania z chrześcijaństwem jako równoległych dróg do zbawienia. Chaput (wbrew temu, co stwierdził w Singapurze Franciszek) pisze, iż „nie wszystkie religie szukają tego samego Boga, a niektóre są błędne i potencjalnie niebezpieczne zarówno pod względem materialnym, jak i duchowym". Amerykański hierarcha przypomina papieżowi katolicką wiarę, że „Jezus Chrystus raz na zawsze objawił całej ludzkości, kim jest Bóg, odkupił nas swoją śmiercią i zmartwychwstaniem, i postawił przed nami zadanie przyprowadzenia całej ludzkości do Niego. Jak uczy bardzo wyraźnie nasza wiara: tylko Jezus Chrystus zbawia. Chrystus nie jest po prostu jednym z wielu wielkich nauczycieli czy proroków".

Na końcu swego tekstu abp Chaput pisze: „Sugerowanie, choćby mgliste, że katolicy podążają drogą mniej więcej podobną ku Bogu jak inne religie, pozbawia sensu męczeństwo. Po co oddawać życie dla Chrystusa, skoro inne drogi mogą nas doprowadzić do tego samego Boga? Takie poświęcenie byłoby bezsensowne". Odnosząc się zaś bezpośrednio do Franciszka, stwierdza: „Biskup Rzymu jest duchową i instytucjonalną głową Kościoła katolickiego. Oznacza to między innymi, że ma obowiązek jasnego nauczania wiary i głoszenia jej ewangelicznie. Niejasne komentarze mogą tylko wprowadzać w błąd. Zbyt często jednak zamęt infekuje i podważa dobrą wolę tego pontyfikatu".

DEKLARACJA Z ABU ZABI

Jednak podobny zamęt zapanował w Kościele już wcześniej, np. po podpisaniu przez Franciszka i wielkiego imama uniwersytetu Al-Azhar w Kairze, Ahmeda el-Tayeeba w lutym 2019 r. wspólnego dokumentu o ludzkim braterstwie, zwanego potocznie deklaracją z Abu Zabi. W tekście znalazło się m.in. kontrowersyjne zdanie: „Pluralizm i różnorodność religii, koloru skóry, płci, rasy i języka są wyrazem mądrej woli Bożej, z jaką Bóg stworzył istoty ludzkie".

Wspomniany dokument w oczywisty sposób jest nie do pogodzenia z odwieczną nauką Kościoła, który zawsze nauczał, że Bóg dopuszcza istnienie innych religii, ponieważ dał człowiekowi wolną wolę i szanuje jego wolność. Nie oznacza to jednak, że Bóg chce istnienia innych religii, w tym kultów antychrześcijańskich, np. satanizmu. Przyjęcie deklaracji z Abu Zabi oznacza uznanie, że pragnieniem Jezusa jest istnienie religii odrzucających Jezusa. Jak zauważał Paweł Lisicki: „Przyjęcie takiego myślenia prowadziłoby do tego, że Pan Bóg objawia się w sprzeczny ze sobą sposób różnym ludziom, napuszczając ich na siebie i obserwując, jak oni, że tak powiem, wzajemnie zmagają się o to, co jest prawdą. To czyniłoby z Pana Boga postać co najmniej kontrowersyjną. Przypominałby wtedy takiego złego Demiurga z opowieści gnostyckich albo z różnego rodzaju opowieści niechrześcijańskich, a z pewnością nie Boga miłosiernego, sprawiedliwego".

W 2022 r. podczas międzyreligijnego spotkania w Astanie postanowiono opublikować podobną deklarację jak w Abu Zabi. Na początku przygotowano dokument, który zawierał takie same tezy, jednak po kilku godzinach pokazano już inny tekst, który podpisali wspólnie różni przywódcy religijni z Franciszkiem na czele. Z pierwotnej wersji usunięto zdanie, że istnienie wielu religii jest wyrazem woli Bożej. Z medialnych przecieków wynikało, że zmiana została wymuszona nie przez Watykan, ale przedstawicieli innych religii, którzy nie chcieli relatywizować swojej wiary, stawiając je na równi z pozostałymi. Singapurska mowa Franciszka uprawdopodabnia tę wersję. On sam nie ma bowiem nic przeciwko temu, by traktować chrześcijaństwo na równi z innymi wierzeniami jako jedną z wielu dróg do Boga.

LIST Z GOA

W związku z tym na koniec warto zacytować fragment słynnego listu, który 15 stycznia 1544 r. św. Franciszek Ksawery napisał z Goa. Roberto de Mattei uważa, że ten tekst należałoby zadedykować dziś papieżowi Franciszkowi: „Odkąd tu przybyłem, nie zatrzymuję się ani na chwilę; wytrwale podróżuję przez wioski, udzielając chrztu dzieciom, które jeszcze go nie przyjęły. W ten sposób uratowałem bardzo dużą liczbę dzieci, które, jak mówią, nie potrafiły odróżnić prawej strony od lewej. Dzieci nie pozwalały mi ani odmawiać oficjum, ani przyjmować pokarmu, ani odpoczywać, dopóki nie nauczyłem ich kilku modlitw; wtedy zacząłem rozumieć, że do nich należy Królestwo Niebieskie [...] wielu w tych miejscach nie staje się teraz chrześcijanami tylko dlatego, że brakuje im tych, którzy czynią ich chrześcijanami. Bardzo często przychodzi mi na myśl, aby przejść przez uniwersytety Europy, zwłaszcza Paryża, i zacząć krzyczeć tu i tam jak szaleniec, żeby wstrząsnąć tymi, którzy mają więcej uczoności niż miłosierdzia, w tych słowach: jaka wielka liczba dusz z waszego powodu jest wykluczona z nieba i wrzucona do piekła! O, gdyby oni, zajmujący się ciągle pisaniem listów, pomyśleli również o tym, aby zdać Bogu sprawę z nauki i talentów, które otrzymali! Zaprawdę, bardzo wielu z nich, zaniepokojonych tą myślą, mogłoby oddać się refleksji nad sprawami Bożymi i przygotowałoby się do słuchania tego, co Pan mówi do ich serc, a odkładając na bok swoje żądze i ludzkie sprawy, oddaliby się całkowicie do dyspozycji woli Bożej. Z pewnością wołaliby z głębi serca: »Panie, oto jestem; co chcesz, abym uczynił? Wyślij mnie gdziekolwiek zechcesz, może nawet do Indii«".

eprasa.pl 36fbceef5c

Susza i

Ze zmianami klimatycznymi jest trochę jak z maturą. Znajoma nauczycielka polskiego na pytania zaniepokojonych faktem, że w maju 2025 r. będzie „nowa matura", odpowiedziała, że odkąd uczy, co roku jest nowa matura. Klimat tak samo. Czy się zmienia? Zawsze się zmieniał. Dlaczego, to już inne pytanie i może mniej ważne

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Przed chwilą była susza, zaraz po niej powódź. Budzi to pytania i zaskakuje. Zaskakuje nas i budzi pytania co kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt lat. Zmiany klimatyczne, anomalie i katastrofalne zjawiska nie pojawiły się ostatnio, ale zawsze były, są i będą. Czy i na ile powoduje je człowiek jest kolejnym pytaniem. Jeżeli mamy na nie wpływ, koniecznie musimy zmienić nasze działania, które się do tego przyczyniają. Jeżeli nie i są one spowodowane tylko naturalnym cyklem czy niezależnie od tego dążenie np. do zwiększania powierzchni leśnej nie jest i tak ze wszech miar słuszne? Podobnie szukanie nowych źródeł energii. Jest coś niepokojącego w fakcie, że przy całym naszym postępie wciąż jesteśmy uzależnieni od spalania – i nie ma do końca znaczenia, co i jak spalamy, ale to, że wciąż coraz liczebniejszy świat i coraz bardziej wymagająca gospodarka wykorzystują sposób ludzi jaskiniowych. Czy nie jest to klasyczny kolos na glinianych nogach?

Poza tym spalanie wiąże się z wieloma innymi rodzajami oddziaływania na środowisko, np. oddziaływaniem kopalń poprzez leje depresyjne, odciągające wodę z rozległej okolicy. W ten sposób powstała największa w Europie pustynia – Błędowska, będąca skutkiem działań kopalń srebra, cynku i ołowiu już od średniowiecza. Dziś jest ciekawostką przyrodniczą utrzymywaną ze względu na rzadkie gatunki, które pojawiły się tam przez wieki. Nie zmienia to jednak faktu, że w całym rejonie rzeki nadal tracą wodę oraz tego, że potrafiliśmy doprowadzić do powstania pustyni w strefie klimatycznej, w której nie powinno jej być.

eprasa.pl 36fbceef5c

powódź

No i zanieczyszczenia. Te pochodzące ze spalania czujemy dosadnie, np. stojąc przy ulicy – temu trudno zaprzeczyć.

LAS W MIEŚCIE I TERENY ZALEWOWE

Niewątpliwie wpływamy też na klimat w skali lokalnej, chociażby betonując miasta i podnosząc temperaturę bezpośrednio tam, gdzie jest to dla nas najbardziej dotkliwe – temperatura na słonecznym placu w upalny dzień bywa o dwadzieścia parę stopni wyższa niż w miejscu zacienionym drzewami. Znakomitym pomysłem byłoby posiadanie przez każdą miejscowość lasu – w obrębie granic albo tuż obok. Kiedy rozgrzane powietrze unosi się znad miasta, wówczas automatycznie jest zasysane chłodne, czyste powietrze leśne.

Niezależnie od tego, kto lub co powoduje zmiany, mamy do czynienia z dwoma zjawiskami. Z jednej strony z niewątpliwą powtarzalnością na przykład powodzi. Z drugiej z eksponowaniem się na konsekwencje i narażanie na konfrontację z żywiołem. Mowa o zabudowywaniu terenów zalewowych. Doliny rzeczne były atrakcyjne dla ludzi od najdawniejszych czasów z różnych powodów, m.in. obecności żyznych gleb, łatwego transportu rzeką, dostępu do wody pitnej i wody do nawadniania pól. I od zawsze co ileś lat przychodziła powódź. Zaawansowana cywilizacja daje nieco większe możliwości reagowania, jednak wbrew pozorom postęp w tym akurat zakresie jest bardzo powolny i możliwości te niewiele się różnią od tych sprzed wieków (które bywają nawet lepsze, o czym za chwilę).

Zaawansowana cywilizacja jest też dużo bardziej wrażliwa, jeżeli już dosięgnie ją cios. Dawniej woda zalewała drewniane chaty, dzisiaj zrywa mosty, niszczy drogi, wali budynki, uszkadza elektrownie, dewastuje magazyny, szpitale, szkoły. Szkody są bardziej dotkliwe i jednak mimo postępu trudniejsze i kosztowniejsze w naprawieniu. Po co więc lokalizować nową zabudowę na terenach zalewowych, na które przyjdzie w końcu woda? To pytanie retoryczne.

Bo wiemy, że przyjdzie. I wiemy, że jest bardzo prawdopodobne, iż nie zmieści się ona w żadnym zbiorniku i nie zatrzymają jej żadne wały.

Czasem słyszę, że winne są wycinki w lasach górskich. Że to dlatego woda tak spływa. Cóż – świętą zasadą gospodarki leśnej, przestrzeganą zawsze, niezależnie od partii rządzącej, jest trwałość lasów. Tam, gdzie jest las, tam zawsze będzie las. Dodatkowo w górach nie stosuje się zrębów zupełnych, a tylko na niewielkich powierzchniach wycina się część drzew (od razu dopowiem, że są wyjątki i czasem las górski znika na pewien czas na większej powierzchni, np. świerki posadzone dawno temu w miejsce jodeł i buków w niższych partiach gór schną, atakuje je kornik i po prostu się rozlatują. Teraz jest to naprawiane i odtwarza się dawne lasy). Można bez końca powtarzać, że albo korzystamy z lasu, albo produkujemy plastik. Z rolnictwem łatwiej to zrozumieć.

eprasa.pl 36fbceef5c

Tam też się sadzi i zbiera. Po prostu okres między sadzeniem a zbiorami w leśnictwie jest dłuższy.

NATURALNE NASTĘPSTWO

Bliskość czasowa ostatniej suszy i powodzi, które rozdzielało kilka dni, jest dla nas zadziwiająca. Tymczasem to również jest jedna z cech przyrody. Wiele miejsc na kuli ziemskiej jest corocznie zalewanych, by niedługo potem stać się powierzchnią pokrytą suchą, spękaną ziemią. Dobrym przykładem są rzeki okresowe. Po gwałtownych opadach niosą masy zamulonej, pędzącej wody, przez większość czasu są natomiast tak bezwodne, że do wody nie da się nawet dokopać, bo po prostu jej nie ma. Ostania susza i powódź to przykład naturalnego następowania po sobie niedoboru i nadmiaru wody, tylko na wielką skalę i na rozległych obszarach.

Czy istnieją środki zaradcze? Wspomniałem o starych sposobach. Niedawno czytałem o zamiarze wykorzystania polderów zalewowych, funkcjonujących w międzyczasie jako lasy łęgowe, wykonanych dawno temu przez cystersów. Znakomity pomysł. Broń Boże nie zamierzam się wymądrzać, ale piszę o nim od lat. I jak widać, nie ja go wymyśliłem.

POLDER ZAMIAST ZBIORNIKA

Każde miasto w wyższym biegu rzeki powinno mieć rozległe tereny, które w razie potrzeby można zalać. Nie zapory przegradzające rzekę, tylko wielkie powierzchnie połączone z korytem w taki sposób, żeby woda od pewnego poziomu wlewała się na nie. A jeżeli obsadzimy je gatunkami drzew dobranymi do siedliska, będziemy mieć dodatkową korzyść – lasy łęgowe, które nie tylko lubią zalewanie, lecz także potrzebują go regularnie (w takiej lokalizacji można im to zapewniać niezależnie od powodzi). Przy okazji zyskamy niezwykle bogate gatunkowo siedliska.

Takie poldery muszą być wielkie. One też nie rozwiążą całkiem problemu największych wezbrań, pomogą jednak przy tych mniejszych, a przy dużych przejmą część wody. Najpierw przyjmą, a potem będą wolniutko oddawać, odpowiadając z kolei na problem suszy. Taką naturę ma las – wchłania wodę, oczyszcza, a później powoli oddaje, nawadniając okolicę.

Muszą to być rozwiązania na dużą skalę. Obecnie pokładamy nadzieje w zbiorniku raciborskim. Po pierwsze, nawet jego pojemność nie jest wcale taka duża (jest trzykrotnie mniejszy od zbiornika zaporowego w Solinie). Po drugie, ma sporo elementów, z którymi coś może pójść inaczej, niż planowano. Polder z lasem łęgowym jest skrajnie prosty w działaniu i niezawodny.

A skoro mowa o wielkości sztucznych zbiorników – oprócz nadziei, że pomogą, zawsze wyrządzają realne szkody. Przyrodniczo są ubogie, m.in. ze względu na sztucznie zmieniany poziom wód, uniemożliwiający np. rozwój roślinności przybrzeżnej będącej miejscem gniazdowania ptaków, tarła ryb itp. Kiedy spuszcza się wodę, wypuszcza się dolne, zimne warstwy, co powoduje śnięcie ryb w rzece poniżej i w ogóle zagładę dużej części życia biologicznego. Potrzebnego nie tylko przyrodnikom dla nacieszenia oczu, lecz także zapewniającego sprawne działanie ekosystemu, niezbędnego również dla przeciwdziałania powodziom i suszom. Poza tym wielkie zbiorniki przegradzające rzeki niekorzystnie zmieniają klimat.

> Polder z lasem łęgowym jest skrajnie prosty w działaniu i niezawodny. I choć nie rozwiąże całkiem problemu największych wezbrań, pomoże jednak przy tych mniejszych, a przy dużych przejmie część wody. Najpierw przyjmie, a potem będzie wolniutko oddawać, odpowiadając z kolei na problem suszy

Lasy łęgowe działają zupełnie na odwrót – skutecznie wchłaniając wodę, gromadząc jej zapas na dłużej i zabezpieczając bioróżnorodność. I znacznie spowalniają spływ wody, zupełnie inaczej niż proste, betonowe koryto.

20 PROC. DZIKOŚCI

Dodatkowo można wykorzystać wspaniały pomysł, czyli planowane zobowiązanie krajów Unii Europejskiej do odtworzenia dzikich, naturalnych terenów na 20 proc. powierzchni. To rzeczywiście wspaniały pomysł. I piszę to bez żadnej ironii. Mało jest równie dobrych idei. Ostatnim takim, również genialnym, był system obszarów chronionych Natura 2000, bez czego żaden kraj nigdy nie zdobyłby się na to, by w takim stopniu chronić przyrodę. W tym bioróżnorodność. Jeżeli komuś wydaje się to bezsensowne, niech zda sobie sprawę, co nas czeka, jeżeli dopuścimy do straty różnych gatunków. To m.in. koniec rolnictwa, strata pszczół i innych zapylaczy, drapieżników regulujących liczbę gryzoni, utrata puli genowej dzikich gatunków, którymi trzeba regularnie wzbogacać rośliny uprawne itd. Utrata bioróżnorodności to gorszy scenariusz niż powódź, i to na wielką skalę, dla całej ludzkości – również dla ludzi, których przyroda nie interesuje. Ale bez niej i tak nie przetrwają.

Program ten daje nam wielką szansę. Lasy łęgowe zniknęły na większości terenów w całej Europie. To znaczy zostały wycięte. Odtwarzanie tych cennych siedlisk – właśnie na wspomnianych polderach – to działanie wspaniale wpisujące się w ten program. Możemy wypełnić zobowiązania, ochronić przyrodę, zabezpieczyć się przed powodzią oraz suszą i jeszcze dostać dofinansowanie.

Czy całkowicie zlikwiduje to ryzyko takich katastrof? Oczywiście, że nie, ale w dużym stopniu zmniejszy, a przynajmniej w niektórych przypadkach zapobiegnie całkowicie. Możemy też nie podejmować tych działań i spokojnie czekać, aż znowu zadziwią nas kolejne, pewnie tym razem większe susza i powódź.

eprasa.pl 36fbceef5c

Iskrzące zapętlenie

Dwie podróże w przeszłość. Kobieca i męska perspektywa. „Rzeczy niezbędne" z Dagmarą Dominczyk i Katarzyną Warnke oraz „Idź pod prąd" z Ignacym Lissem wprost z 49. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych trafią do kin

Katarzyna Warnke w roli Roksany w filmie „Rzeczy niezbędne" fot. Robert Wolański/Kino Świat

eprasa.pl 36fbceef5c

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Spotkają się z szeroką publicznością jeszcze podczas 49. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni (który rozpocznie się 23, a zakończy 28 września). Dotrą na duże ekrany tuż przed ogłoszeniem decyzji jurorów. „Rzeczy niezbędne" w reżyserii Kamili Tarabury zakwalifikowano do debiutującego na gdyńskim festiwalu Konkursu Perspektywy, gdzie w gronie ośmiu pełnometrażowych filmów fabularnych powalczą o nową statuetkę – Szafirowe Lwy.

W Konkursie Głównym o Złote Lwy (z 15 innymi tytułami) będzie rywalizować film „Idź pod prąd" Wiesława Palucha.

ROZSADZIĆ BAZĘ

„Rzeczy niezbędne" to trzymające za gardło i wygrywane na pełnej skali emocji (choć w warstwie zewnętrznej w większości stonowane) kino kobiecej perspektywy. To kobiety, wspierając się na mężczyznach i odwołując do nich, budują w tym filmie ekranową historię, rozwikłują zaciśnięte i zapętlone ponad miarę relacje, rozliczają się z przeszłością i samymi sobą.

Być może wbrew pierwotnym założeniom (punktem wyjścia scenariusza był reportaż rozliczeniowy) – a także na szczęście – aktorsko-reżyserski kobiecy skład zarazem rozsadził bazową opowieść. I dopełnił ją niuansami. Także w obrazie. W tym filmie nie ma pustych minut. Gdy przed kamerą choć przez chwilę brakuje bohaterek, autor zdjęć Tomasz Naumiuk wypełnia kadry np. znaczącą szeroką perspektywą. Obserwowaną także z okna samochodu. Bo „Rzeczy niezbędne" to również kino drogi. Powrotu do miejsc zapamiętanych z dzieciństwa i konfrontacji – zarówno z tym, co było, jak i tym, co będzie.

NA ZAKRĘCIE

Aktorskie kreacje są w tym filmie magnetyzujące i targają widzem niezależnie od tego, czy – jak w przypadku Dagmary Dominczyk i Małgorzaty Hajewskiej-Krzysztofik – są prowadzone na półtonach, czy kipią ekspresją i rozedrganiem Katarzyny Warnke (także współautorki scenariusza).

Dominczyk (lub w polskiej wersji Domińczyk) to amerykańska aktorka znana z takich m.in. produkcji jak „Sukcesja" czy pokazywana ostatnio w polskich kinach „Priscilla". Wyjechała z rodzicami z Polski jako siedmiolatka. Dziś w naturalny sposób pokazuje, że żyjąc i pracując w USA, nadal można pięknie (bez naleciałości) mówić – i chyba też trochę myśleć – po polsku.

W „Rzeczach niezbędnych" Dominczyk gra bohaterkę na życiowym zakręcie – korespondentkę wojenną, którą w zawodowym biegu wstrzymała nieplanowana ciąża. To źle znoszone, wymuszone zawieszenie przerywa prośba koleżanki z dzieciństwa. Miesiąc przed terminem porodu filmowa Ada wyrusza z Hamburga do Polski. Droga i zderzenie z własnymi wspomnieniami, ale przede wszystkim z rozognionymi traumami Roksany (Katarzyna Warnke) pozwalają bohaterce zdefiniować się na nowo. Określić priorytety.

POD POWIERZCHNIĄ

W kraju dzieciństwa Ada konfrontuje się też z matką Roksany. Postawę kobiety łatwo byłoby jednoznacznie ocenić, ale nie pozwala na to wytrawne aktorstwo Małgorzaty Hajewskiej-Krzysztofik. Jej bohaterka zarazem przyciąga i odpycha, budzi pytania i niepokój. Dopełnia ekranowy kobiecy węzeł zapętlany przez Dominczyk i Warnke.

Każda z aktorek z osobna przykuwa uwagę, ale jeszcze mocniej elektryzują we wspólnych scenach, zwłaszcza tych, w których pozornie nic się między nimi nie dzieje, a tuż pod uładzoną powierzchnią iskrzy.

WCIĄŻ POD PRĄD

Wybuchowo i niepokornie, ze zbuntowanej chłopięcej, a potem męskiej perspektywy została opowiedziana w filmie „Idź pod prąd" Wiesława Palucha historia „Siczki" – lidera legendarnej punk rockowej grupy, która zawiązała się w 1977 r. na bieszczadzkich kresach ludowej Polski.

Podstawą scenariusza – co podkreśla jego współautor, zarazem reżyser i współproducent – były zdarzenia przybliżane filmowcom przez samego „Siczkę" (urodzonego w Ustrzykach Dolnych Eugeniusza Olejarczyka).

W filmowej narracji czuje się ten punkt widzenia, wciąż biegnący pod prąd, skupiony na własnych potrzebach i unikający zobowiązań. Wielką zasługą Ignacego Lissa – młodego aktora znanego z takich produkcji, jak „Znachor", „Marzec '68" czy „Otwórz oczy" – jest obdarzenie filmowego „Siczki" cechami oraz zachowaniami, które przyciągają do bohatera. Pozwalają zrozumieć świat, muzykę i realia, w jakich dorastało jego pokolenie. Reżyser przypomina: „KSU było jedyną polską kapelą rockową rozpracowywaną przez SB".

Fot. Krzysztof Wiktor/Kino Świat

epresa.pl 36fbceef5c

4/0924/F

O co chodzi z tym punk rockiem?

Z aktorem Ignacym Lissem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy to prawda, że główna rola w filmie „Idź pod prąd" otworzyła ci uszy i serce na punk rockowe brzmienia?

Ignacy Liss: To było moje pierwsze, tak na poważnie, spotkanie z polskim punk rockiem. Oczywiście znałem utwory Sex Pistols czy Dead Kennedys, chociaż nie do końca była to moja muzyka. Wolałem bardziej skomplikowane brzmienia. Dzięki filmowi Wiesława Palucha lepiej zrozumiałem, o co chodzi w punk rockowym nurcie i stylu. I o co chodziło chłopakom, którzy pod koniec lat 70. ub.w. gdzieś na krańcach PRL, w Ustrzykach Dolnych, stworzyli grupę KSU.

Historia inspirowana losami „Siczki" (Eugeniusza Olejarczyka), lidera KSU, uniesie współczesnego widza?

To przede wszystkim film o poszukiwaniu autentyczności w bardzo sztucznym świecie wykreowanym przez komunizm, historia chłopaków, którzy marząc o graniu punk rocka, zaczęli ruch, który rozlał się po całej Polsce. Narracja jest ponadczasowa, choć osadzona w bardzo konkretnych, PRL-owskich, realiach.

Jak lider KSU, nadal muzycznie aktywny, koncertujący, odebrał swoją ekranową wersję?

Nie jest wylewnym człowiekiem, ale po obejrzeniu filmu zadzwonił do mnie i powiedział, że wielu jego kolegów wzruszyło się podczas projekcji, a on nie mógł sobie wyobrazić lepszego „Siczki", więc to było bardzo miłe.

Film trafił do głównego konkursu tegorocznego festiwalu w Gdyni. Co będzie dalej?

Nie ma co gdybać, ja już jestem zaszczycony.

Dzięki roli w „Idź pod prąd" zadebiutujesz na gdyńskim festiwalu?

Właściwie tak, chociaż kiedyś byłem na festiwalowej projekcji z klasą [z gdańskiego liceum], ale jako aktor pojadę tam po raz pierwszy.

Który z konkursowych tytułów najbardziej chciałbyś obejrzeć?

„Minghun" Jana P. Matuszyńskiego z Marcinem Dorocińskim.

REKLAMA

ORGANIZATORZY
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
WSPÓŁFINANSOWANIE
PARTNER
PARTNER INSTYTUCJONALNY

eprasa.pl 36fbceef5c

3 MIŁOŚCI

Terapia objawiona

ROBERT TEKIELI

W czasach, gdy papież wygłasza herezje, premier zapowiada łamanie prawa, a prymas nie broni kapłana umieszczonego w areszcie wydobywczym, chcę zająć się czymś, co jest bezwzględnie pożyteczne. Ostrzeganiem przed duchowymi zagrożeniami ukrytymi w popkulturze, medycynie czy psychologii. Będący drugim imieniem ducha czasów relatywizm sprawia, iż co krok mamy w tej mierze do czynienia z sytuacjami kuriozalnymi. Np. z wykładaniem spirytyzmu na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Kod Erasmus: 14.4. Kod ISCED: 0313. Aktualnie „przedmiot nie jest prowadzony", ale informacja o kursie dalej dostępna jest na oficjalnej stronie uniwersytetu. O czym mowa? „Proponowane zajęcia przedstawiają podstawowe koncepcje metody ustawień systemowych Berta Hellingera". Koncepcje, które, jak Hellinger sam wielokrotnie podkreślał, „zostały mu objawione".

Bert Hellinger był zakonnikiem, który w Afryce przez 17 lat stykał się z duchowością plemion zuluskich, poznał ich język, uczestniczył w plemiennych rytuałach. Jak piszą jego zwolennicy, „duchowość o charakterze szamańskim oraz porządek klanowy charakteryzujący się dużym szacunkiem międzypokoleniowym mocno wpłynęły na jego postrzeganie świata". Po 25 latach Hellinger odszedł z zakonu i zajął się praktyką ustawień rodzinnych. W swoich książkach i wystąpieniach wielokrotnie podkreślał, że nie wie, skąd posiada wiedzę na temat ustawień. Według jego deklaracji ta wiedza nań „spłynęła". I co ważne, należy ją przyjmować na wiarę. Bez wątpienia to silna rekomendacja dla umieszczenia ustawień w roli przedmiotu uniwersyteckiego. Tym bardziej że sam Hellinger odżegnywał się od nazywania swojej praktyki terapią psychologiczną. Mówił o sobie jako o twórcy nowej duchowości.

Ustawienia rodzinne są formą teatralnego show, niekiedy pisze się o nich jako o „psychodramie połączonej ze zbiorową hipnozą". Spotkanie „terapeuty" z osobą szukającą pomocy jest jednokrotne, sam twórca metody twierdził, że potrafi uzdrowić z konsekwencji molestowania w dzieciństwie w trakcie jednego 40-minutowego seansu.

Jak wygląda taka sesja? Grupka znajdujących się często w dramatycznej sytuacji życiowej klientów jest poddawana oddziaływaniom w obecności 300–500 widzów. Prowadzący wybiera reprezentantów osób żywych i zmarłych, następnie „ustawia" ich w przestrzeni we wzajemnej relacji do siebie. Reprezentanci zaczynają się zachowywać, jakby byli rzeczywistymi członkami rodziny. Cytuję dziennikarkę „Gazety Wyborczej": „Nagle czuję nienawiść do nieznanej mi osoby. Jestem »reprezentantką« siostry ustawianego i czuję nienawiść do człowieka, którego pierwszy raz widzę na oczy".

W trakcie ustawień hellingerowskich poddaje się ludzi oddziaływaniu „uzdrawiania", gdy rozbudzane są nierealne nadzieje przy szerzeniu ekstremalnie upraszczającej współzależności – np. że rak piersi jest nieuniknionym następstwem braku poszanowania własnej matki. W trakcie jednego z seansów Hellinger powiedział kobiecie molestowanej w dzieciństwie: „Zawsze to córka jest winna temu, że ojciec ją zgwałcił" i zażądał, by kobieta przeprosiła nieżyjącego już ojca. Według Hellingera poprzednie generacje zawsze mają rację, a dzieci powinny bezwzględnie szanować rodziców.

O autorytaryzmie i brutalności metody wielokrotnie pisali krytyczni wobec Hellingera naukowcy. Przytaczano też przykład osoby, która popełniła samobójstwo po drastycznym potraktowaniu jej w trakcie ustawień. Ja podkreślę aspekt duchowy.

Podczas seansu prowadzący określa osoby wykluczone z sytemu rodzinnego. Potem przyłącza się je do rodziny poprzez wybaczenie krzywdy, złożenie hołdu i wyrazów szacunku. Również osobom zmarłym. Tak dochodzimy do kluczowych dla ustawień hellingerowskich zdań równoważących. „Przywracam ci miejsce w moim sercu", „Zapraszam cię do mojego wnętrza". Ustawienia hellingerowskie odtwarzają strukturę seansu spirytystycznego. Co tłumaczy, jak jest możliwe, by w trakcie seansów działy się rzeczy niewytłumaczalne w porządku materialistycznym. By nieznajomy miał wiedzę na temat intymnej przeszłości ustawianego. To te przejawy mocy przyciągają do ustawień rodzinnych terapeutów sfrustrowanych swoją małą skutecznością oraz uczestników seansów skłonnych płacić duże pieniądze za uczestnictwo w spirytystycznym spektaklu.

Praktyka nazywana terapią systemową, metodą Hellingera lub metodą ustawień rodzinnych jest toksyczną duchowością. Udział w tych seansach może zaowocować depresjami, których nie da się leczyć farmakologicznie, wahaniami nastroju nieadekwatnymi do bodźca i statystycznie nieprawdopodobną ilością negatywnych wydarzeń w życiu. Metoda Hellingera jest odmianą szamańskiego spirytyzmu, choć udaje terapię. To jeden ze znaków czasu. Świadectwo upadku zachodniego racjonalizmu.

eprasa.pl 36fbceef5c

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Warte *„Koszmarni ex”*, amerykański serial dokumentalny, momentami wręcz mrozi krew w żyłach. Jeśli zgodnie z wszystkimi procedurami i prawem gwałciciel swojej byłej kobiety, by uniknąć przegrania procesu, może skonstruować spisek, w wyniku którego porządna obywatelka idzie na rok za kraty i o mały włos nie dostaje wyroku, czy można spać spokojnie? Serial przedstawia wstrząsające historie, w których zemsta, nienawiść, choroba są zarzewiem tragedii. Jak doskonale potrafią się maskować psychopaci? To wręcz niewiarygodne. Niektóre opowieści mają tragiczny wymiar, nieomal antycznego fatum.

Recenzenci piszą, że dokument opiera swą elektryzującą oś na „uniwersalnej niepewności dotyczącej własnych partnerów i partnerek”. Czy współcześnie jest inaczej niż kilkadziesiąt lat temu? Czy dzisiejszy świat kilkuletnich związków, anonimowości i samotności sprzyja takim koszmarom?

Przyznam, że dawno tak nie kibicowałem bohaterom jakiejkolwiek historii opowiedzianej obrazami jak wplątanym w toksyczne relacje przedstawiane w „Koszmarnych ex”.

Zazwyczaj czujemy się bezpieczni, bo chroni nas państwo, prawo, policja. Jednak procedury czasami zawodzą, ludzie nie dorastają do swoich obowiązków, jesteśmy konfrontowani z osobami, które na tyle znają system, że są w stanie wykorzystać go do ukrycia swojej zbrodni. W serialu oglądamy prawdziwe historie, w których uczestniczący policjanci, adwokaci czy osoby zajmujące się niewinnie skazanymi są momentami całkowicie bezradni wobec splotu wydarzeń. Nie potrafią zatrzymać trybów systemu, mimo iż są przekonani o dziejącej się na ich oczach niesprawiedliwości. I nie ma nikogo, kto chciałby ją zatrzymać.

POPKULTURA

Warte Przyznam się, że wcześniej trzykrotnie zaczynałem oglądać serial *„Erynie”*. Jednak odstręczała mnie stylistyka noire, jakoś w polskim kinie nie miałem dobrych doświadczeń z jej egzemplifikacjami. Mroczna atmosfera tej opowieści bierze się po części z tematyki – mamy tu serię odrażających przestępstw, włącznie z mordowaniem dzieci, po części jest ona spowodowana tym, że oglądamy świat z perspektywy specyficznego bohatera. Lwowski policjant Edward Popielski grany przez Marcina Dorocińskiego, pijak balansujący na granicy degeneracji, wyrzucany z policji i przywracany do służby, jest bowiem specjalistą od spraw najciemniejszych z ciemnych. Niezwykle skuteczny, błyskotliwy i chory. Epilepsji jednak zawdzięcza wizje, dzięki którym czasami trafia na prawdzie tropy.

Ważnymi bohaterami tego otchłannego kryminału są przedwojenny Lwów i powojenny Wrocław. A właściwie ich najciemniejsze rewiry.

Popielski, znany pod pseudonimem Łyssy, funkcjonuje głównie pod osłoną nocy. Światło wywołuje u niego epileptyczne incydenty, więc gdy tylko to potrzebne, zakłada ciemne okulary.

Ogolony na łyso Marcin Dorociński gra na granicy przeciągnięcia roli, jednak nigdy jej nie przekracza, co doskonale wpisuje się w poetykę kryminałów Marka Krajewskiego, na podstawie których powstał scenariusz 12-odcinkowego serialu. Swoje wnosi Eryk Lubos z rolą lwowskiego gangstera szumowiny, który po wojnie wypływa, a jakże!, znów jako bandyta, tym razem w sowieckim mundurze. Doskonałe, wręcz fascynujące są także kobiece epizody. Tutaj talentem błyszczą Erika Kaar, Dominika Kachlik i Zuzanna Galewicz. W pamięć zapada też zagrana przez Marcina Bosaka postać zdegenerowanego hrabiego Józefa Bekierskiego.

Serial mógłby spokojnie nosić tytuł „Odrażający, brudni, źli”. Reżyser Borys Lankosz zdołał wykreować obraz ciemnej strony miasta, bezradnie czekającego na wojenną apokalipsę, a w ostatnich odcinkach innego miasta – po apokalipsie. Główny bohater krok po kroku traci wszystko, co najważniejsze. Los odziera go z rodziny, miłości, ojcostwa. Erynie to bóstwa uosabiające zemstę, a także wyrzuty sumienia. Czasem po własnej apokalipsie człowiek żyje dalej, choć dawno stracił życie. Erynie, mimo że nieubłagane, płakały, słuchając lamentu po Eurydyce. W tej historii zabrakło jednak Orfeusza.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

eprasa.pl 36fbceef5c

SIECI K

Prawicowy Gramsci w rządzie Meloni

„Włochy potrzebują dziś dojrzałej i pluralistycznej, nowoczesnej prawicy broniącej słabych, ale też podtrzymującej obietnicę ochrony wolnej przedsiębiorczości" – uważa Alessandro Giuli, nowy minister kultury w rządzie Giorgii Meloni. Zastąpił na tym stanowisku starszego od niego Gennaro Sangiuliano związanego generacyjnie z Movimento Sociale Italiano (MSI), będącego symbolem starej, postfaszystowskiej prawicy, wpisując się w proces pokoleniowej zmiany. Choć jeszcze kilka lat temu zarzucał partii Fratelli d'Italia „disneyifikację", dziś wzywa ją do porzucenia „mentalności rządzonych" i przyjęcia „mentalności gubernatorów", a więc przekształcenia się w masową, konserwatywną reprezentację, która stanie się trwałym biegunem włoskiej polityki.

Zaniepokojeni lewicowi komentatorzy uważają, że świadczy to o dalszej ewolucji obozu premier Meloni, pod przywództwem której wykazał on elastyczność i zdolności reformistyczne. Dostrzegli przede wszystkim fakt, że postanowiła ona stoczyć kolejne bitwy właśnie w obszarze kultury. Giuli kierował Fundacją MAXXI zarządzającą tamtejszym muzeum sztuki współczesnej, pracował też w wielu mediach. Już jako 14-latek wstąpił do młodzieżówki MSI, by w 1991 r. dołączyć do skrajnie prawicowego ruchu Meridiano Zero, organizacji założonej przez Rainaldo Grazianiego, syna charyzmatycznego lidera Ordine Nuovo Clemente. To wszystko nie przypadek. Jego ojciec był członkiem MSI, dziadek brał udział w marszu na Rzym, a swoją epopeję zakończył jako obrońca Republiki Salò. Jednak ojciec matki znów był antyfaszystą i członkiem ruchu oporu, a ona sama chrześcijańską demokratką.

Alessandro Giuli, filozof, ale bez dyplomu (nie ukończył studiów), jest umieszczany w gronie intelektualistów nowej generacji włoskiej prawicy, co potwierdził w wydanej niedawno książce „Gramsci żyje". Sprytnie odwołując się w niej do najważniejszego dziś lewicowego teoretyka hegemonii kulturowej, wyłożył w niej swe polityczne credo. „W czasie, gdy lewica chce standaryzować i wykluczać, nowoczesna prawica musi waloryzować różnice" – tłumaczy. Jego zdaniem musi ona, nie odcinając się od korzeni, porzucić „postfaszystowską logikę", która staje na przeszkodzie do zagwarantowania sobie ciągłości z przyszłością. „Oświecona" musi przezwyciężyć nieaktualne podziały polityczne miedzy starą prawicą a starą lewicą i zdobyć większość.

Maciej Walaszczyk

Kameralna wirtuozeria

Za kilka tygodni ma się ukazać album „Beamo" nagrany przez trio Możdżer, Danielsson, Fresco. Można już nabyć bilety na zaplanowaną na listopad trasę koncertową. Ale wcześniej koniecznie wrócić do wydanej na początku tego roku płyty „Passacaglia". Możdżer to pianista i jazzman wszechstronny, o niezwykłych umiejętnościach i muzycznej wyobraźni płynnie łączącej style. Dowodzi tego także grą w duecie z wybitnym skrzypkiem Adamem Bałdychem. To zapis ich pierwszej wspólnej sesji, na której korzystali z instrumentów raczej nietypowych. Bałdych od jakiegoś czasu gra na zrekonstruowanych przez lutnika skrzypcach renesansowych, charakteryzujących się nieco obniżonym dźwiękiem. Ponadto, co łączy się z zapowiadaną płytą „Beamo", także Możdżer, ewidentnie dusząc się w znormalizowanym stroju fortepianowym, użył do jej nagrania różnych instrumentów – jednego o nieco podwyższonym standardowym stroju 442 Hz, a drugiego w barokowym i niższym 432 Hz.

Strojenie fortepianów to kwestia estetyczna, a nawet polityczna (ustalony standard zapisano w traktacie pokojowym w 1919 r.). Zwiększenie lub obniżanie częstotliwości dźwięku wpływa na wyraz muzyki i jej odbiór, w tym przypadku w sposób niezwykle tonujący słuchającego. Sam Możdżer twierdzi, że chce wywoływać efekt „wygięcia tonalności". Improwizacje wciągają więc słuchacza w subtelne gry i dialogi, zabawy artykulacją, które w przypadku muzyków o tak rozwiniętej wyobraźni i pełnym porozumieniu mają świetny efekt. Ta muzyka, jak zawsze w przypadku Polaków nasycona sporą dawką romantyzmu, zamyka w kameralnej formie klasykę i improwizacje odległe jednak od jazzu. Płyta składa się z utworów zbudowanych z odbiegających od siebie motywów, wpadających w ucho melodii („Moon", „Jadzia", „January") poddanych migotliwym zabiegom interpretacyjnym, a także wypraw w daleką muzyczną przeszłość. Wydestylowane z wielką wprawą interpretacje modernistycznej „Gymnopedie" Satiego, wzruszającego żałobnego lamentu „La déploration sur la mort d' Ockeghem" Josquina dés Présa oraz „O ignee Spiritus" Hildegardy von Bingen pozostawiają kolosalne wrażenie. Ciekawe, że wyrastający z jazzu muzycy, wracając do średniowiecza i renesansu, świetnie rozpoznają idiom europejskiej tradycji.

Adam Bałdych i Leszek Możdżer, „Passacaglia", Imaginary Music/ACT Music 2024

eprasa.pl 36fbceef5c

Wielkie zerwanie czy nowe otwarcie?

Czas powolnej historii, w której sztafeta pokoleń przekazywała sobie cywilizacyjne wzorce, został zakończony. Nastąpiło zerwanie. Człowiek Zachodu potrafi jednak odmienić swój los, bo tylko jego ożywia duch kreatywności i przemiany

To niewielka, choć dokonana w mistrzowskim skrócie, eseistyczna próba odpowiedzi na pytanie, czy Zachód jest skazany na upadek. Choć napisana ponad dekadę temu, nie straciła na świeżości. „Przyspieszenie historii już teraz powoduje pęknięcie w ramach cywilizacji zachodniej" – twierdzi Lucian Boia, intrygujący rumuński myśliciel i historyk. Biali Europejczycy i ich pozaeuropejscy potomkowie wymierają, biednieją, utraciliśmy monopol technologiczny, bo np. w Chinach realizowane są projekty wymyślone przez nas. Bogaci, ale zainfekowani mutacjami ideologicznych trucizn (genderyzm), różnych odmian sekularyzowanych religii politycznych (nacjonalizmy, marksizm, liberalizm), katastroficznych scenariuszy ekologicznych, utraciliśmy wolę życia. Zlepiony z narodowych odrębności Zachód stał się wielokulturowy, a za jego część zaczęli się nawet uważać pozaeuropejscy imigranci, niemyślący o jakiejkolwiek asymilacji.

„Końce" znanego wcześniej świata wydarzały się już wcześniej, jednak nigdy z taką szybkością i intensywnością. Działa tutaj wielka siła przyspieszenia, jakiej podlegamy w skali planetarnej, a jednocześnie siła zrównania, a więc globalizacji potęgującej owo przyspieszenie. Wywołały ją odkrycia geograficzne, które wciąż pozostają „odkryciami" z punktu widzenia człowieka Zachodu. To my wymuszaliśmy na innych lub uwodzicielsko skłanialiśmy ich do przyjmowania naszych pojęć, miar, dominujących modeli politycznych, etycznych, kulturowych czy technologii. A teraz, po doprowadzeniu świata do globalnego zjednoczenia, „światowa" cywilizacja jest kopią tej zachodniej. Jednocześnie Zachód sam zmierza do ograniczenia własnej roli.

Jeszcze niedawno, mimo wielkich zmian niesionych skutkami rewolucji przemysłowej, nasza przeszłość pozostawała z przyszłością w łączności. Następuje jednak radykalne zerwanie. Już na początku XX w. ujawniło się ono w kulturze. Ogłoszony przez Horacego konkurs na nieśmiertelność – zauważa Boia – został odwołany. Starożytne cywilizacje, choć miały takie możliwości, nie zbudowały jednak ekspansywnego społeczeństwa technologicznego. Nie chciały zmieniać porządku rzeczy, bo nie oczekiwały żadnej lepszej przyszłości. Obca im była idea doskonalenia rzeczywistości, postępu i wniesionej przez chrześcijaństwo linearnej wizji dziejów. Żadnemu Chińczykowi nie przyszło do głowy zobaczyć na własne oczy, co się dzieje na drugim końcu świata. Takie były – podkreśla – wszystkie cywilizacje z wyjątkiem jednej: Zachodu. Europejczycy ekspandowali w każdym możliwym kierunku, chłonąc od Wschodu i starożytności filozofię, naukę i wynalazki. Zachód bowiem, w stopniu znacznie większym niż jakakolwiek inna cywilizacja, jest zarówno materialistyczny, jak i idealistyczny. Nawet nietolerancja i prześladowania religijne to jedynie wyraz politycznej reakcji obronnej wobec wolnej myśli. W innych częściach świata do represji uciekano się rzadziej, bo nie było powodów, by je stosować. Korzystaliśmy z niewolnictwa, ale tylko w naszej kulturze istniała siła doskonalenia się i sprawiedliwości, która je wykorzeniła. Do tego dochodzi wiara w nieśmiertelność po śmierci, okupiona przekształcaniem świata tu i teraz. Bez niej pojawia się apatia i wielkie nic, co zdaniem Boi może dziś zaszkodzić konstrukcji całej cywilizacji. Rzecz bowiem w kreatywności i duchu przemian ożywiającym tylko człowieka Zachodu. Okazuje się, że Chiny to wciąż niedorozwinięty patchwork o bardzo rozwiniętej gospodarce rynkowej i totalitarnym ustroju politycznym. Są istniejącym dowodem na to, że Zachód łatwiej imitować niż zająć jego miejsce jako czynnik twórczy. Trudno bowiem zaoferować światu atrakcyjny model kulturowy. Chińczycy tego próbują, ale kultura, jak tłumaczy autor, to kwestia uwodzenia i nierealizacji partyjnego planu.

Co nas więc czeka? Każdy scenariusz jest możliwy. Boia radzi, by po prostu przestać przepraszać za przeszłość, odrzucić apokaliptyczne wizje i ponury pesymizm. Człowiek Zachodu potrafił nie tylko wierzyć w idee, lecz także racjonalnie stapiać stare z nowym, a nawet obcym, i czerpać z nich siłę. Jest istotą najbardziej zdolną do adaptacji. Więc, jak mówią Niemcy: „Noch ist Polen nicht verloren!" – nie wszystko stracone.

Lucian Boia, „Koniec Zachodu? W stronę jutrzejszego świata", PIW 2024

eprasa.pl 36fbceef5c

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Przypowieść o miłości własnej wielkich ludzi

Czytam listę tytułów, autorów i reżyserów, których w tym sezonie ma nam pokazać Teatr Telewizji pod nowym kierownictwem. Dostajemy ciekawe oferty, ale mam też wątpliwość.

Jedną z misji TVP powinno być przybliżenie widzom i utrwalenie dla potomnych osiągnięć teatrów z całej Polski. Czy jednak sytuacja, w której przygniatająca większość spektakli to przeniesienia z tych teatrów, czegoś nas nie pozbawia? Znika telewizyjny teatr jako odrębny gatunek. Ekipa Michała Kotańskiego idzie w gruncie rzeczy drogą poprzedników, którzy redukowali własne produkcje.

Zarazem dostajemy coś ważnego. Po „1989", musicalu z krakowskiego Teatru im. Słowackiego, mieliśmy „Dowód na istnienie drugiego", sztukę Macieja Wojtyszki w jego reżyserii. Wojtyszko to klasyk Teatru Telewizji, takie jego spektakle, jak „Mistrz i Małgorzata", „Ferdydurke" czy „Amadeusz" przeszły do historii.

Ale „Dowód..." to inscenizacja z Teatru Narodowego. Historię kilku spotkań Witolda Gombrowicza ze Sławomirem Mrożkiem Wojtyszko wystawił w 2014 r. Teraz do telewizyjnego studia przeniesiono dekoracje Pawła Dobrzyckiego, błyskotliwą muzykę Piotra Mossa i niemal całą obsadę. Wyjątkiem jest rola Mrożka. Cezarego Kosińskiego zastąpił Przemysław Stippa (także z Narodowego).

Jako dramatopisarz Wojtyszko lubi pokazywać historię (polityczną i kultury) przez pryzmat biografii. Często szuka konfrontacji wybitnych jednostek. Czasem to fikcja, ale w latach 60. Gombrowicz naprawdę spotykał się we Włoszech z Mrożkiem. Choć w sztuce odgraża się, że opisze to w swoich dziennikach, co ciekawe, przemilczał te kontakty. Wspomina o nich za to Mrożek. Był młodszy i onieśmielony tymi spotkaniami. A jednak to Gombrowicz o nie zabiegał.

Zabiegał by, przynajmniej według tego tekstu, popisywać się tyradami o własnym geniuszu. Mrożek, zablokowany chorobliwą nieśmiałością, jest głównie widzem. Dla Gombrowicza był to eksperyment. Chciał znaleźć w drugim człowieku potwierdzenie własnego istnienia. W kimś wystarczająco podobnym do siebie samego, wrażliwym na te same paradoksy świata.

Ta opowieść ma siłę wiązanki błyskotliwych anegdot o wielkich, nie całkiem zrozumianych przez świat ludziach. W rozmowie po spektaklu Wojtyszko uznał Gombrowicza za najwybitniejszego polskiego myśliciela XX w. W samym dramacie to chyba nie do końca wybrzmiewa. Ale pytanie, czy można to pokazać najzręczniejszą fabułą.

„Dowód..." to aktorski popis 81-letniego Jana Englerta. Gra on sześćdziesięciokilkuletniego Gombrowicza ze swadą, bawi się rzucanymi przez niego paradoksami, jego sztuczkami i egoizmem. Można bowiem czytać tę sztukę jako kolejną przypowieść o miłości własnej wielkich ludzi. Na tym tle niemal sparaliżowany, wypowiadający pojedyncze słowa Mrożek w wersji precyzyjnego, subtelnego Przemysława Stippy może się zdawać przyćmiony. Choć tym uważniej śledzimy każdy jego grymas. A jak mocno brzmi jego końcowy, wreszcie odkrywający karty monolog będący swoistą mową pogrzebową.

W tle inni znakomici aktorzy: Dominika Kluźniak (żona Mrożka Mara), Kamilla Baar (Rita, późniejsza żona Gombrowicza), Marcin Przybylski (malarz Głaz), Grzegorz Kwiecień i Monika Dryl (małżeństwo Paczowskich). Każde z nich ma chwilę, żeby coś zilustrować i robi to bezbłędnie. Np. Rita Kamilli Baar to kobieta zakochana w mistrzu, wręcz mu oddana.

Ludzie mojego pokolenia oglądają tę rewię nieporozumień z podobnym oddaniem. Dla nas i Gombrowicz (którego jako człowieka nie lubię), i coraz mi bliższy Mrożek byli kosmosem. Po spektaklu Englert powiedział, że moda na nich wraca. Czyżby młodzież od kultury obrazkowej zatęskniła za słowem?

Piotr Zaremba

Moskwa, 23 sierpnia 1939 r. Podpisanie paktu Ribbentrop–Mołotow

Fot. Domena publiczna

Zachód nie planował pomóc Polsce we wrześniu 1939 r.

USA, Anglia i Francja szybko dowiedziały się o planach III Rzeszy i ZSRR, które chciały podzielić między siebie Europę Środkowo-Wschodnią. Nie tylko nie przekazały tych informacji swoim sojusznikom, m.in. w Polsce, lecz także po cichu zrezygnowały z ataku na Niemcy jeszcze przed 1 września 1939 r.

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Po zajęciu Czechosłowacji pod koniec 1938 r. kolejnym celem III Rzeszy stała się Polska. Hitler ponawiał żądania dotyczące przyłączeniu do Niemiec Gdańska, a także budowy eksterytorialnej autostrady łączącej Prusy Wschodnie z resztą kraju. W tym samym czasie od kwietnia 1939 r. Wehrmacht intensywnie przygotowywał się do agresji. Polska, widząc, że znajduje się w coraz trudniejszej sytuacji, starała się uzyskać gwarancje bezpieczeństwa i wsparcia ze strony Francji i Anglii. Zachód z kolei liczył na to, że do antyniemieckiego sojuszu uda się wciągnąć Związek Radziecki. Podczas rozmów radzieccy przywódcy jasno mówili, że są żywo zainteresowani poszerzeniem swojego stanu posiadania

eprasa.pl 36fbceef5c

w Europie. Nie ukrywali zamiarów zajęcia państw bałtyckich. Również szczerze przedstawiali naszym zachodnim sojusznikom swoje intencje wobec Polski.

WIDMO WOJNY W GABINETACH

4 października 1938 r., a więc kilka dni po podpisaniu traktatu monachijskiego dotyczącego przyłączenia części terytoriów Czechosłowacji do III Rzeszy, Władimir Potiomkin, wiceminister spraw zagranicznych ZSRR, powiedział ambasadorowi francuskiemu w Moskwie Robertowi Coulondre'owi: „Nie widzę dla nas innego wyjścia aniżeli czwarty rozbiór Polski".

Wobec zaostrzających się stosunków międzynarodowych Anglia i Francja zdawały się coraz bardziej zakładać, że Polska znajduje się na straconej pozycji. Już w kwietniu 1939 r. sztaby francuski i angielski ustaliły, że los naszego kraju będzie zależał nie od wyników początkowych zmagań, lecz od ostatecznego rezultatu wojny. Mocarstwa zachodnie przewidywały, że w razie wojny będą unikać totalnej konfrontacji z Niemcami, aby zyskać czas na zbudowanie własnych sił zbrojnych. 16 sierpnia zastępcy szefów sztabów generalnych Brytyjskich Sił Zbrojnych oceniali: „Jest całkowicie jasne, że bez wczesnej i skutecznej pomocy rosyjskiej Polacy nie mogą mieć nadziei na powstrzymanie niemieckich ataków na lądzie i w powietrzu dłużej niż przez ograniczony czas".

PO CZYJEJ STRONIE BĘDZIE STALIN?

W 1939 r. ZSRR prowadził rozmowy z przedstawicielami Francji i Wielkiej Brytanii w sprawie wspólnych przedsięwzięć mających zapewnić obronę Polsce. W sierpniu 1939 r. w czasie pertraktacji w Moskwie francuscy sojusznicy zgadzali się nawet na wkroczenie Armii Czerwonej na terytorium II Rzeczypospolitej w celu powstrzymania potencjalnego ataku III Rzeszy. Zdecydowali się na taką deklarację mimo jasnego stanowiska Polski, która kategorycznie odrzucała taką ewentualność. Francji i Anglii zależało przede wszystkim na tym, żeby nie doszło do porozumienia Hitlera ze Stalinem.

Równolegle do pertraktacji Moskwy z Paryżem i Londynem odbywały się tajne rozmowy niemiecko-radzieckie. Hitler pragnął pozyskać zgodę Stalina na atak na Polskę za pomocą układu. Wierzył, że pomoc ZSRR wykluczy realne zaangażowanie się w przyszłą wojnę z Polską innych mocarstw, a Niemcy nie będą musiały walczyć na kilka frontów. Oferta III Rzeszy była dla ZSRR znacznie atrakcyjniejsza. Po zgodzie Adolfa Hitlera na rozbiór krajów Europy Środkowo-Wschodniej i ustaleniu niemiecko-sowieckiej granicy stref wpływów 21 sierpnia 1939 r. Stalin zerwał rokowania z Wielką Brytanią i Francją i po osobistym telegramie Hitlera wyraził zgodę na bezzwłoczny przylot do Moskwy Joachima Ribbentropa w celu sformalizowania współpracy.

23 sierpnia 1939 r. w Moskwie został podpisany pakt Ribbentrop–Mołotow, będący formalnie układem o nieagresji pomiędzy III Rzeszą i ZSRR. W tajnym protokole zawarto podział między strony stref wpływów w Europie Środkowej. Rozbiór terytoriów lub rozporządzanie niepodległością suwerennych państw dotyczyło Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, Finlandii i Rumunii.

KTO WIEDZIAŁ O PAKCIE?

Państwa zachodnie były bardzo dobrze poinformowane o postępie niemiecko-radzieckich rozmów. Dzięki Hansowi von Herwarthowi, osobistemu sekretarzowi ambasadora Rzeszy w Moskwie, już w połowie lipca zarówno Francuzi, jak i Brytyjczycy dowiedzieli się, że blisko jest do porozumienia Hitlera ze Stalinem, które będzie obejmowało podział wpływów w naszym regionie, ponieważ tylko wódz Rzeszy jest gotów „podarować" radzieckiemu przywódcy m.in. państwa bałtyckie. Już dzień po podpisaniu paktu Ribbentrop–Mołotow jego treść łącznie z tajnym protokołem była znana na Zachodzie. Według pamiętników amerykańskiego dyplomaty Charlesa Bohlena i ujawnionej korespondencji dyplomatycznej ambasady USA z sekretarzem stanu Cordellem Hullem, szczegóły porozumienia były znane rządowi USA już 24 sierpnia 1939 r. dzięki przekazaniu jej Bohlenowi przez Herwartha. Tego samego dnia treść tajnego protokołu została przekazana Hullowi za pomocą depeszy przez ambasadę USA w Moskwie.

Amerykanie natychmiast powiadomili Brytyjczyków, a ci Francuzów. Paryż wszedł w posiadanie tych informacji także z innego źródła, za pomocą swojego ambasadora w Berlinie Roberta Coulondre'a, który był w stałym kontakcie z otoczeniem Hansa Lammersa, ówczesnego szefa Kancelarii Rzeszy. Związanie się dwóch totalitarnych reżimów oznaczało porażkę Francji i Anglii, które były już pewne, że Niemcy zaatakują Polskę.

Te wiadomości, mające przecież olbrzymie znaczenie dla Warszawy, nie zostały przekazane naszym przedstawicielom, mimo bliskich w tym czasie kontaktów zarówno na szczeblu politycznym, jak i wojskowym. Wyrażano natomiast zaniepokojenie, czy Polska nie ustąpi ze swych dotychczasowych pozycji, obawiając się okrążenia.

GWARANCJE CZY BLEF?

Sojusz francusko-polski, funkcjonujący przez całe dwudziestolecie i wielokrotnie potwierdzany, zakładał ofensywę Francji w wypadku napaści Niemiec na Polskę. Zbliżenie Berlina i Moskwy dramatycznie zaostrzało sytuację międzynarodową i wymagało zajęcia stanowiska wobec nieuchronnego konfliktu. Wieczorem 23 sierpnia 1939 r. w Paryżu obradował Komitet Stały Obrony Narodowej, który odrzucił wniosek, by wycofać się z sojuszniczych zobowiązań wobec Polski, kupując w ten sposób Francji dodatkowe kilka miesięcy pokoju niezbędnego do finalizacji forsownych zbrojeń.

W Londynie już 25 sierpnia na forum Połączonego Podkomitetu Planowania oceniono, że w zaistniałej sytuacji możliwość utrzymania długiego i stabilnego frontu przez Polskę stała się niemożliwa. Tym samym Polacy jako sojusznik angażujący Niemcy od wschodu stracili znaczenie strategiczne. Dzień później płk John Slessor, oficer RAF, konkludował: „Nie możemy mieć nadziei na uchronienie Polski przed podbojem – wydaje się nawet możliwe, że może ona zostać podzielona między Niemcy i Rosję".

Mimo tak jednoznacznej oceny sytuacji 25 sierpnia w Londynie został podpisany polsko-brytyjski układ o wzajemnej pomocy, który zakładał zapewnienie wsparcia przez Wielką Brytanię w przypadku wybuchu wojny. Polskie władze cały czas

eprasa.pl 36fbceef5c

były zapewniane, że w obliczu wojny uzyskają znaczącą pomoc, mimo iż w wewnętrznych rozmowach Francuzi i Brytyjczycy byli zgodni, iż II Rzeczpospolita nie ma szans w konfrontacji z III Rzeszą wspieraną przez ZSRR.

Jak opisywał po latach Jan Karski: „Ani Brytyjczycy, ani Francuzi nigdy nie myśleli kategoriami angielsko-francusko-polskiego sojuszu na wypadek, gdyby wojna stała się nieuchronna. Dążyli natomiast do sojuszu angielsko-francusko-sowieckiego. Bez Rosji, twierdzili, wojna będzie długotrwała, a jej ciężar będą ponosić Wielka Brytania i Francja. Co zaś do Polaków, będą musieli wytrzymać pierwszy cios, bronić się tak długo, jak zdołają i możliwie jak najbardziej osłabić niemiecką machinę wojenną, co da sojusznikom zachodnim czas na przygotowanie się. Ale wcześniej czy później Polska będzie musiała ulec".

„UDZIELIMY WSZELKIEJ MOŻLIWEJ POMOCY"

1 września Niemcy zaatakowały Polskę. Rządy brytyjski i francuski wystosowały ultimatum z żądaniem natychmiastowego wycofania Wehrmachtu z terytorium Rzeczypospolitej i Wolnego Miasta Gdańska. W konsekwencji zignorowania tych warunków Francja i Wielka Brytania wypowiedziały Niemcom wojnę. Dzień wcześniej Francuzi ogłosili mobilizację i rozpoczęli koncentrację wojsk. Zgodnie z ustaleniami sojuszniczymi armia francuska w ciągu trzech dni miała stopniowo przystępować do działań ofensywnych o ograniczonych celach. Główne uderzenie miało nastąpić 15. dnia po rozpoczęciu mobilizacji, a więc 17 września. 7 września Francuzi po przekroczeniu granicy francusko-niemieckiej zajęli część Zagłębia Saary, łamiąc opór niemieckich jednostek granicznych oraz czyszcząc graniczne pola minowe. Równolegle do tych wydarzeń 4 i 6 września w Paryżu odbyły się międzysojusznicze konferencje wojskowe. Uczestnicy byli zgodni, że nie należy podejmować żadnej generalnej ofensywy. Według zgromadzonych Polska musiała sama ponieść główny ciężar niemieckiej napaści, doznać klęski, a jej niepodległość miała zostać przywrócona już po wojnie.

12 września w Abbeville doszło do spotkania alianckiej Najwyższej Rady Wojennej. W tamtym momencie sztab sojuszniczy dysponował meldunkami, które świadczyły, że atak ZSRR na Polskę jest przesądzony. Mimo iż po spotkaniu premierzy obu krajów zadeklarowali w prasie, że będą „udzielać wszelkiej możliwej pomocy polskiemu sojusznikowi", w Abbeville podjęto ostateczną decyzję o nieprzeprowadzaniu generalnej ofensywy lądowej na froncie zachodnim, a także ograniczeniu działań powietrznych RAF nad Niemcami. W zamyśle aliantów Polska miała w miarę swoich możliwości osłabić potencjał militarny III Rzeszy i dać Wielkiej Brytanii i Francji czas na przygotowanie się do konfrontacji.

„Nie ma pośpiechu, skoro czas pracuje dla nas" – w cyniczny sposób podsumował dyskusję premier Wielkiej Brytanii Neville Chamberlain. „Przyczyną faktycznego porzucenia Polski była zarówno ostrożna, defensywna strategia gen. Gamelina [szefa francuskiego sztabu generalnego – S.P.], jak też niezachwiane przekonanie o rychłym wystąpieniu Sowietów. Brało się stąd, że alianccy przywódcy dysponowali zarówno dokładnymi danymi o treści moskiewskich rozmów Ribbentropa, jak też o tekście sierpniowego paktu, które zresztą zataili przed Polakami, w obawie przed ich przedwczesną kapitulacją" – podsumował stanowisko sojuszników Polski w swojej książce Paweł Wieczorkiewicz.

> W zamyśle aliantów Polska miała w miarę swoich możliwości osłabić potencjał militarny III Rzeszy oraz dać Wielkiej Brytanii i Francji czas na przygotowanie się do konfrontacji

„ANTYNIEMIECKA" AGRESJA 17 WRZEŚNIA

17 września Armia Czerwona uderzyła na Polskę. Wcześniej Stalin zwlekał z decyzją o natarciu. Wydał rozkaz do ataku dopiero, gdy stało się jasne, że Francja nie uderzy na III Rzeszę. W odpowiedzi na atak rządy Wielkiej Brytanii i Francji złożyły w Moskwie noty protestacyjne. Szybko jednak zaczęło się publiczne usprawiedliwianie ataku. 1 października 1939 r. Winston Churchill stwierdził w przemówieniu radiowym: „To, że armie rosyjskie musiały stanąć na tej linii, było jasne i niezbędne ze względu na niebezpieczeństwo grożące Rosji ze strony nazistowskich Niemiec. W każdym razie linia jest tam i został utworzony front wschodni, którego nazistowskie Niemcy nie ośmielą się napaść".

Tego samego dnia Ivone Kirkpatrick, ekspert z Foreign Office, sugerował, aby zaakceptować linię Curzona jako podstawę przyszłej granicy polsko-radzieckiej. Nawet w prasie brytyjskiej poza głosami oburzenia ukazywały się artykuły tłumaczące agresję ZSRR jako ruch w istocie antyniemiecki. Mimo jawnej współpracy niemiecko-radzieckiej alianci liczyli, że uda się przeciągnąć Stalina na swoją stronę. Już wtedy bez wahania byli gotowi na oddanie Rosjanom połowy Polski, w końcu nic ich to nie kosztowało.

WYKORZYSTANI

We wrześniu 1939 r. Anglia i Francja potraktowały Rzeczpospolitą instrumentalnie, zgodnie ze swoimi potrzebami. Przyrzekły pomoc w konflikcie z Niemcami, ale udzieliły jej w znikomym zakresie. W Paryżu i Londynie zdecydowano o tym, że ten pierwszy etap starcia z Niemcami można zrealizować kosztem Polaków, którzy od dawna znajdowali się na straconej pozycji. Od samego początku kluczowym graczem i najbardziej pożądanym sojusznikiem w tej części Europy był Związek Radziecki. Dlatego pakt Ribbentrop–Mołotow ostatecznie przekreślał udzielenie Polsce jakiejkolwiek realnej pomocy przez Zachód, który nie miał zamiaru ginąć za II RP. Nie poinformowano sojusznika o swoich realnych zamiarach, jak i o treści niemiecko-radzieckiego paktu, obawiając się, że Polska mogłaby bez walki poddać się Hitlerowi. A tego w swojej perfidii i obłudzie alianci za wszelką cenę chcieli uniknąć.

eprasa.pl 36fbceef5c

GABRIELA MUSKAŁA*

Ukochane miejsce na Ziemi

Wśród poruszonych wielką wodą znanych osób znalazło się kilkoro takich, których działanie mogło mocniej szarpnąć odbiorców za serce. Również dlatego, że wyszło poza utarte ramy medialnych reakcji.

Oto Jakub Błaszczykowski (urodzony w Truskolasach koło Częstochowy), były kapitan piłkarskiej drużyny narodowej, po raz kolejny udowodnił, co znaczy szybkość działania i szeroki gest. Podobnie jak po rozpoczęciu wojny na Ukrainie i tym razem wsparł potrzebujących, wpłacając 250 tys. zł. Co prawda fundacja Ludzki Gest, której jest założycielem, ma pomagać chorym dzieciom i młodzieży z niepełnosprawnościami, ale jak widać, w krytycznych sytuacjach potrafi też działać szerzej. I dać innym inspirację do konkretnego wsparcia. Takiego jak m.in. w Nysie, gdzie do obrony przed żywiołem stawili się lokalni siatkarze. Na stronie drużyny PSG Stal Nysa pojawił się wpis: „Jesteśmy na miejscu i walczymy o Nysę!".

Jednak najintensywniejsze i bardzo osobiste relacje z bliskich miejsc, które zniszczyła powódź, pojawiały się na kontach społecznościowych Gabrieli Muskały. Aktorka, a także sprawna scenarzystka i dramatopisarka, operując słowem, obrazem i emocjami, potrafiła zarówno oddać, jak i budować napięcie.

Gdy była jeszcze nadzieja, iż żywioł da się ujarzmić, pisała: „Dziś myślami i całym sercem z moim ukochanym miejscem na Ziemi – z Kotliną Kłodzką. Ołdrzychowice Kłodzkie! Kłodzko! Wszystkie miejscowości w tym najpiękniejszym zakątku Polski, znów zagrożone powodzią...".

Kiedy wielka woda szła już jak po swoje, zgarniając wszystko po drodze, aktorka uzupełniła serię dramatycznych zdjęć m.in. opisem: „Tak wyglądają teraz Ołdrzychowice Kłodzkie (widok z Ośrodka Zdrowia – domu, w którym się wychowałam)".

Podpinała też linki do działań innych osób, m.in. zaangażowanych w pomoc zwierzętom, przewożących je z zagrożonych terenów w bezpieczne miejsca.

Gdy woda zaczęła opadać, na załączonych fotografiach odsłonił się taki ogrom zniszczeń, że nawet Gabrieli Muskale zabrakło słów. Szybko jednak spojrzała na efekty kataklizmu także z szerszej perspektywy.

„ILUVIA znaczy POTOP" – czytamy nagłówek jednego z wpisów. Obok jest zdjęcie wnętrza, w którym drobna postać aktorki wydaje się jeszcze bardziej krucha i taki tekst: „Kłodzko. Kościół Franciszkanów. Nad moją głową, na ścianie, oznaczenia wysokości, do jakich doszła tu woda, w kolejnych powodziach, które przez setki lat nawiedzały to miasto: 1783 r., 1938 r. i 1997 r.

Poza zaznaczonymi tu, największe odnotowane powodzie w Kłodzku miały jeszcze miejsce w latach: 1310, 1475, 1598, 1883, czyli co ok. 100, 150, 200 lat. Powódź stulecia w 1997 r. nastąpiła po niespełna 60 latach po tej w 1938 r. Dzisiejszy, wodny kataklizm przyszedł po 27 latach. A przecież po drodze był jeszcze 2010 r. Przerwy w tych tragediach, związanych z wielką wodą znacząco się kurczą.

Niech te liczby dadzą do myślenia tym, którzy mają (nomen omen) wpływ na zapewnienie Obywatelom w przyszłości większej ochrony i bezpieczeństwa w momentach, w których przyroda znów postanowi pokazać swoją niszczycielską moc.

Dziś woda w Kotlinie Kłodzkiej opadła. Moi dzielni Krajanie po raz kolejny zaczynają odbudowywać – czasami od zera – to, co zabrał im żywioł".

Wpis uzupełniony został linkami do sprawdzonych pomocowych zbiórek.

Jolanta Gajda-Zadworna

**Aktorka, scenarzystka, dramatopisarka*

Fot. Podlewski/Akpa, @gabriela_muskala/instagram

eprasa.pl 36fbceef5c

SŁODKO-SŁONY

Pyszna szałwia

ANNA MONICKA

Jeszcze niedawno można było ją kupić tylko w sklepach ze zdrową żywnością albo jako gotowy deser, w kawiarniach, a i to nie wszystkich, bo rzadko komu udawało się ją dobrze zrobić. Szare, niepozorne kuleczki, nieco większe od maku, polecane przez dietetyków zwłaszcza osobom, które chcą w miarę bezboleśnie zrzucić kilka kilogramów albo walczą z cukrzycą (jest ich zatrważająco dużo). Rówieśniczki córki się nimi zajadają, wymieniają się przepisami i gdy któregoś dnia szukałam pomysłu na fajną przekąskę, moja nastolatka uznała, że powinnam przygotować właśnie pudding z chia. „Zobaczysz, że zrobi furorę – przekonywała – oby tylko tata nie wyrzucił słoja z lodówki". Zanim zamieni się w coś pysznego, wygląda nieco podejrzanie.

Kupiłam więc sporą porcję nasion oraz mleko migdałowe (może być też owsiane lub kokosowe), bo trzeba je nim zalać i odstawić w chłodne miejsce, żeby dobrze napuchły. Zachowują się pod tym względem podobnie do lnu – pęcznieją, otaczają się naturalnym żelem i zaczynają przypominać żabi skrzek, tylko smak mają o niebo lepszy. Zanim zwiększą swoją masę, mieszamy je kilka razy i jeśli widzimy, że galareta z kuleczkami za mocno tężeje, dolewamy kolejną porcję mleka (konsystencja ma przypominać jogurt).

Chia, czyli nasiona szałwii hiszpańskiej, które u nas wciąż są nowinką kulinarną, w Meksyku i okolicach są znane od tysięcy lat. Były podstawą diety (po kukurydzy i fasoli) i jedną z najbardziej zdrowych roślin oleistych, a ich nazwa pochodzi z języka Azteków. Podobno jedli je wojownicy, żeby mieć siłę do walki – jest nawet legenda, która głosi, że wystarczyła jedna łyżeczka, a dorosły człowiek mógł maszerować cały dzień, bo nasiona zawierają składniki odżywcze zaspokajające nie tylko głód, lecz także zwiększające wytrzymałość. My testowałyśmy naszą chię w warunkach górskich na wakacjach. Zjadana na śniadanie zaniosła nas jak na skrzydłach na Babią Górę czy Skrzyczne, i to w piekielnym upale.

Napęczniałe nasiona układamy na dnie miseczek i zalewamy musami owocowymi lub galaretkami, najlepiej kwaskowatymi. Moim faworytem są podduszone niesłodzone morele lub śliwki. Na koniec kilka kropli syropu daktylowego. Ten deser to tak naprawdę pełnowartościowe danie, które dziecko może zjeść, zanim wyjdzie do szkoły. Bogate w błonnik, kwasy tłuszczowe, białko, wapń, żelazo, fosfor, magnez. Wypróbujcie, a polubicie.

Fot. Shutterstock, Monicka

WILCZYM OKIEM

Powiedz mi, co jesz

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Powiedz mi, co jesz, a powiem ci, czym jesteś. To jedna z podstawowych zasad w naukach przyrodniczych. Dlatego mamy wiele zwierząt, których intrygujące nazwy w krótki i celny sposób charakteryzują ich biologię.

Na przykład mrówkojad, a w zasadzie mrówkojady, ponieważ w Ameryce Południowej i Środkowej żyją przynajmniej cztery ich gatunki. Mrówki i termity jako pożywienie wymuszają u tych szczerbaków obecność długiego, lepkiego języka i mocnych pazurów do kopania. Jak determinujący to rodzaj pokarmu, pokazuje przykład dzięcioła zielonego, odległego im systematycznie mrówkożernego ptaka, który również posiada narzędzia do kopania – pazury i mocny dziób oraz lepki, kilkunastocentymetrowy język, znacznie dłuższy od dzioba, w stanie spoczynku kilkakrotnie owinięty wokół czaszki.

Z kolei amerykańska kania ślimakojad wyróżnia się długim, zagiętym w haczyk dziobem, nieodpowiednim do polowania na gryzonie, ale znakomitym do wyciągania ślimaków z muszli. W Europie żyje natomiast ostrygojad. Jego długi dziób służy do odwracania kamieni na plażach, pod którymi mogą być mięczaki, a nazwa wskazuje, jak ważnym i licznym składnikiem biomasy morskiej są te zwierzęta. Z kolei o wielkiej liczbie skorupiaków świadczy nazwanie jednej z fok krabojadem.

Jeżeli przeniesiemy się do lasów filipińskich, będziemy mieli szansę spotkać orła małpożera. To jeden z najsilniejszych ptaków drapieżnych, którego grube, mocne łapy służą do chwytania i dławienia szybkich i silnych zwierząt, a masywny dziób do rozbijania ich czaszek i kawałkowania zdobyczy (drapieżne ptaki nie mają zębów, muszą więc rozrywać mięso na małe kawałeczki).

Na południu Afryki żyje wąż jajożer. Mimo że gad jest wąski, jego rozciągliwa paszcza i reszta ciała umożliwiają połknięcie jaja w całości, bez zgniatania, nawet jeżeli jego średnica jest wielokrotnie większa od węża (to tak jakbyśmy połknęli piłkę lekarską). Jajo zostaje przebite wyrostkami kostnymi dopiero w głębi przełyku, gdzie może się rozlać bez obawy utraty zawartości.

Jest jeszcze ptak bąkojad i miodojad, prowadzący ludzi i zabezpieczone przed żądłami grubym futrem zwierzęta do gniazd dzikich pszczół, gdzie korzysta z miodu spływającego po ich splądrowaniu.

Nie zapominajmy też o glonojadzie i rekinie żarłaczu białym, zwanym też ludojadem.

eprasa.pl 36fbceef5c

Andrzej Rafał Potocki

OGNIEM NA WPROST

Największy wybuch od początku wojny

Siły Zbrojne Ukrainy (SZU) przeprowadziły 18 września atak bezzałogowymi statkami powietrznymi na oddalony o 500 km od granicy magazyn rakietowy kacapów w mieście Toropiec w obwodzie twerskim, gdzie składowano do 30 tys. t różnego rodzaju amunicji – pisze Defence Express. Skala zniszczeń jest rekordowa. Ponad 100 dronów uderzyło w jednostkę wojskową 541690 (107. Arsenał Armii Rosyjskiej) Ministerstwa Obrony Federacji Moskiewskiej, najprawdopodobniej największy magazyn amunicji w europejskiej części Rosji. Tryzubom udało się wywołać eksplozję składowanych tam rakiet ziemia–powietrze Grad, S-300 i S-400, a także balistycznych iskanderów i północnokoreańskich KN-23. Był to największy wybuch od początku wojny i ma wszelkie szanse przejść do historii. W wyniku fali uderzeniowej wybite zostały szyby w promieniu 5 km od samego magazynu. Ponadto siłę uderzenia potwierdza portal rejestrujący trzęsienia ziemi VolcanoDiscovery. Po ukraińskim ataku w Toropcu odnotowano 2,8 w skali Richtera. Taki efekt sejsmiczny mógł powstać jedynie w wyniku jednoczesnej detonacji kilku tysięcy ton amunicji naraz – zauważają analitycy. Porównując eksplozję do detonacji bomby atomowej, mieliśmy do czynienia z 30 kt mocy głowicy nuklearnej. Na filmach widać dym bijący w niebo na wysokość tysięcy metrów. Zaatakowany skład był ważny dla zaopatrzenia wojsk Kremla w obwodzie kurskim. Zniszczenie tej amunicji ograniczy możliwości okupantów w odbijaniu zajętych przez SZU terenów Kacapii. Kto by przypuszczał, że Ukry przerobią spokojne miasteczko Toropiec na czynny wulkan.

Na cmentarzu wojennym na wzgórzu nieopodal wsi Dytiatyn w obwodzie iwanofrankiwskim (dawniej stanisławowskim) odbyły się uroczystości upamiętniające 104. rocznicę bitwy z Moskalami. W tym miejscu 16 września 1920 r. w trakcie wojny polsko-bolszewickiej niewielki oddział Wojska Polskiego (III batalion 13. pułku piechoty) stoczył walkę z dwiema brygadami Armii Czerwonej. Polacy zdołali wówczas przez kilka godzin powstrzymywać przesunięcie na zachód oddziałów bolszewickich. Po ośmiu godzinach walki na szczycie wzgórza 385 wroga kawaleria otoczyła obsługę baterii oraz 2. pluton 9. kompanii osłaniający działa. Grupa ta, dowodzona przez kpt. Adama Zająca, nie odpowiedziała na wezwanie do kapitulacji. Po zużyciu amunicji większość żołnierzy poległa w walce wręcz. Ruscy Kozacy dobili ciężko rannych. Bój przeszedł do tradycji oręża polskiego jako wzór wypełnienia do końca żołnierskiego obowiązku i drugie, obok Zadwórza, „polskie Termopile". W uroczystości wzięli udział również przedstawiciele ukraińskich władz wojewódzkich z Iwano-Frankiwska. Niech postawa oficerów i żołnierzy spod Dydiatyna będzie wzorem dla Ukraińców walczących dziś pod Pokrowskiem i Kurskiem, a wspólne obchody symbolem tego, co nas łączy.

Wkrótce na Ukrainę trafią obiecane pierwsze myśliwce Mirage 2000. Maszyny powinny okazać się dużym wzmocnieniem armii obrońców. Tym bardziej że mają być to warianty Mirage 2000-5F, dodatkowo zmodyfikowane specjalnie z myślą o trwającej wojnie. Z informacji francuskiego dziennika „Sud Ouest" wynika, że Ukraina otrzyma pierwsze samoloty (nie jest znana ich dokładna liczba) jeszcze przed końcem br. Będą one uzupełnieniem innych zachodnich myśliwców wykorzystywanych przez Ukraińców, czyli F-16, których dostawy rozpoczęły się w sierpniu. Ogólnie Mirage'e 2000-5F sprawdzają się najlepiej w atakach na cele powietrzne. Oprócz wrażych samolotów mogą niszczyć drony i pociski manewrujące. Teoretycznie francuski myśliwiec w jednym locie ma możliwość strącenia ok. 30 rakiet samosterujących. Będzie to właściwe uzupełnienie dla przekazywanych Ukrainie F-16. Trochę to trwało, ale lepiej późno niż wcale.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 36fbceef5c

Michał Korsun prezentuje:
Tusk prawie jak Zełenski

Wycinki z przeszłości

Biskupin – ta nazwa do dziś wywołuje zainteresowanie i obiecuje wyprawę w przeszłość, ale w sierpniu 1933 r. była to prawdziwa sensacja! „Pierwsze odkrycie w Polsce osady przeddziejowej z zachowaną konstrukcją drewnianą" – cieszono się w „Kalendarzu Ilustrowanego Kuryera Polskiego na rok 1934" i donoszono o dalszych działaniach w tej sprawie: „Instytut Prehistoryczny Uniwersytetu Poznańskiego rozkopał osadę. Znaleziono wspaniale zachowane posadzki drewniane i części ścian o bardzo ciekawej konstrukcji, wiele narzędzi kościanych i rogowych, liczne ozdoby brązowe, ceramikę, szczątki pokarmów roślinnych i zwierzęcych. Wykopalisko było wspaniale zachowane, zapewne dzięki szybkiemu zarośnięciu roślinnością bagienną. Odkryta osada pochodzi z wczesnej epoki żelaznej (800–500 lat przed Chrystusem) i zbudowana została przez ludność kultury łużyckiej".

Dziś dzięki badaniom dendrologicznym wiemy, że drewno dębowe na budowę zostało ścięte w latach 747–722 p.n.e. Na zdjęciu widzimy drewnianą posadzkę chaty z ułożonym z kamieni paleniskiem, obok drogi wymoszczone drewnem i inne chaty.

Wspomnijmy tu też nazwisko odkrywcy Biskupina Walentego Szwajcera, nauczyciela ze Żnina, który dostrzegł znaczenie lokalnego grodziska i skutecznie zaalarmował prof. Józefa Kostrzewskiego, wielki autorytet archeologiczny tamtych czasów.

(mk)

Fot. Andrzej Wiktor, referencje Shutterstock x 2

Z WOLEJA

Umrzeć, aby wygrać

Ryszard Czarnecki

Teraz, po agresji Moskwy na naszego wschodniego sąsiada, ukraińskie tenisistki po zakończonym meczu nie podają ręki Rosjankom. Jednym się to podoba, innym mniej. Jednak, obiektywnie rzecz biorąc, to kaszka z mleczkiem w porównaniu z tym, co działo się po wcześniejszych napaściach Związku Sowieckiego.

Do historii przeszedł półfinałowy mecz piłki wodnej igrzysk olimpijskich w Melbourne (1956) między ZSRS a Węgrami. Sowieci dopiero stłumili powstanie Madziarów, a nasi bratankowie uznali, że trzeba wziąć rewanż w basenie za spływające krwią ulice Budapesztu. I tak zrobili. Skądinąd przed przylotem do Australii nawet nie wiedzieli, co się stało w ich ojczyźnie: internetu nie było, a przed igrzyskami, gdy zaczęła się sowiecka interwencja, skoszarowano ich w Czechosłowacji. Rodacy Nemeczka i „Chłopców z Placu Broni" przed meczem o finał omówili taktykę: mieli prowokować Sowietów, a także obrażać po rosyjsku, którym dobrze się posługiwali, za to nie znał go sędzia ze Szwecji! Węgrzy, mistrzowie olimpijscy z poprzednich IO w Helsinkach, wygrali 4:0, ale przede wszystkim zapamiętano to, że na pływalni trwała regularna wojna. Węgrzy lali Ruskich, ci nie pozostawali dłużni, a pod koniec meczu rzeczywiście woda zrobiła się czerwona po tym, jak sowiecki waterpolista Prokopow rozbił luk brwiowy węgierskiemu zawodnikowi Zadarowi (po latach Madziar przyznał, że sprowokował rywala). Dla naszych bratanków był to więcej niż mecz: „Przynajmniej w ten sposób mogliśmy się im oprzeć" – powiedział później jeden z węgierskich mistrzów olimpijskich. Sowieci utopili powstanie Węgrów we krwi, ale na igrzyskach z nimi przegrali.

Podobne pozasportowe narodowe ambicje obudziła rywalizacja na mistrzostwach świata hokeistów Czechosłowacji i ZSRR w 1969 r., a więc parę miesięcy po inwazji Sowietów na ich kraj. Pierwotnie hokejowy mundial miał się odbyć... w Czechosłowacji, ale Moskwa zmusiła Pragę do zrezygnowania z organizacji turnieju. Kapitan drużyny naszych południowych sąsiadów mówił po latach: „Powiedzieliśmy sobie, że jeśli mielibyśmy nawet umrzeć na lodowisku, musimy ich pokonać". I tak się stało. Czechosłowacja wygrała ze Związkiem Sowieckim 2:0 i 4:3, ale będąc już dużo mniej zmotywowana, dwukrotnie uległa Szwedom i nie zdobyła złota.

Polscy pięściarze, piłkarze, hokeiści i siatkarze też mieli swoje sportowe i pozasportowe porachunki z Sowietami. Ale o tym już następnym razem...

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 36fbceef5c

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Czego „uczy” nas Donald Tusk?

Czy premier Donald Tusk ma jakiś większy plan, czy raczej miota się, jak przecież sporo ludzi, między swoimi ambicjami, obsesjami, lękami i nadziejami? Czy w swoich politycznych działaniach jest osobą bardziej racjonalną, czy emocjonalną?

ZAŁOŻENIE

Na potrzeby dalszej analizy załóżmy, że objąwszy ponownie urząd premiera, Donald Tusk działa według jakiegoś większego planu, tj. w zasadzie racjonalnie. Nie chodzi nam jednak o psychikę obywatela Tuska, ale o zrozumienie, jak postępowanie szefa rządu może wpłynąć na losy naszego kraju.

POLE OBSERWACJI DONALDA TUSKA

Nasze kolejne założenie mówi, że ma on lepszy od większości naszych polityków wgląd w sposób myślenia istotnej części europejskich elit. W klimatach nieformalnych mógł rozmawiać z ludźmi z górnych półek polityki, biznesu i mediów. Z ludźmi, według których świat dzieli się na tych, co definiują, i na tych, co są definiowani. Na tych, co manipulują, i na naiwnych, którzy są tylko „silni razem”.

PRZYPUSZCZENIE

A jeśli jakaś część unijnych elit, z którymi premier Tusk jest w kontakcie, już pożegnała się z Europą jako tym unikalnym kontynentem, który potrafi jednocześnie osiągać dostatek, bezpieczeństwo i demokrację? Jeśli już po cichu pogodzili się z tym, że „lud prosty” będzie gotów oddać prawdziwą wolność i demokrację w zamian za to, że będzie mógł względnie bezpiecznie bawić się wolnością konsumpcji cyfrowych zabawek?

A co, jeśli w związku z powyższym obecny premier już uznał, że opowieść o *tymczasowości* łamania prawa, przegięcia tu i tam w celu przywrócenia rządów prawa, coraz bardziej jest tylko opowieścią? Bo wszystkich nas czeka mniej lub bardziej twarda, ale jednak jakoś autorytarna przyszłość?

A co, jeśli Tusk już dostrzega, że nowy główny nurt UE wykuwa się już w coraz bardziej autorytarnych klimatach?

NARRACYJNA NIEZBĘDNOŚĆ PRAWORZĄDNOŚCI

Bo czymże jest dla obecnie rządzących „praworządność”? Słowo wytrych, hasło niemal całkiem pozbawione treści, zamulone przez dualizm prawny, który zafundowali nam wykonujący zlecone przez Tuska zadania bodnarowcy w komitywie z częścią elit Unii. Przecież w UE nie brakuje przykładów stosowania podwójnych standardów, ułomności proceduralnych, pozornej moralności.

Ale ponieważ wśród środowisk, dzięki którym Tusk ponownie zyskał władzę, byli także ludzie naprawdę wierzący w wartość państwa prawa, narracji tłumaczącej bezprawie wyższą – *praworządnościową* – koniecznością nie można porzucić z dnia na dzień.

PRAWDZIWE ZAGROŻENIA

Jednak gdy przychodzą prawdziwe zagrożenia – a jak zaskakujące w swej skali potrafią być, pokazuje choćby obecna powódź – liczy się sprawność działania wybranych instytucji. Pustym, a w najlepszym razie rozmytym słowem „praworządność” mało kto się wtedy przejmuje. Lekceważy się procedury, które przeszkadzają szybko (czasem ryzykownie, w warunkach szczątkowej wiedzy) podejmować decyzje i sprawnie działać. A przypominanie o prawach człowieka czasem tylko wyostrza pole wyboru między mniejszym a większym złem.

MOŻE NIE WIE, W CO GRA

A co, jeśli Tusk już dostrzega, że nowy główny nurt Unii wykuwa się już w coraz bardziej autorytarnych klimatach? Ale pamięta, że istnieją opowieści nadal obowiązujące i trzeba stwarzać pozory. Jeśli widzi, że zbawczy projekt pt. Unia Europejska nie udźwignął misji dziejowej, przed którą stawiali go ojcowie Wspólnoty Europejskiej. Że w istocie świat Zachodu trzyma się ostatkiem sił.

Jeśli premier dobrze wie to wszystko lub nawet tylko przeczuwa, to do czego potrzebna jest mu Polska? Czy tylko goni swoje kompleksy i obsesje, czy jednak ma mniej lub bardziej dalekosiężny plan? Ale plan na co? Na zbudowanie silnej Polski? To ostatnia rzecz, która wielu Polakom, którzy kochają nasz kraj, przyjdzie do głowy: silna Polska i Donald Tusk to sprzeczność.

Ale jeśli nadchodzący autorytaryzm wyłoni się i utrwali w wersji nieliberalnej, nielewicowej, to jaki los spotka dzisiejszych sługusów naszego króla Europy? Być może frajerzy, którzy dziś w dobrej wierze popierają premiera Tuska, nawet się nie domyślają, co ich może czekać.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 36fbceef5c

CODZIENNIE CZYTAJ WIĘCEJ NIŻ INNI

WYBIERZ SUBSKRYPCJĘ 50% TANIEJ!

- **wszystkie zamknięte artykuły na** wPolityce.pl**,** również te w sekcji Premium+ – to ok. 1 300 tekstów rocznie!
- pełne **e-wydanie tygodnika** SIECI wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 20:00 – to kolejne ok. 1 700 tekstów rocznie!
- **w prezencie świetne ebooki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na **www.siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 36fbceef5c

Nowa telewizja informacyjna.

wPolsce 24

Tu jest Polska.

Oglądaj nas na pozycjach:

196 polsat box

192 netia

32 orange

825 vectra

339 dekoder Mediabox

121 dekodery KAON i Horizon

PLAY dawniej UPC

ZNAJDŹ NAS NA KANALE **52** TELEWIZJI NAZIEMNEJ